

polskaZbrojna

NIEZBĘDNIK
MUNDURY
W SZKOLE

NR 12 (836) GRUDZIEŃ 2015

CENA 6,50 Zł (w tym 8% VAT)

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4524



JANUSZ
MROWIEC

*Islam – ekspansja
czy współistnienie?*

LOTY WAGI CIĘŻKIEJ

PRZEGLĄD FLOTY
TRANSPORTOWEJ
SIŁ POWIETRZNYCH



POLSKA
ZBROJNA

PRENUMERATA
ROCZNA:
12 WYDAŃ
W CENIE
10

ZAMÓW PRENUMERATĘ
NA 2016 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl

listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +48 261 840 400

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 65 zł do 15 stycznia 2016 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002



WOJCIECH KISS-ORSKI

GDY W 1999 ROKU WSTĘPOWALIŚMY DO NATO, MODERNIZACJA LOTNICTWA TRANSPORTOWEGO BYŁA JEDNYM Z NASZYCH PIERWSZYCH ZOBOWIĄZAŃ W RAMACH OBRONY KOLEKTYWNEJ.

Sojusz był wówczas organizacją globalną i możliwości dotarcia w odległe rejony świata stawały się coraz ważniejsze. I do NATO weszliśmy, w wymiarze technicznym, właśnie za sprawą lotnictwa transportowego. Dziś pamięć o szczegółach może już się zaciera, ale tak naprawdę to zakup samolotów C-295M CASA sprawił, że otworzyliśmy się na Zachód, jeśli chodzi o lotnictwo. Dzięki nim trafiła do nas prawdziwie nowoczesna zachodnia technika lotnicza i to one wyparły wysłużone An-2 i An-26. C-295 wprowadziły nas w erę awioniki cyfrowej. Skok technologiczny oznaczał jednocześnie zmiany organizacyjne, eksploatacyjne i mentalne w podejściu do wojskowego lotnictwa transportowego. Po C-295M pojawiły się legendarne, choć nie najmłodsze już, herculesy, następnie polskie załogi weszły w skład natowskiej eskadry ciężkich samolotów C-17 na Węgrzech. Warto też przypomnieć, że w ramach kontraktu na C-295M sprywatyzowano pierwszy polski zakład lotniczy, PZL Warszawa-Okęcie, integrując go ze strukturami zachodniego przemysłu lotniczego. Jeszcze przed Świdnikiem czy Mielcem.

Dziś zwieńczeniem wielowątkowości naszego lotnictwa transportowego, któremu poświęcamy cykl artykułów w niniejszej „Polsce Zbrojnej”, są negocjacje w sprawie wspólnego używania powietrznych tankowców. Wraz z nimi nasze lotnictwo transportowe stanie się niemal w pełni kompletne.

➤ Więcej o lotnictwie transportowym na stronach 12–27



peryskop

nr 12 (836)
grudzień 2015



Zdjęcie na okładce:
Damian Figaj

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK,
TADEUSZ WRÓBEL

12 | Loty wagi ciężkiej

Przegląd lotnictwa
transportowego polskich sił
zbrojnych.

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

21 | Przed startem

Specyfika szkolenia pilotów
samolotów transportowych.

ANNA DĄBROWSKA

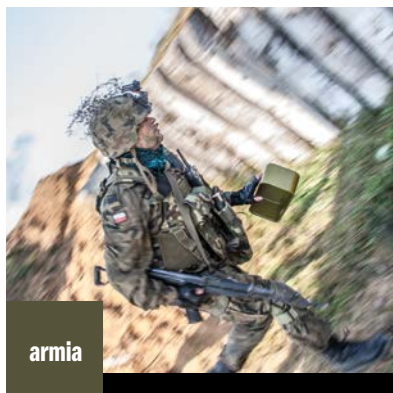
24 | Ciężarówką w przestworza

Pilot Marcin Wiktorowski
opowiada o tym,
jak się pilotuje
samoloty transportowe.

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

26 | Lot z sercem

Od trzydziestu lat wojsko
wspiera „Akcję Serce”.



armia

PIOTR BERNABIUK

28 | Teraz albo nigdy

Blaski i cienie formowania
nowoczesnego korpusu podoficerskiego.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

33 | Kompleksy? Jakże kompleksy?

Wspólne ćwiczenia polskich
i amerykańskich żołnierzy na poligonie
żagańskim.

KRZYSZTOF WILEWSKI

36 | Szkoleniowa szarża

„Dragon” testem nowego systemu
dowodzenia operacjami połączonymi.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

40 | Rebelia w Cerzaji

Największe tegoroczne
manewry NATO, czyli co się działo
na „Trident Juncture '15”.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

44 | Trzy tryby morskiej maszyny

Największe manewry marynarki
wojennej od czasu zmiany struktur
dowodzenia.

JAROSŁAW RYBAK

48 | Skalpel do zadań specjalnych

W GROM-ie powstał nieetatowy zespół
ratownictwa bojowego.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

50 | Zachowani w pamięci

W grudniu wspominamy żołnierzy
poległych w misjach i operacjach poza
granicami kraju.



arsenał

PAWEŁ HENSKI

60 | Mister Raptorski

Wyzwania wynikające z wprowadzania
do służby rosyjskiego myśliwca piątej
generacji.

TADEUSZ WRÓBEL

68 | Rywale herculesa

Średnie i ciężkie samoloty
transportowe na świecie.

ZNAJDZIESZ NAS TUTAJ:





strategie

TOMASZ OTŁOWSKI

74 | Pokerowe zagranie

Jakie efekty może przynieść rosyjska interwencja w Syrii?

WITOLD REPETOWICZ

80 | W objęciach Rosji

Polityka Turcji wobec sąsiadów i państw regionu wiele mówi o położeniu tego państwa.

RAFAŁ CIASTOŃ

84 | Lwy Rożawy

Grupa ochotników z całego świata, która w szeregach Kurdów syryjskich walczy z Państwem Islamskim.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

87 | Jesień Arabskiej Wiosny

Dr Janusz Mrowiec o sytuacji w państwach Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

90 | Greckie strzelania

Poligon NATO na Krecie jest jednym z najczęściej wykorzystywanych na świecie.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK,
TADEUSZ WRÓBEL

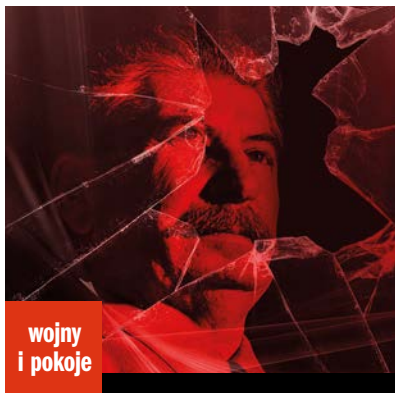
98 | College liderów

Gen. dyw. Janusz Bojarski, czyli Polak na czele Akademii Obrony NATO w Rzymie.

TOMASZ OTŁOWSKI

102 | Taktyka zabijania

Czy ataki w Paryżu wpłyną na zmianę polityki światowych mocarstw wobec Państwa Islamskiego?



wojny
i pokoje

JAKUB NAWROCKI

106 | Szach czerwonemu królowi

Przypominamy historię nieudanego zamachu na Józefa Stalina.

TADEUSZ WRÓBEL

112 | Odyseja „Scorpiona”

Australijski epizod aliantów w II wojnie światowej.



horyzonty

PAULINA GLIŃSKA

122 | Bałtyk dla odważnych

Weterani podejmują się kolejnych wyzwań – tym razem nurkują na Wybrzeżu.

EWA KORSKAK,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

130 | Polska flaga w Patagonii

Grupa Spirit of Poland przygotowuje się do morderczego wyzwania.

MARCIN GÓRKA

134 | Wigilia po grecku

Marynarze ORP „Bielik” wspominają wyjątkowy rejs.



wiw
WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

plk Dariusz Kacperczyk,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Wojciech Kiss-Orski,
tel.: 261 840 222; wko@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

ZASTĘPCY SEKRETARZA REDAKCJI

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Piotr Bernabiuk, Anna Dąbrowska, Paulina Glińska,

Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,

tel.: 261 845 244, 261 845 604;

Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: 725 880 221;

Norbert Bączek, Rafał Ciastoń, Jerzy Eisler,

Katarzyna Górak-Sosnowska, Marcin Górka, Paweł Henski,

Włodzimierz Kaleta, Piotr Korczyński, Ewa Korsak,

Jakub Nawrocki, Tomasz Otłowski, Bogusław Politowski,

Witold Repetowicz, Jarosław Rybak, Marek Świerczyński,

Krzysztof Wilewski, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński,

DZIAŁ GRAFICZNY

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kepka, Monika Siemaszko,

tel.: 261 845 170

FOTOEDYTOR

Andrzej Witkowski, tel.: 261 845 170

REDAKCJA TEKSTÓW

Renata Gromska, Barbara Szymańska, Urszula Zdunek,

tel.: 261 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU

Piotr Jaszczuk (kierownik), Anita Kwatrowska (tłumacz),

Aneta Rosiak, Małgorzata Szustkowska, Piotr Zarzycki,

tel.: 261 845 387, 261 845 180,

faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,

tel.: 22 389 65 87, 500 259 909,

faks: 22 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

Numer zamknięto: 20.11.2015 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobylka, www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania

można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail:

prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803

– czynne w dni robocze w godzinach 7.00–17.00. Koszt połączenia

wg taryfy operatora.

Konto WIW: Bank Gospodarstwa Krajowego w Warszawie

23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

PARTNER

NAC Narodowe Archiwum Cyfrowe.

170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla

stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja

nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.

Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej

są bezpłatne. Informacje: 261 840 400

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna”

materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny

na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

**TUNEL AERODYNAMICZNY OŚRODKA SZKOLENIA
AEROMOBILNO-SPADOCHRONOWEGO.** W jedynym tego typu
obieckie w Wojsku Polskim pod okiem doświadczonej kadry
i w kontrolowanych warunkach adepci sztuki spadochronowej
poznają i doskonalą tajniki swobodnego spadania podczas
skoku ze spadochronem.





MICHAŁ WAJNCHOLD
/ KLUB DOWÓDZTWA SIŁ
SPECJALNYCH
W KRAKOWIE
LEŻNICA WIELKA



ROBERT SUCHY/DKS MON

Zmiana na Klonowej

Antoni Macierewicz został nowym ministrem obrony.

Jednym z najważniejszych zadań państwa i armii jest zapewnienie Polakom i krajowi bezpieczeństwa”, mówił tuż przed objęciem obowiązków od ustępującego ministra Tomasza Siemoniaka nowy szef resortu obrony Antoni Macierewicz. Odwołał się przy tym do słów prezydenta Andrzeja Dudy, który, wręczając nominację ministrom, mówił o zadaniach, jakie stoją przed wojskiem. „Trzeba odbudować polską armię, wzmocnić nasze bezpieczeństwo, współdziałać dobrze z sojusznikami w sojuszu północno-

atlantyckim, a także w Unii Europejskiej”, stwierdził prezydent.

Macierewicz złożył też wieńce przed Grobem Nieznanego Żołnierza i pod pomnikiem Żołnierzy Poległych w Misjach i Operacjach Wojskowych poza Granicami Państwa. „Rozpoczynam urzędowanie od złożenia hołdu tym, którzy polegli, walcząc o naszą niepodległość, i tym, którzy zginęli podczas operacji w Iraku, Afganistanie, Syrii czy Bośni”, mówił nowy minister.

Antoni Macierewicz jest historykiem, posłem Prawa i Sprawiedliwości.

W przeszłości był działaczem opozycji demokratycznej, współtwórcą Komitetu Obrony Robotników, ministrem spraw wewnętrznych. W 2006 roku pełnił funkcję wiceministra resortu obrony w gabinecie Jarosława Kaczyńskiego. Nadzorował wówczas likwidację Wojskowych Służb Informacyjnych, a w październiku 2006 roku stanął na czele nowej Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Macierewicz wrócił do MON-u jesienią 2007 roku jako podsekretarz stanu za kadencji ministra Aleksandra Szczygły. PZ, AD ■

Wspólna SOFA

Transport sił zbrojnych USA do naszego kraju będzie łatwiejszy. Porozumienie dotyczące procedur oznaczania lotów zwolnionych z opłat nawigacyjnych, a także transportu i ruchu wojsk podpisano podczas posiedzenia polsko-amerykańskiej komisji ds.

umowy między rządem obu krajów o statusie sił zbrojnych USA na terytorium Polski (SOFA RP-USA).

Dokument usprawni szybki przerzut amerykańskich wojsk do naszego kraju oraz ich przemieszczanie się na terytorium Polski. Jak podaje resort obrony, zawarcie porozumienia przyczyni się też do zwiększenia bezpieczeństwa i poziomu odstraszania oraz obrony wobec zagrożeń dla Polski i so-

juszników we wschodniej flance NATO. Wspólna komisja jest międzyrządowym organem, którego celem jest prowadzenie konsultacji w sprawach dotyczących stosowania umowy SOFA RP-USA. W jej pracach biorą udział przedstawiciele wielu resortów obu państw, co pozwala na efektywną koordynację współpracy dotyczącej obecności wojsk amerykańskich na naszym terytorium. AD ■

Flanka sojuszu

Europa Środkowo-Wschodnia chce większej obecności NATO.

Musimy się przygotować na nowe zagrożenia i uczynić wszystko, aby był na nie również gotowy sojusz północnoatlantycki”, mówił prezydent Andrzej Duda w Bukareszcie podczas miniszczytu NATO, poświęconego bezpieczeństwu. W czasie obrad przywódcy dziewięciu państw Europy Środkowo-Wschodniej podjęli wspólną deklarację, w której potępiili rosyjską agresję na Ukrainę i wsparcie przez Moskwę separatystów. Takie działania Rosji – zdaniem uczestników spotkania – zagrażają bezpieczeństwu europejskiemu.

Przywódcy państw naszego regionu zapowiedzieli też, że będą się starać o zwiększenie bezpieczeństwa wschodniej flanki NATO. Ma się do tego przyczynić budowa infrastruktury wojskowej oraz obecność żołnierzy sojuszu. Na tym ostatnim zależy przede wszystkim Polsce, państwom bałtyckim oraz Rumunii i Bułgarii.

Polski prezydent przekonywał, by wspólnie budować łańcuch bezpieczeństwa od Morza Bałtyckiego do Morza



Prezydent Andrzej Duda przekonywał, by wspólnie budować łańcuch bezpieczeństwa od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego.

Czarnego. „Państwa Europy Środkowo-Wschodniej w sposób szczególny dotknęła historia poprzedniego stulecia. Dlatego kwestia bezpieczeństwa ma dla nas wszystkich szczególne znaczenie”, mówił. Prezydent Duda chce też, aby na przyszłorocznym szczycie NATO w Warszawie zapadła decyzja o stałej obecności wojsk sojuszu w Polsce. P.Z., J.T.

Transfer wiedzy

Ministerstwo Obrony Narodowej dysponuje wieloma rozwiązaniami technicznymi pozyskanymi w trakcie realizacji projektów badawczo-rozwojowych na potrzeby armii. Nadal jednak poszukuje nowych technologii, których implementacja w odniesieniu do sprzętu wojskowego pozwalałaby na osiągnięcie przewagi operacyjnej nad potencjalnym przeciwnikiem.

Transferowi takich nowych rozwiązań ma służyć list intencyjny dotyczący współpracy przy rozwoju Platformy Transferu Technologii podpisany przez Agencję Rozwoju Przemysłu SA i resort obrony. Dzięki temu porozumieniu MON otrzyma dostęp do zasobów PTT, skąd będzie mógł czerpać informacje na temat możliwych rozwiązań technologicznych, stanu ich zaawansowania i parametrów w wybranych branżach.

„Jednocześnie resort obrony może odgrywać rolę propagatora tworzonego rozwiązania wśród podległych jednostek badawczych – instytutów i uczelni wojskowych, kontrahentów realizujących projekty naukowo-badawcze i rozwojowe na rzecz resortu, a także krajowych producentów sprzętu wojskowego”, podaje MON. A.N.N.

Wojskowe partnerstwo

Zacieśnia się polsko-amerykańska współpraca.

Od połowy przyszedł roku w Polsce będzie stacjonować 600 pojazdów stanowiących wyposażenie batalionu pancernego USA. Zapowiedział to podczas wizyty w Warszawie gen. broni Frederick „Ben” Hodges, dowódca sił lądowych USA w Europie. W Polsce zostaną rozlokowane czołgi, bojowe wozy piechoty, artyleria, wozy inżynierskie, rozpoznania, a także wyposażenie dla dowództwa brygady, w tym wozy dowodzenia i sprzęt logistyczny. W sumie do baz amerykańskich w Europie (Niemczech, państwach bałtyckich, Rumunii, Bułgarii i Polsce) trafi 1200 pojazdów.

Zgodnie z polsko-amerykańskim porozumieniem składają się na terenie pięciu

baz – w Łasku, Drawsku Pomorskim, Skwierzynie, Ciechanowie i Choszcznie. Ze sprzętu będą korzystały wojska amerykańskie przyjeżdżające na rotacyjne ćwiczenia do Polski, a w razie kryzysu – nowe NATO-wskie połączone siły zadaniowe bardzo wysokiej gotowości.



Amerykański gość oraz gen. broni Mirosław Różański, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, omówili wspólne przedsięwzięcia szkoleniowe żołnierzy obu krajów. Polski dowódca do najważniejszych planów na przyszły rok zaliczył ćwiczenia „Anakonda 2016”. Polskie i amerykańskie wojska będą współpracować także podczas ćwiczeń z serii „Saber Strike” i „Dragon” oraz rotacyjnych szkoleń wojsk amerykańskich w Polsce. Gen. Hodges ocenił też, że konieczne jest usprawnienie przepływu sprzętu i żołnierzy wewnątrz NATO i UE. Jak wyjaśniał, gdyby rządy sojuszników uzgodniły zasady poruszania się po ich terytorium wojsk NATO, ich przemieszczanie w razie kryzysu mogłoby być znacznie szybsze. P.Z., A.D.



**PATRONAT
POLSKI ZBROJNEJ**

Strategiczne decyzje

O przygotowaniach do warszawskiego szczytu NATO i wzmocnieniu wschodniej flanki sojuszu oraz wyzwaniach związanych z kryzysem ukraińskim i syryjskim dyskutowano podczas Warsaw Security Forum. „Zagrożenia na wschodzie Europy są trwałe, więc decyzje przyszłorocznego szczytu NATO powinny być strategiczne”, mówił ówczesny wicepremier, szef MON-u Tomasz Siemoniak. Jak dodał, sojusz musi odpowiedzieć na zagrożenia na wschodzie Europy, ale powinien też dyskutować o tych płynących z południa. „Szczyt państw sojuszu, który odbędzie się w lipcu 2016 roku w Warszawie, będzie być może najważniejszym spotkaniem od czasu zakończenia zimnej wojny, a na pewno od wejścia Polski do NATO w 1999 roku”, podkreślił Siemoniak. Paweł Siołach, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, zaznaczył z kolei, że priorytetem Polski jest wzmocnienie flanki wschodniej. Wśród innych oczekiwań wymienił m.in. wypracowanie nowego konsensusu dotyczącego relacji z Rosją, zaproponowanie przez sojusz pakietu praktycznego wsparcia dla Gruzji i Mołdawii, a także określenie nowych ram współpracy ze Szwecją i Finlandią.

Na sesji poświęconej polskiemu przemysłowi zbrojeniowemu dyskutanci zwracali uwagę, że nowy polski rząd stanie przed starymi wyzwaniami – na rozstrzygnięcie czekają przetarg na zakup śmigłowców oraz dalsza realizacja programu „Wisła”. Mówiono także o konieczności zmiany systemu zakupów wojskowego sprzętu oraz dalekosiężnego planu rozwoju zbrojeniówki.

Była to już druga edycja międzynarodowej konferencji poświęconej bezpieczeństwu militarnemu, ekonomicznemu i energetycznemu Europy zorganizowana przez Fundację im. Kazimierza Pułaskiego. Na dwudniowe obrady do Warszawy przyjechali byli ministrowie spraw zagranicznych i obrony narodowej, doradcy ds. bezpieczeństwa, analitycy i eksperci. P.Z., M.S.

Wspólne działanie

Żołnierze i funkcjonariusze przeciwiczyli akcje antykrzysowe.

Policja, wojsko, straż pożarna, ratownicy medyczni, inspektorzy sanitarni, pracownicy Państwowej Agencji Atomistyki sprawdzili skuteczność Krajowego Systemu Wykrywania Skażeń i Alarmowania (KWSiA). Manewry „Patrol '15” odbywały się w całym kraju, a ich warszawski epizod dotyczył ataku terrorystycznego chemicznego w metrze.

Współpracę służb przetestowano także w Tarnobrzegu, gdzie żołnierze i funkcjonariusze musieli się zmierzyć z amoniakiem wyciekającym z instalacji w Zakładach Chemicznych Siarkopol. W Karczewie chemicy interweniowali z powodu wywróconej cysterny i substancji wpływającej do Wisły, wal-

czyli też z dżumą, którą turyści przywieźli z Chin. W Świerku z kolei służby zmagaly się z substancją promieniotwórczą wydobywającą się z reaktora. Ich zadaniem było odnalezienie źródła wycieku i zneutralizowanie promienionowania.

Udział w ćwiczeniach wzięły jednostki podległe sześciu ministerstwom: Obrony Narodowej, Spraw Wewnętrznych, Zdrowia, Rolnictwa i Rozwoju Wsi, Środowiska oraz Infrastruktury. Wszystkie są zaangażowane w funkcjonowanie KWSiA. Został on powołany w 2013 roku, aby koordynować działania w poszczególnych resortach. Jego funkcjonowanie nadzoruje minister obrony. P.Z., M.M.

Naszemu koledze
podpułkownikowi Mirosławowi Ochyrze

wyrazy głębokiego współczucia i słowa otuchy
z powody śmierci

Taty

składają dyrektor WIW płk Dariusz Kacperczyk
oraz Piotr Jaszczuk, Dariusz Lewtak, Bogusia Piekut, Robert Suchy



PIOTR
BERNABIUK

Konsekwentne niezrozumienie

REFORMA, A PRZYNAJMNIEJ
JEJ KOLEJNA PRÓBA, MA NA
CELU PODZIELENIE RÓL
MIĘDZY **DWA KORPUSY**
– **OFICERSKI I PODOFICERSKI**

A amerykański sierżant od dawien dawna był symbolem twardziela. Najpierw filmowego. Następnie, po zawarciu sojuszu i rozwinięciu kontaktów z Amerykanami, stał się postacią do bólu realną, szczególnie dla uczestników szkoleń w USA. Wreszcie, przed dziesięcioleciem, pojawiła się szansa, by taki gość znalazł się w naszych szeregach. Załączkiem „amerykanizacji” polskich podoficerów stał się prowadzony przez sojuszników ze Stanów Zjednoczonych kurs w Elblągu dla dopiero co wyznaczonych pomocników dowódców do spraw podoficerów.

Jego absolwent, polski sierżant major stojący po prawicy swego wodza, miał być liderem przemian. Przez kilka kolejnych lat grupę zapaleńców – głównie generałów i chorążych – niosła fala entuzjazmu. A potem, jak to bywa, ocean ucichł, przyszła flauta...

Dopiero w tym roku stojący na bocianim gnieździe majątek ogłosił całej załozdze: idzie sztorm, dziesięć w skali Beauforta! I jak to na wzburzonym morzu, jedni rzucili się do żagli, drudzy zaczęli spuszczać szalupy. Na pokładzie została również spora grupa kontemplująca, z rękami w kieszeniach, sytuację.

Dobra, koniec gmatwania i przenośni. Powiedzmy sobie wprost: obserwując powrót do koncepcji budowy nowoczesnego korpusu podoficerskiego, można odnieść nieodparte wrażenie, że największą przeszkodą w drodze do sukcesu jest permanentne niezrozumienie idei. W obu korpusach, oficerskim i podoficerskim, część żołnierzy konsekwentnie trwa w okopach starego podejścia, hierarchicznej drabiny, systemu podległości, w którym stopień wojskowy wyznacza każdemu odpowiedni szczebel. Bo przecież wiadomo, że po starszym chorążym sztabowym następuje podporucznik...

Jak przekonać zatwardziały tradycjonalistów, żeby wreszcie zeszli z tej drabiny i pogodzili się z faktem, że oficer i podoficer odgrywają w siłach zbrojnych dwie odmiennie role? Jak dotrzeć do nich z oczywistą prawdą, że „nieśmiały eksperyment amerykanizacji korpusu podoficerskiego” rozpoczęty przed ponad dziesięciu laty, a obecnie, po paroletniej przerwie, desperacka próba powrotu do reformy, nie są inicjowaną przez podoficerów próbą wyrwania się ze swego miejsca w szyku i odebrania oficerom władzy, lecz działaniem mającym na celu zapewnienie sprawnego funkcjonowania armii w warunkach bojowych?

Tej koncepcji nie stworzyli kreatywni urzędnicy. Ona powstawała w walce, w efekcie doświadczeń bojowych, nie tylko amerykańskich, lecz także polskich. Mówiąc o niej, odnosimy się zazwyczaj do doświadczeń naszych sojuszników z Korei, następnie najbardziej bolesnych, z Wietnamu. A wystarczy przypomnieć sobie, jaką rolę odgrywali w patrolach, w operacjach bojowych nasi podoficerowie w Iraku i Afganistanie. Tam nikt nie odbierał im samodzielności, bo scenariusze pisało życie.

Reforma, a przynajmniej jej kolejna próba, ma na celu podzielenie ról między dwa korpusy. Oficerowie powinni rozwijać się na kolejnych szczeblach jako stratedzy i kandydaci do wężych generalskich, podoficerowie zaś zajmować dyscypliną i szkoleniem na poziomie taktycznym. Dokładnie tak, jak to będzie na wojnie, kiedy to sierżanci ruszą na czele swoich drużyn do walki, a generałowie przygotują strategię prowadzącą do zwycięstwa.

Jeśli nadal pozostaje to niejasne, pozwolę sobie zacytować fragment pytania, a bardziej apełu skierowanego przez gen. Mirosława Różańskiego do starszych podoficerów

dowódcztw: „Czy jesteśmy, jako siły zbrojne, gotowi dokonać trwałego, ale konstruktywnego podziału, rozkładając odpowiedzialność za przygotowanie wojska między oficerów i podoficerów? Jeśli nie zrobimy tego, pozostaniemy armią, która jedną nogą stoi w Układzie Warszawskim, a drugą w NATO i nie wie, gdzie krok zrobić. Pozostać, czy pójść do przodu?” ■







| LOTNICTWO TRANSPORTOWE |

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

TADEUSZ WRÓBEL

LOTY WAGI CIĘŻKIEJ

Mamy ponad 40 samolotów transportowych różnych typów, które wykonują misje na terenie kraju i poza jego granicami.

U S A F



Polskie lotnictwo transportowe przeszło w ostatnich 15 latach ogromne przeobrażenia. Na początku wieku w siłach powietrznych wymieniono maszyny jednostek transportowych. W miejsce przestarzałych An-2 i An-26 wprowadzono samoloty małe – PZL M-28, średnie – EADS CASA C-295M i duże – Lockheed C-130E Hercules. Nowe statki powietrzne mają lepsze osiągi, są wyposażone w nowoczesną awionikę oraz systemy łączności i nawigacji, dzięki czemu polscy piloci mogą wykonywać zadania lotnicze, które kilkanaście lat temu były nie do pomyślenia. Zaopatrują na przykład kontyngenty lub ćwiczące jednostki od Alaski do Afganistanu, od Mali po Norwegię. Nasze transportowce przewożą też pomoc humanitarną ofiarom konfliktów zbrojnych i klęsk naturalnych. „Dzięki nowym samolotom zyskałyśmy częściową niezależność przy przerzucie wojsk i sprzętu w kraju oraz za granicą”, mówi gen. bryg. pil. Mirosław Jemielniak, do niedawna dowódca 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego (SLTr), a obecnie zastępca inspektora sił powietrznych w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. To właśnie w jednostkach podległych Skrzydłu są używane hiszpańskie transportowce C-295M, amerykańskie C-130 Hercules, polskie M-28 oraz śmigłowce W-3, Mi-8 i Mi-17. Latają też nieetatowe Mi-2. W sumie 3 SLTr ma ponad 80 statków powietrznych.

LOTY USŁUGOWE

Jednostki lotnictwa transportowego niemal codziennie wykonują loty operacyjne, zarówno na obszarze kraju, jak i za granicą. Gdy na jakieś ćwiczenia, takie jak „Trident Juncture 2015”, wysyłamy wielozadaniowe F-16, to samoloty transportowe muszą przewieźć ich obsługę techniczną i części zapasowe. Co więcej, lotnictwo transportowe wykonuje wiele misji na rzecz instytucji i urzędów poza resortem obrony. Przykładem są m.in. loty deportacyjne, wykonywane na rzecz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Najważniejsze są jednak zadania na potrzeby sił zbrojnych. Do podstawowych należy przewóz żołnierzy i ładunków.

Od czasu II wojny światowej lotnictwo transportowe wspiera operacje powietrznodesantowe, dostarczając w rejon działań żołnierzy wraz uzbrojeniem i zaopatrzeniem. W czasie pokoju zabezpiecza szkolenie spadochronowców wojsk, ponieważ jednym z jego zadań jest wsparcie operacji specjalnych. Rocznie z pokładu samolotów 3 SLTr żołnierze wojsk lądowych i specjalnych wykonują kilkanaście tysięcy skoków spadochronowych. Innym ważnym zadaniem lotnictwa transportowego jest ewakuacja rannych i chorych żołnierzy z teatru działań do kraju lub amerykańskiego szpitala wojskowego w Ramstein. Maszyny C-295M latają także w ramach „Akcji Serce”, wspierając polską transplantologię (więcej na ten temat na str. 26–27). Mają także obowiązek wykonywania lotów o statusie HEAD z najważniejszymi osobami w państwie. Zdarzają się też zadania niezwykle. W 2013 roku na pokładzie C-295M między Polską, Hiszpanią a Wielką Brytanią w ścisłej tajemnicy, na zlecenie Ministerstwa Kultury, podróżował jeden z najcenniejszych w polskich zbiorach muzealnych obraz „Dama z gronostajem” Leonarda da Vinci.

KRAKOWSKI DUET

Samoloty należące do krakowskiej 8 Bazy Lotnictwa Transportowego (BLTr) są podzielone pomiędzy 12 i 13 Eskadrę Lotnictwa Transportowego. Krakowską flotę stanowią dwa typy maszyn: M-28 B/PT Glass Cockpit oraz CASA C-295M. W przeszłości Balice były lotniskiem, na którym stacjonowały średnie i duże transportowce An-26 i An-12.

Polskie siły powietrzne mają 16 średnich samolotów C-295M (jeden utracono w katastrofie 23 stycznia 2008 roku) i są obok Egiptu ich największym użytkownikiem na świecie. Od wejścia do służby polskie C-295M lądowały w kilkudziesięciu państwach. Wśród nich są: Azerbejdżan, Liban, Izrael, Gruzja, Indie, Pakistan, Chiny, Egipt, Libia, Czad, Mali, Hiszpania, Irak, Kosowo, Bośnia i Hercegowina. Samoloty regularnie latały także do Afganistanu, gdzie dostarczały służącym tam żołnierzom sprzęt i uzbrojenie. Oprócz tego przez dwa lata – od 2010 do 2012 roku – komponent lotniczy wyposażony w C-295M stacjonował pod Hindukuszem, gdzie wykonywał zadania operacyjne na rzecz wojsk koalicji.



Poza 3 Skrzydłem osiem samolotów M-28B ma 42 Baza Lotnictwa Szkolnego w Radomiu.

PIOTR RAMS

JEDNĄ Z PIERWSZYCH INICJATYW MAJĄCYCH NA CELU UZYSKANIE ZDOLNOŚCI DO TRANSPORTU STRATEGICZNEGO PRZEZ PAŃSTWA NATO BYŁ PROGRAM PRZEJŚCIOWY **STRATEGIC AIRLIFT INTERIM SOLUTION (SALIS)**.

List intencyjny w tej sprawie podpisano na spotkaniu ministrów obrony w czerwcu 2003 roku w Brukseli, a memorandum – 28 czerwca 2004 roku podczas szczytu NATO w Stambule. Kontrakt z Ruslan SALIS GmbH, spółką zależną rosyjskiego przewoźnika Volga-Dnepr Airlines, zawarto w styczniu 2006 roku.

Do SALIS należy 12 członków sojuszu północnoatlantyckiego, w tym Polska, oraz dwa kraje partnerskie – Finlandia i Szwecja. Czarterują one od Volga-Dnepr i ukraińskiej firmy Antonov Airlines sześć potężnych transportowców An-124-100 Ruslan, które mogą przewozić ładunki o masie do 120 t. Dwa z nich są gotowe do natychmiastowego użycia i stoją w niemieckim porcie lotniczym Lipsk Halle. Kolejne dwa firmy lotnicze są zobowiązane dostarczyć w ciągu sześciu dni, a ostatnią parę w ciągu dziewięciu. Ze swej strony członkowie konsorcjum zobowiązują się do wykorzystania pewnej minimalnej rocznej puli lotów, która wynosi 2 tys. godzin. W 2014 roku, w związku z wycofywaniem wojsk z Afganistanu, to minimum wynosiło 2450 godzin.

Jak przyznają piloci, to właśnie Afganistan był najlepszym testem dla samolotów. Maszyny musiały latać w wyższych temperaturach, na dużych wysokościach i przy ogromnym zapyleniu powietrza. Piloci, oceniając możliwości samolotu C-295M, przypominają, jak się on sprawdzał podczas startów i lądowań na jednym z afgańskich lotnisk w Szaranie, gdzie krótki i wąski pas startowy jest na wysokości około 2 tys. m n.p.m.

Zamówione w 2001 roku samoloty otworzyły w Polsce epokę cyfrowych kokpitów w transportowcach: w kabinie pilotów wiele analogowych przyrządów zastąpiono monitorami LCD, wyświetlającymi dane pilotażowe, nawigacyjne oraz sytuację taktyczną. Obecnie na Balicach stacjonują samoloty w dwóch wersjach – P02 i P04. „C-295 jest lekki w pilotażu i sprawdza się w lotach taktycznych w górach, w desantowaniu”, wyjaśnia płk pil. Krzysztof Cur, dowódca 8 Bazy Lotnictwa Transportowego, i dodaje: „Ta maszyna ma wiele zalet. Przede wszystkim to samolot tzw. krótkiego startu i lądowania. Może lądować na lotniskach szutrowych i nieutwardzonych oraz wykonywać loty taktyczne nocą. Jest wymagający, ale daje pilotom dużo satysfakcji”.

Co ważne, w grudniu 2013 roku pierwsze dwie załogi (osiem osób) z krakowskiej jednostki ukończyły kurs i dostały uprawnienia do lotów w goglach noktowizyjnych. Część pilotów uzyskała już uprawnienia instruktorskie i może szkolić innych. W goglach noktowizyjnych latają w 3 SLTr też załogi C-130 Hercules i M-28 oraz śmigłowców Mi-17. Płk Cur podkreśla, że intensywne szkolenie z latania nocą bez używania

oświetlenia jest konieczne. Ze względu na charakter współczesnych konfliktów zbrojnych wiele lotów bojowych jest bowiem wykonywanych w ciemnościach.

Krakowskie samoloty w 2015 roku spędziły w powietrzu nieco ponad 8 tys. godzin. Dowództwo bazy spodziewa się, że nalot w kolejnym roku będzie podobny. Sprawność C-295M jest utrzymywana na poziomie 75%. Jedna maszyna znajduje się na rocznym przeglądzie technicznym na warszawskim Okęcie. Samoloty są mocno eksploatowane. Kilkakrotnie w mijającym roku zdarzyło się już tak, że na lotnisku na Balicach nie było ani jednej „kaśki”. Wykluczając tę remontowaną, wszystkie wykonywały zadania w powietrzu.

Oprócz średnich transportowców, Balice dysponują także lekkim samolotem M-28 B/PT w wersji Glass Cockpit. Konstrukcja, produkowana przez zakłady lotnicze w Mielcu, zastąpiła używane od lat w An-2 (ostatni egzemplarz antka zakończył służbę w grudniu 2012 roku). Najnowsze maszyny M-28B/PT Glass Cockpit są wyposażone w silniki turbośmigłowe PT6A-65B i pięciopłatowe śmigła HC-B5MP-3B. Są im zlecane loty operacyjne na terenie kraju i Europy. Żołnierze wojsk specjalnych i lądowych wykonują z nich treningowe skoki spadochronowe. M-28 są wykorzystywane też do szkolenia młodych pilotów, którzy ukończyli dęblińską Szkołę Orłąt.

NIEZASTĄPIONY HERCULES

Decyzja o wdrożeniu do polskiego lotnictwa wojskowego pięciu amerykańskich niemłodych, bo wyprodukowanych →



SAMOŁOT CASA C-295 JEST LEKKI W PILOTAŻU I SPRAWDZA SIĘ W LOTACH TAKTYCZNYCH W GÓRACH I W DESANTO- WANIU

w 1970 roku, herculesów, które niektórzy określali jako „złom” lub „graty”, była krytykowana. Wielu specjalistów ostrzegało, że ich eksploatacja będzie oznaczać dla Polski jedynie dodatkowe koszty i wzrośnie ryzyko incydentów lotniczych. Przeważył jednak punkt widzenia, że ze względu na udział Polski w misjach zagranicznych, zwłaszcza w Afganistanie, takie samoloty transportowe są niezbędne. Jednocześnie nie stać nas było na fabrycznie nowe.

O potrzebie posiadania herculesów zdecydowały możliwości, jakie mają samoloty z tej rodziny. Polski C-130E może zabrać maksymalny ładunek o masie do 19 740 kg i dostarczyć go do miejsca odległego o 3400–3700 km. C-295 z 9250 kg ładunku może przebyć 1300 km. Przy mniejszych obciążeniach zasięg lotu obu transportowców się zwiększa. Przed przekazaniem C-130E Polsce samoloty przeszły remont i modernizację techniczną. Wymieniono w nich m.in. całą część łączącą kadłub i skrzydła (centroplaty). Kokpit analogowy zastąpiono analogowo-cyfrowym. Wyposażono je też w nowoczesne radiostacje, umożliwiające sprawnie poruszanie się w międzynarodowej przestrzeni powietrznej. Dobra okazała się decyzja o wymianie silników w dwóch z nich na mocniejsze Allison T-56-A-15, takie same, jakie są w wersji C-130H.

Największą bolączką, na którą wskazują piloci z Powidza, jest zbyt mała liczba herculesów. Tymczasem ilość zadań stawianych jednostkom transportowym szybko wzrasta. Zdarza się, że jednocześnie są potrzebne w tym samym czasie dwa lub trzy samoloty. W tym roku na przykład był transport pomocy humanitarnej dla ofiar trzęsienia ziemi w Nepalu. Ograniczona dostępność herculesów spowodowała, że do Indii poleciały też casy. Do samego Katmandu dotarły jednak tylko C-130E. „Liczba lotów operacyjnych, które musimy wykonać, jest tak duża, że czasami trzeba negocjować zmiany terminu wykonania zadania”, przyznaje

ppłk pil. Krzysztof Szymaniec, dowódca Grupy Działań Lotniczych w 33 BLTr.

Poziom gotowości 45-latków z Powidza wynosi około 60%, czyli są to trzy samoloty. Jeden z herculesów jest na przeglądzie długookresowym, trwającym około roku, wykonywanym co 69 miesięcy. Wszystkie samoloty mają go przejść do 2019 roku. Jednak transportowce muszą być poddawane także krótszym przeglądom (cyklicznie, co 270 i 540 dni), które trwają po kilka tygodni. „Teraz na takim przeglądzie jest jeden z samolotów”, mówi ppłk pil. Mirosław Jakubowski, zastępca dowódcy Grupy Działań Lotniczych w 33 BLTr. W lotnictwie



SAMOLOTY TRANSPORTOWE OD KILKU LAT WYKONUJĄ ZRZUTY TZW. TARY DESANTOWEJ. ZA JEJ POMOCĄ PODCZAS DZIAŁAŃ BOJOWYCH SĄ DESANTOWANE ŚRODKI MATERIAŁOWE, BEZ KTÓRYCH WOJSKA POWIETRZNODESANTOWE NIE MOGŁYBY W PEŁNI WYKORZYSTAĆ SWOJEGO POTENCJAŁU BOJOWEGO.

Z pokładu transportowców C-130 Hercules i C-295 M CASA należących do 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego można desantować zasobniki CDS (container delivery system). Każdy taki ładunek może ważyć od 250 kg do 1 t. CDS-y opuszczają pokład metodą grawitacyjną. Oznacza to, że lecący nad zrzutowiskiem samolot otwiera rampę i zwiększa pochylenie o kilka stopni. Wówczas kontenery wyjeżdżają po rolkach zamontowanych wcześniej na pokładzie. Są niesione przez spadochrony, których czasa ma powierzchnię 400 m², a waga całego spadochronu to 60 kg.

Specjaliści z 6 Brygady Powietrznodesantowej, która jest dysponentem tary, opracowują instrukcje dotyczące zrzutu ciężkich platform desantowych z samolotu C-130 Hercules. Wariant na C-295 został już przygotowany, ale nadal tego typu zrzuty nie są prowadzone. Ciężkie platformy, czyli PDS (platform delivery system), mogą ważyć od 1 t do ponad 2 t. PDS wyjeżdża z samolotu metodą ekstrakcyjną. W pierwszej kolejności jest wyrzucony spadochron wyciągający, który, napelniając się powietrzem, w kilka sekund wyciąga ładunek z samolotu. W tym wypadku samolot jest w pozycji horyzontalnej. Lina ekstrakcyjna i spadochron wyciągający opadają osobno, a ładunek opada na spadochronie głównym, który ma 730 m².

6 Brygada Powietrznodesantowa ma 150 zasobników CDS i ponad 30 platform PDS (docelowo ma ich być ponad 60). Spadochroniarze w swoich szeregach mają 15 instruktorów zrzutów towarowych oraz pluton konserwacyjny. Specjaliści od przygotowywania ładunków do zrzutów i układania gigantycznych spadochronów wyszkolili się w Kanadzie lub Stanach Zjednoczonych.

nie da się też wykluczyć, że w którymś z samolotów nie pojawi się usterka. Dlatego może się zdarzyć, że będą dostępne tylko dwie maszyny albo jeszcze mniej.

W bazie w Powidzu nie ukrywają, że przydałoby się im więcej herculesów. Z powodów organizacyjnych, technicznych i finansowych dobrą sprawą byłoby pozyskanie kilku maszyn C-130H, przynajmniej trzech, ale lepiej pięciu. Dlaczego? Polscy piloci, szkolący się w USA, znają tę wersję, na niej latają, bo w amerykańskim lotnictwie wojskowym nie ma już C-130E. „Moje przeszkolenie z wersji C-130H na C-130E trwało dwa dni. Trzeciego dnia wykonałem pierwszy lot”, wspomina inżynier pokładowy na C-130E. „Amerykańskie procedury na C-130H są bardzo podobne do naszych, a w wielu punktach nawet identyczne”, zwraca uwagę ppłk Jakubowski. Ta wersja herculesa jest znana też naszym technikom, którzy szkolili się w Stanach Zjednoczonych.

Gdyby rzeczywiście udało się kupić tę wersję, można byłoby by zmniejszyć intensywność użytkowania starszych maszyn, a tym samym przedłużyć czas ich eksploatacji. „Pozwalają na to rebusy na kluczowe elementy konstrukcji, takie jak centropłaty”, stwierdził mjr Nowak. Obecnie polskie herculesy wykonują średnio 130 godzin lotów miesięcznie. „Tegoroczny planowany nalot na nich to 1580 godzin, w tym 800 godzin nalotu szkoleniowego”, podaje ppłk Jakubowski.

Infrastruktura naziemna w Powidzu jest przygotowana do obsługi C-130H, co potwierdza regularna obecność na tym lotnisku maszyn amerykańskich. Ostatnio w Powidzu stacjonowały i wykonywały loty ćwiczebne C-130H ze 182 Skrzydła Lotnictwa Transportowego Lotniczej Gwardii Narodowej. Były też nowsze C-130J z US Air Force. „Największym zyskiem dla nas z obecności amerykańskich wojskowych jest wymiana doświadczeń ze stroną, która używa bardzo podobnych samolotów”, stwierdza ppłk Szymaniec.

Oczywiście dodatkowe maszyny z drugiej ręki to rozwiązanie przejściowe, bo docelowo będzie potrzebny nowy transportowiec, oferujący podobne lub większe możliwości przewozowe. Ile samolotów by nam wystarczyło? Według lotników na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi. Casus maszyn C-295M pokazuje bowiem jedno: wraz ze wzrostem ich liczby zwiększyły się nakładane na nie zadania; a kiedyś podawano w wątpliwość zakup dodatkowych pięciu. Dziś żadna z 16 krakowskich „kasiek” nie jest bezrobotna. „Wyniki rozpoczętych w tym roku kompleksowych przeglądów poszczególnych samolotów Herkules będą stanowić pewną wskazówkę, jakie działania i kiedy powinniśmy podjąć w tej sprawie”, uważa gen. Jemieliński. Zapotrzebowanie na samoloty transportowe zależy także od sytuacji międzynarodowej. Ta się pogarsza. Lotów operacyjnych jest więcej i nic nie wskazuje na to, aby ta tendencja się zmieniła. „Samoloty transportowe jako jedyne w naszych siłach powietrznych od lat latają do stref działań wojennych”, podkreśla ppłk Szymaniec.

W 14 Eskadrze w Powidzu wraz z herculesami służy pięć samolotów M-28B/PT, które wyprodukowano w latach 2006–2007, oraz dwa starsze – M-28B.

POWRÓT SPECJALNYCH

Od 1 listopada 2013 roku w skład 3 SLTr została włączona 1 BLTr w Warszawie. Stacjonujące na warszawskim Okęcie jednostki lotnictwa transportowego od dziesięcioleci zajmują się przewozami specjalnymi, do których należy m.in. transport najważniejszych osób w państwie. Do rozformowania 31 grudnia 2011 roku zadanie to wykonywał 36 Specjalny Pułk Lotnictwa Transportowego, który dysponował samolotami i śmigłowcami. Stworzona w jego miejsce 1 BLTr ma tylko te ostatnie, gdyż Tu-154 i Jak-40 wycofano ze służby, a cztery bryzy rozdzielono pomiędzy eskadry w Krakowie (dwie M-20B/PT GC) →



W Powidzu poza polskimi samolotami i śmigłowcami czasowo stacjonują też amerykańskie herculesy, co jest okazją do wspólnych szkoleń.

PROGRAM STRATEGIC AIRLIFT CAPABILITY (SAC) BYŁ SPOSOBEM NA ZWIĘKSZENIE NASZYCH ZDOLNOŚCI W TRANSPORCIE STRATEGICZNYM

Polska znalazła się w gronie 12 państw (dziesięciu należących do NATO oraz Finlandii i Szwecji), które stworzyły konsorcjum, by kupić i wspólnie użytkować trzy amerykańskie samoloty transportowe C-17 Globemaster III. Zdecydowano, że eksploatująca je jednostka, Skrzydło Ciężkiego Transportu Lotniczego (Heavy Airlift Wing) będzie operować z bazy lotniczej Pápa w zachodnich Węgrzech. Personel HAW składa się ze 135 żołnierzy i pracowników wojska z państw członkowskich SAC. Pierwszy z kupionych globemasterów wylądował w Pápa 27 lipca 2009 roku. Przed końcem roku przybyły pozostałe dwa. Od 2009 roku jednostka wspierała operacje NATO w Afganistanie, Kosowie i Libii. Jej transportowce przewoziły też m.in. pomoc humanitarną dla ofiar trzęsienia ziemi na Haiti w 2010 roku. W listopadzie 2012 roku HAW osiągnęło pełną gotowość operacyjną.

i Powidzu (dwie M-28B/PT). W 2013 roku na Okęcie trafiło pięć zamówionych w 2011 roku śmigłowców W-3WA Sokół w wersji dla VIP-ów. Jednostka ma też pięć starszych maszyn Mi-8, przejętych po 36 SPLTr. Niebawem w warszawskiej bazie znowu pojawią się wojskowe maszyny przeznaczone do transportu specjalnego. Ministerstwo Obrony Narodowej ogłosiło przetarg na dwa małe samoloty dla VIP-ów, który miał być rozstrzygnięty w tym roku. „W pierwszym etapie nie powstanie eskadra samolotów specjalnych, gdyż nie ma sensu tworzyć takiej jednostki dla dwóch maszyn”, wyjaśnia

gen. Jemielniak. Wybrano już natomiast grupę 12 lotników, którzy mają duże doświadczenie, w tym w lotach na potężnych odrzutowych transportowcach C-17 Globemaster III. Zostaną oni przeszkoleni na samolotach nowego typu. Nie wszyscy jednak ze szkolących się zasiądą za sterami małych odrzutowców dla VIP-ów. „Ci, którzy nie zostaną wybrani za pierwszym razem, będą musieli doszkolić się i ponownie aplikować do tego zadania w 1 Bazie”, podkreśla gen. Jemielniak. Jeżeli dojdzie do zakupu średnich samolotów, wojsko znowu będzie w stanie całkowicie zabezpieczać



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

NAJWIĘKSZĄ BOLĄCZKĄ PILOTÓW Z POWIDZA JEST ZBYT MAŁA LICZBA HERCULESÓW

przewoży ważnych osób. Na razie są używane dwa samoloty Embraer 175 Polskich Linii Lotniczych LOT, ale umowa czarteru wygasa w 2017 roku. Piloci mają nadzieję, że zakup dwóch małych odrzutowców do przewożenia VIP-ów będzie pierwszym etapem odtwarzania eskadry samolotów specjalnych w warszawskiej bazie.

LOTNISKOWE TRIO

W 3 Skrzydle Lotnictwa Transportowego są trzy bazy lotnicze. Największa jest 33 BLTr w Powidzu. Jej lotnisko ma dwa →

NOWĄ INICJATYWĄ WIELONARODOWĄ W RAMACH NATO, W KTÓRĄ WŁĄCZYŁA SIĘ POLSKA, JEST WSPÓLNA FLOTA SAMOLOTÓW DO TANKOWANIA W LOCIE.

Jest to program Multinational MRTT Fleet (MMF), do którego oprócz nas należą Holandia i Norwegia. W 2012 roku włączeniem do niego było zainteresowanych dziesięć krajów, ale większość wykruszyła się z powodu kryzysu finansowego.

Przed kilkoma miesiącami w imieniu trzech państw organizacja wspomagająca wspólne programy w dziedzinie uzbrojenia, OCCAR, wystosowała zapytanie ofertowe do Airbusa w sprawie sprzedaży samolotów A330 MRTT, które oprócz tankowania w locie mogą też transportować ładunki lub żołnierzy. W grę wchodzi zakup co najmniej czterech maszyn (Polska wniesie 22% udziałów). Główną bazą wspólnych latających cystern będzie Eindhoven w Holandii. Decyduje o tym nie tylko jego położenie geograficzne, lecz także doświadczenie holenderskich lotników w eksploatacji tego typu samolotów. W Polsce i Norwegii będą natomiast przygotowane wysunięte bazy. Wstępną gotowość operacyjną wspólna jednostka ma osiągnąć w połowie 2020 roku, a pełną rok później.

betonowe pasy startowe, z których największy ma 3515 m długości i 60 m szerokości. Drugi, mniejszy, odpowiednio 2744 m i 30 m. Oprócz tego jest tam też trawiasty pas startowy.

Duże inwestycje w bazę w Powidzu poczyniono, gdy zapadła decyzja, że tam trafią otrzymane od USA herculesy. Kluczowa była modernizacja nawierzchni lotniskowych. Jednym z najważniejszych obiektów, jaki wówczas tam powstał, jest hangar obsługi samolotów, gdzie bez problemów mieszczą się dwa C-130. W pobliżu zbudowano też lekki hangar przeznaczony dla jednego tego typu transportowca. „W planach jest drugi”, mówi mjr Wojciech Maćkowiak, szef sekcji infrastruktury 3 SLTr. Oprócz tego powstały m.in. wieża wojskowego portu lotniczego, strażnica lotniskowej straży pożarnej, kolektor ściekowy oraz sieć wodociągowa i hydrantowa. Wiele innych budynków i instalacji bazy zmodernizowano lub wyremontowano. Prace sfinansowano częściowo z funduszy natowskich.

Niedawno powstały trzy lekkie hangary dla samolotów M-28. Prace inwestycyjne w powidzkiej bazie ciągle trwają. W trakcie odbioru jest park sprzętu technicznego, czyli zespół garaży oraz elementów obsługowych, jak chociażby malarnia czy stacja diagnostyczna. Jest kontynuowana rozbudowa płyt postojowych, które będą przystosowane dla samolotów transportowych większych niż herculesy. „W Powidzu jesteśmy w stanie przyjąć największe transportowce na świecie”, podkreśla mjr Maćkowiak. W 2016 roku rozpoczną się prace budowlane przy budynku sztabowym 7 Eskadry Działów Specjalnych.

W Powidzu powstanie też port przeładunkowy cargo, zapewniający pełną obsługę logistyczną i celną ładunków. Obiekt ten będzie wykorzystywany tylko do celów wojskowych. W bazie mają być zgromadzone rzeczy przeznaczone na pomoc humanitarną. Dzięki temu rozwiązaniu zostanie uproszczona ich wysyłka za granicę, jeśli pojawi się taka potrzeba.

Powidz jest lotniskiem wojskowym. Lotnisko w Krakowie-Balicach, gdzie znajduje się 8 BLTr, ma natomiast charakter cywilno-wojskowy. Oprócz bazy znajduje się tam drugi pod względem znaczenia międzynarodowy port lotniczy w Polsce. Balice od dziesięcioleci są wykorzystywane przez lotnictwo transportowe. Dlatego też nie było konieczności, przy okazji wprowadzenia do służby C-295M, poczy-

nienia tak wielu inwestycji od zera, jak w Powidzu, gdzie wcześniej stacjonowały myśliwsko-bombowe Su-22. Wystarczyło dostosować istniejące obiekty do potrzeb nowych statków powietrznych, które mają podobne rozmiary jak An-26. „Ze względu na to, że jest to lotnisko współużytkowane, inwestycje dotyczące dróg kołowania i startowych wykonuje Międzynarodowy Port Lotniczy”, wyjaśnia mjr Maćkowiak. Kilka tygodni temu na Balicach zakończył się właśnie remont dróg kołowania i płaszczyzn postojowych. Port cywilny rozpoczął także budowę wieży kontroli lotów. W nowym obiekcie jedno piętro zostanie udostępnione kontrolerom wojskowym. To jednak nie wszystkie inwestycje. W 2014 roku 8 Baza wybudowała skład mps (materiały pędne i smary), przygotowuje się także do powiększenia płaszczyzny postojowej dla swoich maszyn i budowy kolejnego hangaru. Jesienią na potrzeby stacjonującej na Balicach grupy poszukiwawczo-ratowniczej oddano do użytku także lekki hangar dla śmigłowca, mieszczący Mi-8. W części wojskowej lotniska kluczową inwestycją jest obecnie budowa budynku pod symulator C-295M. Urządzenie rozpocznie pracę w 2017 roku. To jednak nie zaspokaja wszystkich potrzeb. Pilnego remontu w 8 Bazie wymaga infrastruktura sportowa oraz domek pilota.

Najmłodszą bazą w Skrzydle jest Warszawa-Okęcie, którą podporządkowano mu dopiero w 2013 roku. W tym wypadku wojsko korzysta z niewielkiej, wydzielonej części cywilnego portu lotniczego. „Na Okęciu liczne obiekty wymagają modernizacji lub remontu”, stwierdza mjr Nowak. Najnowszą inwestycją jest w warszawskiej bazie oddany w tym roku do użytku hangar, który zaprojektowano przed laty z myślą o średnich samolotach specjalnych, jak Tu-154. Remonty obejmują budynki sztabowe. Możliwe, że na Okęciu powstanie też budynek dla symulatora śmigłowca W-3.

„Inwestycje w całym 3 Skrzydle są rzeczywiście imponujące. Dzięki nim nasze bazy prezentują poziom światowy”, stwierdza jego były dowódca. Oprócz nich ogromny wpływ na funkcjonowanie lotnisk wojskowych będą miały zmiany w prawie lotniczym. Jedną z najważniejszych jest zgoda na lądowanie cywilnych statków powietrznych na lotniskach wojskowych. Dotychczas czarterowane wielkie transportowce mogły korzystać tylko z tych cywilnych, co komplikowało transport i zwiększało jego koszty. ■



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Przed startem

Desantowanie ludzi i kilkutonowych ładunków, loty w ugrupowaniu i wielogodzinne misje w powietrzu – latanie samolotem transportowym nie jest łatwe.

Wyzwania, jakie stoją dziś przed lotnictwem transportowym, są bardzo zróżnicowane. Maszyny zapewniają transport powietrzny, biorą udział w działaniach powietrznodesantowych, powietrznej ewakuacji medycznej, wspierają operacje specjalne oraz inne misje. Do wykonania tych zadań jest niezbędny odpowiednio wykwalifikowany personel. Szkolenie pilotów transportowych jest wieloetapowe. Zaczyna się od Szkoły Orłąt, a później przenosi się do jednostek wojskowych.

NAUKA LATANIA

Jeszcze do niedawna w bazach lotnictwa transportowego narzekano na poziom wyszkolenia absolwentów Szkoły Orłąt. Głównym problemem było to, że młodzi piloci studia kończyli z niewielkim doświadczeniem w powietrzu, co z kolei trzeba

było nadrabiać w jednostkach lotniczych. Ostatnio jednak krytyki nie słysząc. Duży wpływ na właściwe przygotowanie pilotów ma zmieniony program nauczania Akademickiego Ośrodka Szkolenia Lotniczego dęblińskiej uczelni. „Koncepcja szkolenia lotniczego w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych przeszła znaczną transformację. Dzięki nowemu systemowi pilot, który do nas trafia, ma dobrze ugruntowaną wiedzę i po krótkim przygotowaniu może usiąść za sterami samolotu”, mówi płk pil. Krzysztof Cur, dowódca 8 Bazy Lotnictwa Transportowego na Balicach.

W listopadzie 2015 roku patenty oficerskie odebrało 74 absolwentów Szkoły Orłąt, w tym 33 pilotów. Dwóch z nich usiadł za sterami samolotów transportowych, a 18 – śmigłowców. Lotnicza młodzież już za kilka tygodni zamelduje się w jednostkach zgodnie z przydziałem.





Ukończenie WSOSP nie oznacza, że jej absolwenci od razu zaczną działać w powietrzu. Najpierw muszą przejść szkolenie lotnicze w jednostkach, a to proces dość długi i skomplikowany. Przygotowanie do lotów na statku powietrznym nowego typu może być rozciągnięte w czasie, bo w dużym stopniu zależy ono od dostępności instruktorów, dobrej pogody, limitów paliwa, resursu statków powietrznych oraz liczby zadań operacyjnych, które w jednostkach są traktowane priorytetowo.

Obciążenie związane ze szkoleniem młodych pilotów jest widoczne zwłaszcza na przykładzie jednostek podległych 3 Skrzydłu Lotnictwa Transportowego. Absolwenci WSOSP, którzy po studiach rozpoczynają służbę w strukturach 3 Skrzydła, są rozdzieleni między 8 i 33 Bazę Lotnictwa Transportowego oraz grupy poszukiwawczo-ratownicze w Świdwinie, Mińsku Mazowieckim i Krakowie. Przez ostatnie sześć lat w lotniczych jednostkach transportowych i poszukiwawczo-ratowniczych służbę rozpoczęło około 70 podporuczników (kilku z nich awansowało już na kolejny stopień oficerski). „Dla jednostek, które wykonują loty operacyjne, świadczą usługi transportu lotniczego na rzecz kilkunastu różnych podmiotów, łącznie z przewozem VIP-ów, taka liczba młodych lotników do zagospodarowania to prawdziwe wyzwanie”, opowiada jeden z oficerów. „Bardzo wiele wysiłku kosztuje zaplanowanie szkolenia dla takiej grupy”, dodaje pilot.

W wypadku baz transportowych młodzi lotnicy muszą opłacać obsługę samolotów M-28 B/PT Skytruck lub Glass Cocpit. Po przyjściu do jednostki są wysyłani na szkolenie teoretyczne do zakładów w Mielcu. Podczas kilkutygodniowych

kursów uczą się budowy samolotu, przechodzą treningi w kabinie, ćwiczą uruchamianie silników. Po teorii i po obowiązkowej praktyce na symulatorach zdają egzaminy. Po pozytywnej weryfikacji wracają do swoich jednostek.

KROK PO KROKU

W bazach podporucznicy zaliczają szkolenie naziemne (to dwutygodniowy cykl zajęć z różnych przedmiotów, rozszerzona wersja kursu teoretycznego) i dopiero po kolejnych egzaminach są wpuszczani do samolotów. „Każdy uczy się pod opieką swojego instruktora”, uzupełnia płk Cur. Początkowo wykonują podstawowe zadania, np. latają do wyznaczonej strefy, ćwiczą obsługę urządzeń radionawigacyjnych. Z czasem te czynności wykonują przy złej pogodzie, a potem jeszcze nocą.

„To normalne, że w jednostkach operacyjnych trzeba uczyć młodzież. Szkoła przygotowuje ich do pilotażu na innym typie samolotów, a w jednostkach pracują na innych, bardziej zaawansowanych technicznie statkach powietrznych. Uczelnia daje im podstawy, bazy lotnicze przygotowują do latania operacyjnego i bojowego”, przyznaje kpt. Włodzimierz Baran, rzecznik prasowy 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego.

Kadra dowódcza jednostek transportowych patrzy w przyszłość z optymizmem. „Dostajemy podporuczników wyszkolonych, mających licencję pilota turystycznego i inne uprawnienia. Poziom przygotowania lotników do służby jest coraz wyższy. Selekcja kandydatów jest robiona w szkole. Do nas przychodzą podporucznicy z konkretną wiedzą i odpowiednim nalotem.



PIOTR ŁYSAKOWSKI



Piloci herculesów pierwszy raz lądowali na przygodnych lądowiskach siedem lat temu w Stanach Zjednoczonych. W Polsce to zadanie wykonywali dopiero wiosną 2014 roku.

TRANSPORTOWCE PO EUROPEJSKU

Europejska Agencja Obronna (European Defence Agency – EDA) kilka lat temu uruchomiła program szkoleniowy dla jednostek lotnictwa transportowego z krajów Unii Europejskiej. Jest on wzorowany na TLP – taktycznym kursie dla pilotów samolotów bojowych UE i NATO, który odbywa się w Hiszpanii. Jego głównym celem jest opracowanie jednolitego standardu taktycznego dla lotnictwa transportowego Unii Europejskiej i NATO, następnie nauczanie go na kursach i treningach. W programie przewidziano: zaawansowany kurs taktyki lotnictwa transportowego, trening lotnictwa transportowego, zaawansowany kurs instruktorów taktycznych oraz europejskie sympozjum lotnictwa transportowego.

Na temat wspólnego szkolenia załóg samolotów transportowych rozmawiano kilka tygodni temu w Wiedniu. W spotkaniu wzięli udział przedstawiciele kilkunastu państw uczestniczących w projekcie lub zainteresowanych nim: Austria, Belgia, Bułgaria, Czechy, Finlandia, Francja, Hiszpania, Holandia, Niemcy, Portugalia, Szwecja, Włochy oraz Polska (dotychczas mamy status obserwatora programu). Lotnictwo polskich sił zbrojnych reprezentował m.in. pilot z 8 Bazy Lotnictwa Transportowego, kpt. Michał Zychowicz. „To bardzo ciekawa inicjatywa, której przyglądam się od dwóch lat. W Europie organizuje się coraz więcej operacji połączonych i wielonarodowych. Żeby wykonywać zadania w powietrzu bezpiecznie, trzeba legitymować się kwalifikacjami na wysokim poziomie. A te nabyć można jedynie podczas wspólnych treningów i szkoleń”, wyjaśnia kapitan. „Według mnie to jedyna droga rozwoju zdolności taktycznych lotnictwa transportowego”, dodaje. Do zalet programu zaliczyć można: wymianę doświadczeń oraz dostęp do najwyższej klasy instruktorów. Ale najważniejsze jest to, że szkoląc się według jednego programu, piloci zyskują umiejętności rozpoznawalne na arenie międzynarodowej.

Jeżeli Ministerstwo Obrony Narodowej zgodzi się na uczestnictwo personelu latającego z 8 Bazy Lotnictwa Transportowego w projekcie, to pierwsza załoga będzie mogła ruszyć na szkolenie już w przyszłym roku.

Większość legitymuje się trzecią klasą pilota wojaskowego. To efekt zmian, jakie zaszły w Akademickim Ośrodku Szkolenia Lotniczego”, mówi płk Cur. Według obowiązujących w Dęblinie wytycznych studenci w salach wykładowych i na symulatorach spędzają trzy i pół roku. Dopiero przez ostatnich 18 miesięcy nauki siadają za sterami śmigłowców i samolotów (wcześniej uczyli się w systemie przemennym, tzn. latali wiosną i latem, a zimą szkolili się na wykładach i w symulatorach).

Mjr Tomasz Ziółkowski z wydziału wychowawczego WSOSP informuje, że z dwóch absolwentów studiów na kierunku pilot samolotu transportowego tylko jeden naukę ukończył z trzecią klasą pilota, tzn. jest przygotowany pod względem pilotażowym i nawigacyjnym do lotów jako drugi pilot w dzień i w nocy według VFR (Visual Flight Rules – z widocznością) i IFR (Instrument Flight Rules – według przyrządów). W powietrzu lotnik musi spędzić nie mniej niż 180 godzin.

DOŚWIADCZENI MOGĄ WIĘCEJ

Piloci, którzy przejdą szkolenie na samolotach M-28 i uzyskają uprawnienia dowódców załóg, mogą być typowani do przekwalifikowania na inny typ statku powietrznego. W wypadku Powidza będzie to C-130 Hercules, a na Balicach CASA C-295M. Załogi herculesów przechodzą szkolenie w USA, a piloci „kasiek” w Hiszpanii.

Po podstawowym szkoleniu z pilotażu na większych transportowcach rozpoczynają się loty taktyczne. Dotyczy to m.in. lotów na małych wysokościach, w górach i nad morzem. Do tego typu działań jest także zaliczane desantowanie skoczków i zrzut tary desantowej. Obowiązkowo piloci szkolą się także na symulatorach. Powidzcy lotnicy trenują w USA, baliccy dwa razy w roku ćwiczą wir-

tualnie w Sewilli, a pilotujący M-28 B/PT – w 41 Bazie Lotnictwa Szkolnego. To jednak nie wszystko. Piloci transportowców wykonują także lądowania na nieutwardzonych lądowiskach i latają nocą z użyciem noktowizji.

Piloci herculesów pierwszy raz lądowali na przygodnych lądowiskach siedem lat temu w Stanach Zjednoczonych. W Polsce to zadanie wykonywali dopiero wiosną 2014 roku. Mjr pil. Marcin Szubiński, ówczesny szef Grupy Działań Lotniczych 33 Bazy, mówił wtedy, że to jedno z zadań, do jakich musi być przygotowany każdy pilot samolotów transportowych: „My przede wszystkim musimy dostarczyć ładunek. Możemy to robić, zrzucając cargo na spadochronach lub bez nich albo po prostu wylądować. Może się więc zdarzyć, że przyjdzie nam »posadzić« samolot na piachu, trawie lub na drogach szutrowych”.

Lądowanie na trawie zainicjowali w Polsce Amerykanie, którzy przylatują do Powidza w ramach pododdziału rotacyjnego Aviation Detachment. Zaraz po herculesach podobne szkolenie przeszły załogi C-295M z Balic. Dowódca 8 Bazy Lotnictwa Transportowego przyznaje, że dla pilotów to doskonała okazja, by się rozwijać zawodowo. „Szkolimy się z zadań bojowych w czasie pokoju. Nie wiadomo kiedy te umiejętności będziemy musieli wykorzystać podczas realnej misji”, dodaje dowódca krakowskich lotników. Na trawie od 21 lat lądują także lekkie samoloty M-28.

Wyzwaniem szkoleniowym są loty z wykorzystaniem gogli noktowizyjnych. W NVG (Night Vision Goggles) latają piloci transportowi powidzkich samolotów C-130 Hercules, M-28 B/PT Skytruck i Glass Cocpit oraz CASA C-295M. Część z lotników ukończyła szkolenie podstawowe i zaawansowane z zastosowania NVG. ■

CIEŻARÓWKĄ W PRZESTWORZA

Z Marcinem Wiktorowskim

o specyfice pilotażu samolotów transportowych
rozmawia Anna Dąbrowska.

Gdy zapytać żołnierzy, z czym kojarzy się im lotnictwo transportowe, można usłyszeć trzy określenia: długo, nudno i bezpiecznie. Czy zgodzi się Pan z tym?

Częściowo tak. Na pewno jest długo. Przeloty trwają od półtorej, dwóch godzin do nawet sześciu, siedmiu. Mój najdłuższy lot bez międzylądowania, ze stolicy Czadu, Ndżameny, do Polski, trwał aż 11 godzin.

Jest jakiś patent, aby w czasie takich długich przelotów nie tracić czujności?

Rutyna jest naszym wrogiem. Trzeba bez przerwy być czujnym i na swoje doświadczenie patrzeć z dystansem. W trakcie wielogodzinnych lotów jest czas na rozmowę, a nawet wypicie kawy czy zjedzenie śniadania, ale są też takie fazy lotu, kiedy kończymy rozmowy i skupiamy się na zadaniu. Do takich momentów należą start, lądowanie, ale też przekraczanie granic państw czy zmiany trasy.

Nudno więc nie jest.

Na pewno nie, nawet na długich trasach w kokpicie cały czas coś się dzieje. Przelatujemy z państwa do państwa, jednego regionu odpowiedzialności do drugiego. Zdarzają się kłopoty z łącznością, na przykład nad górami, a do tego herculesy nie są młodymi maszynami, więc niekiedy coś się psuje i trzeba sobie z tym radzić.

Który lot uważa Pan za najtrudniejszy?

W trakcie wykonywania zadania nad Krzesinami w herculesie jednocześnie zaczęło szwankować kilka systemów. Zawiódł system hydrauliczny, co spowodowało konieczność awaryjnego wypuszczenia podwozia, ponadto wyciek płynu hydraulicznego stał się powodem do wyłączenia jednego z silników w powietrzu. Nie mogliśmy lądować i szybko trzeba było podjąć kilka decyzji. Na szczęście C-130 daje pilotom i całej załodze

dużo możliwości rozwiązywania problemów. 90% zdarzeń w tej maszynie nie dzieje się w jednej chwili, ale daje czas na opanowanie sytuacji. Nie jesteśmy też skazani wyłącznie na elektronikę i komputery, możemy więc sięgnąć po rozwiązania mechaniczne. Na przykład, gdy zawiedzie system opuszczania podwozia głównego, to można zwolnić zamki i powinno się ono samo, grawitacyjnie, wysunąć i zablokować. Niemniej jednak jest jeszcze kilka innych sposobów na poradzenie sobie z tą sytuacją. W takim momencie liczą się też dobra załoga i zgrani ludzie. Jeśli każdy wie, co ma robić, wszystko przebiega sprawnie. Wtedy nad Krzesinami też sytuację udało się opanować i bezpiecznie wylądować.

Pilotował Pan wcześniej samoloty bojowe. Czy jest duża różnica w zasiadaniu za sterami myśliwców i transportowców?

Na transportowcach latałem od 2007 roku, a wcześniej przez siedem lat pilotowałem odrzutowe myśliwsko-bombowe Su-22 i faktycznie jest to zupełnie inne latanie. Wykonywanie zadań na samolotach bojowych pod względem odczucia dla organizmu to nieustanna walka. Duże prędkości, małe wysokości, szybkie zmiany parametrów lotu – kierunku i wysokości, z tym się walczy. W locie transportowym jest natomiast pełna stabilizacja – stała wysokość i prędkość. Nie ma też dużych przeciążeń. Co prawda w ramach szkolenia wykonujemy loty taktyczne samolotami transportowymi i ćwiczymy manewry przeciw-rakietowe. Przeciążenie dochodzi wtedy do 3G, ale to naprawdę niewiele w stosunku do 6–7G na maszynach bojowych.

Czyli to trochę jakby przesiąść się z ferrari do tira?

Tak, to był ogromny przeskok, zwłaszcza jeśli chodzi o prędkości. Z Su-22 trafiłem na trzy lata za stery M-28 Bryza. To maszyny dużo wolniejsze. Dla przykładu, w Su-22 przy lądowaniu prędkość nad pasem spada do 300 km/h, a w M-28 jest to około 140 km/h. Herculesy natomiast w porównaniu do bryz są ogromne, a mimo to bardzo przyjemne w pilotażu. M-28 nie

mają wspomaganie hydraulicznego sterów, dlatego, aby je pilotować, są potrzebne nie tylko umiejętności, lecz także siła fizyczna. Za to C-130 można prowadzić niemal dwoma palcami. Można nim lądować też tak delikatnie, że pasażerowie nawet nie poczują momentu przyziemienia.

Czy są jeszcze inne różnice w pilotowaniu tych maszyn?

Oczywiście. W samolotach transportowych jest sporo ograniczeń manewrowych, przede wszystkim na przechyleniu. Maszyną bojową można zrobić właściwie wszystko, łącznie z beczkami i pętlami, podczas gdy samoloty transportowe wolno przechylić najwyżej do 60 stopni. Nie robi się też nimi głębokich nurkowań, przede wszystkim ze względu na pasażerów. Inny jest też charakter pracy pilota myśliwskiego i transportowego. Ten pierwszy lata nad poligonami, zrzuca bomby, ostrzeliwuje cele z działka, czyli prowadzi typowe działania bojowe. Moim zadaniem jest natomiast przewożenie ludzi i sprzętu z miejsca na miejsce. Inaczej lata się też z załogą niż samemu. Na pokładzie herculesa jest dwóch pilotów, inżynier, nawigator pokładowy i jeden lub dwóch techników załadunku. Jeśli coś się dzieje, można podzielić się zadaniami, jest też możliwość poszukiwania rozwiązania w procedurach i instrukcjach.

Jaki najdziwniejszy ładunek Pan wiozł?

Wozimy wiele rzeczy: kontenery, cargo, pasażerów, skoczków i sprzęt wojskowy. Chyba jednak najśłynniejszym ładunkiem na pokładzie był renault FT-17, pierwszy czołg polskiej armii, prawdopodobnie wykorzystywany w wojnie polsko-bolszewickiej. Podczas tego lotu z Bagram w 2012 roku byłem drugim pilotem. Czołg okazał się łatwy do przewiezienia, ważył nieco poniżej 6 t i zmieścił się na dwóch paletach lotniczych. Zdecydowanie bardziej emocjonujące i ciekawe są natomiast loty z desantowaniem.

Dlaczego?

Są bardziej wymagające. We wrześniu jako pierwszy w Polsce wykonałem desant żołnierzy wojsk specjalnych z prawie 10 tys. m. To specyficzny lot i bardzo wymagający dla organizmu. Samolotu nie hermetyzujemy i kiedy się wznosimy, ciśnienie spada. Do 8 tys. m problemem jest niedotlenienie, ale maska tlenowa wtedy wystarcza. Przy wznoszeniu się wyżej organizm jest jednak narażony na hipoksję, czyli objawy związane z obniżeniem parcjalnego ciśnienia tlenu spowodowane spadkiem ciśnienia atmosferycznego. Może to prowadzić do utraty przytomności, a nawet śmierci. Dlatego przed taką misją, już siedząc w kabinie samolotu, oddychaliśmy przez godzinę



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Herculesa można prowadzić dwoma palcami, tak jest lekki i przyjemny „na sterach”

czystym tlenem. Mimo to po wejściu na dużą wysokość odczuwałem skutki spadku ciśnienia – mrowienie w całym ciele i bóle mięśniowe.

We wrześniu desantował Pan też nad Pustynią Błędowską rekordowy zrzut 16 zasobników...

To prawda, po raz pierwszy na pokładzie herculesa mieliśmy maksymalną liczbę, czyli 16 tak zwanych CDS-ów [Container Delivery System]. Każdy z zasobników waży około 500 kg, czyli na pokładzie było ponad 9 t ładunku. Desantowanie ich to spore wyzwanie dla pilotów. Hercules leciał na wysokości 200 m z prędkością około 220 km/h. Pilot musi otworzyć rampę i zwiększyć pochYLENIE samolotu o około osiem stopni powyżej linii horyzontu, zadzierając przód maszyny do góry. Dzięki temu kontenery opuszczają pokład metodą grawitacyjną, wyjeżdżając z ładowni na specjalnych rołkach. Zasobniki opadają potem na ziemię na spadochronach.

Czy nie brakuje Panu lotów bojowych?

Nie. Co prawda na myśliwcu można się pilotażowo wyszaleć, ale ja już się tak nalatałem w szkole w Dęblinie i na Su-22. Za to teraz, zasiadając za sterami transportowców, mam radość ze zwiedzania świata. W życiu nie zobaczyłbym tylu miejsc, gdyby

nie latanie. Byłem w Afganistanie, Tadżykistanie, Uzbekistanie, Azerbejdżanie, Gruzji, w większości państw Europy, w Afryce Północnej i Czadzie. Cieszyłbym się za to, gdyby nasi zwierzchnicy pomyśleli już teraz o zakupie młodszych średnich samolotów transportowych, jakimi są herculesy, które pomimo swojego wieku wciąż misja po misji udowadniają swoją przydatność i niezbędność.

Co jest najfajniejsze w lataniu?

Oderwanie się od codzienności. Uczą nas już tego w szkole lotniczej, aby umieć szufladkować problemy. Kiedy się wsiada za stery, to kłopoty domowe, rodzinne czy dotyczące pracy biurowej w jednostce powinno się zostawić na ziemi i myśleć tylko o locie. Pilotując maszynę, trzeba mieć też podzielność uwagi, ale jednocześnie umieć się całkowicie skupić na zadaniu. Trzeba mieć zawsze plan awaryjny i umieć przewidywać konsekwencje tego, co się dzieje teraz. Podczas lotu najważniejsze jest bowiem to, co się za chwilę wydarzy. I trzeba być zawsze przygotowanym na ten następny krok. ■

KPT. PIL. MARCIN WIKTOROWSKI JEST DOWÓDCĄ ZAŁOGI C-130 W 33 BAZIE LOTNICTWA TRANSPORTOWEGO W POWIDZU.

Dowódca 8 Bazy Lotnictwa Transportowego płk pil. Krzysztof Cur przyznaje, że „loty dla »Akcji Serce« nigdy nie są łatwe. Załogi wykonują swoje zadania najczęściej w nocy, w różnych warunkach atmosferycznych. Ale mimo wszystko nikt się nie skarży i żaden z lotników przez 30 lat nie odmówił wykonania takiego zadania”.

HISTORYCZNY POCZĄTEK

Najczęściej narządy do przeszczepu na pokładzie swoich samolotów przewożą piloci z balickiej jednostki. Współpracę regulują umowy zawarte między Ministerstwem Zdrowia a Ministerstwem Obrony Narodowej. Według ustaleń międzyresortowych wojskowi piloci wykonują loty w ramach „Akcji Serce” nieodpłatnie, traktując je jako zadania szkoleniowe. Transport lotniczy narządów do przeszczepu jest obecnie wykonywany dla pięciu klinik. „Mimo wielu zadań operacyjnych nałożonych na nas przez przełożonych, dla »Akcji Serce« jesteśmy dyspozycyjni niezależnie od dni wolnych i świąt. To oczywiście spore obciążenie dla załóg, ale wykonujemy te zadania honorowo. Uziemić może nas tylko zła pogoda”, dodaje dowódca balickich lotników.

Współpracę transplantologów z wojskiem zainicjował kardiochirurg Zbigniew Religa. 5 listopada 1985 roku poprosił szefa Sztabu Generalnego WP o pomoc w dostarczeniu drogą lotniczą serca dla pacjenta, który czekał na operację w klinice w Zabrze. Organ miał być pobrany w Szczecinie i ze względu na dużą odległość i ograniczenia czasowe nie można go było przewieźć w karetce (od pobrania narządu u dawcy do wszczepienia u biorcy nie mogło wówczas minąć więcej niż trzy godziny). Szef Sztabu Generalnego zgodził się na transport lotniczy na Śląsk. Zadanie mogły wykonać odrzutowce TS-11 Iskra lub transportowce Jak-40, An-2, An-12 i An-26. Ostatecznie zdecydowano, że to właśnie An-12 poleci po serce. Samolot służył wówczas w 13 Pułku Lotnictwa Transportowego na Balicach.

Późnym wieczorem do jednostki stawiała się sześćosobowa załoga lotników. Wśród nich było dwóch pilotów: kpt. Stanisław Florek i kpt. Wiesław Kijak. Na pokład antonowa wsiadł także zespół lekarzy ze Zbigniewem Religą na czele. „To był bardzo stresujący lot. Musieliśmy pokonać 700 km w powietrzu przy bardzo złej pogodzie. Z Krakowa poleciliśmy do Goleniowa, gdzie czekał dawca. Wówczas nie przewoziło się samych narządów do przeszczepu, lecz

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Lot z sercem

Od trzech dekad wojsko wspiera „Akcję Serce”. Dzięki przewożeniu narządów do przeszczepu, lotnicy pomogli uratować kilkuset ciężko chorych pacjentów.



dawcę podpiętego do aparatury w specjalistycznej karetce. Gdy wylądowaliśmy w Katowicach, lekarze już karetkami ruszyli do kliniki w Zabrze. I choć na tym nasza rola się zakończyła, to stres towarzyszący tamtym wydarzeniom pamiętam do dziś. Następnego dnia zadzwonił do nas Zbigniew Religa z informacją, że się udało. Pacjent otrzymał serce na czas i przeżył. Bardzo się cieszyliśmy”, opowiada pplk w st. spocz. pil. Wiesław Kijak. „Z czasem takich lotów przybywało. Bardzo się cieszyliśmy, że możemy komuś nieść pomoc. Lataliśmy głównie nocą. Pamiętam, że dwukrotnie wezwano mnie nawet z balu sylwestrowego”, wspomina.

Trzy lata później, w 1988 roku, loty na rzecz transplantologii odbywały się już oficjalnie pod nazwą „Akcja Serce”. Wtedy też podpisano pierwszą umowę na nieodpłatne świadczenie przez wojsko usług transportu lotniczego dla polskich ośrodków transplantacyjnych.

SETKI URATOWANYCH

Zadania powietrzne dla „Akcji Serce” to długie, kilkuetapowe loty, które zwykle odbywały się przy niskiej podstawie chmur, w deszczu lub oblodzeniu. Załogi latały

jednak nie tylko w Polsce. Zdarzały się także wyloty do Austrii, Niemiec, Czech i Rosji po specjalistyczny sprzęt do przeszczepów serca dla klinik lub lekarzy konsultantów. Przewożono również polskich lekarzy mających wykonać pilne operacje kardiologiczne w państwach ościennych.

Najwięcej humanitarnych lotów wykonano w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Piloci latający dla „Akcji Serce” spędzali wówczas w powietrzu do 200 godzin rocznie. W latach 2010–2013 wykonano kilkanaście misji lotniczych, które zajęły około 35 godzin. Rok temu odbyło się 17 misji, trwających łącznie ponad 60 godzin. W 2015 roku 11 lotów zajęło około 50 godzin.

Do 2010 roku w loty humanitarne angażowały się głównie nieistniejące już 36 Pułk Lotnictwa Transportowego z Okęcia oraz 13 Pułk Lotnictwa Transportowego z Balic. Obecnie te zadania wykonuje lotnictwo marynarki wojennej, ale specjalizuje się w tym 8 Baza Lotnictwa Transportowego w Krakowie, której załogi latają samolotami CASA C-295M. Przez trzydzieści lat służby na rzecz „Akcji Serce” wszyscy wojskowi lotnicy spędzili w powietrzu 7625 godzin, ratując życie kilkuset ciężko chorych pacjentów. ■

WAŻNE SPOTKANIE

Stowarzyszenie Transplantacji Serca i Stowarzyszenie Lotników Polskich w 30. rocznicę pierwszego udanego przeszczepu serca wykonanego przez Zbigniewa Religę zorganizowały spotkanie, na którym uhonorowano lotników i osoby zaangażowane w akcję humanitarną. Na terenie 1 Bazy Lotnictwa Transportowego spotkali się m.in. lekarze i oficerowie, którzy wielokrotnie uczestniczyli w „Akcji Serce” oraz osoby po przeszczepie.



|PODOFICEROWIE|

PIOTR BERNABIUK

TERAZ ALBO NIGDY

W Dowództwie Generalnym, po kilku latach spowolnienia, na plan pierwszy powróciła kwestia nadania właściwej rangi korpusowi podoficerskiemu. Podział ról i kompetencji między oficerów i podoficerów będzie decydował o wartości bojowej armii.



F

ormowanie nowoczesnego korpusu podoficerskiego w polskich siłach zbrojnych trwa drugie dziesięciolecie. Proces rozpoczęty w 2004 roku, początkowo traktowany jako „śmiały eksperyment” i „próba amerykańzowania wojska”, z czasem, wraz z rozwojem armii, szczególnie po doświadczeniach operacji w Iraku i Afganistanie, stał się koniecznością. Potrzebowaliśmy wówczas, a teraz potrzebujemy coraz bardziej, podziału odpowiedzialności za przygotowanie bojowe armii między oficerów i podoficerów.

Jako ojciec chrzestny projektu przejście do historii gen. broni Edward Pietrzyk, ówczesny dowódca wojsk lądowych. Odważne decyzje generała, utworzenie struktury pomocników dowódców do spraw podoficerów, następnie zorganizowanie dla nich bezprecedensowego, prowadzonego przez amerykańskich sierżantów majorów z Joint Multinational Command Training Center, kursu w elbląskiej 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej, przyniosły spore zmiany.

W dywizjach, brygadach i samodzielnych batalionach wojsk lądowych u boku dowódców ustawiono chorążych, mających pełnić nie do końca jeszcze jasną funkcję sierżantów majorów. Bo oto, po prawicy wodza, w areopagu oficerów najwyższych rangą, miał się znaleźć chorąży odpowiadający za morale i wyszkolenie wszystkich podoficerów i szeregowych.

Sceptycy cichcem liczyli na to, że po odejściu ze stanowiska gen. Pietrzyka wszystko wróci do stanu poprzedniego. Mieli pecha. Jego następcą, kreatywnym reformator gen. broni Waldemar Skrzypczak, jeszcze dowodząc 11 Lubuską Dywizją Kawalerii Pancernej, opierał się na swoich najstarszych rangą podoficerach. Gdy został dowódcą wojsk lądowych, sekundował mu naładowany wiedzą i emocjami st. chor. sztab. Mariusz Piwoński, który dopiero co wrócił z El Paso, amerykańskiej akademii dla podoficerów starszych w Fort Bliss. Rozpoczęły się spotkania generała z podoficerami, długie rozmowy, zachęcanie i konsultacje. W kulminacyjnym momencie Piwoński zaprosił do Polski amerykańskiego oficera i jego CSM-a (Command Sergeant Major) na serię spotkań w Drawsku, we Wrocławiu, w Krakowie i Warszawie,

podczas których polscy dowódcy za swoimi pomocnikami uczyli się nowego typu relacji.

Kiedy stanowisko dowódcy wojsk lądowych objął gen. dyw. Tadeusz Buk, zapachniało rewolucją. Wywiad, którego udzielił „Polsce Zbrojnej” (nr 19/2010), do dziś pozostaje kultowym tekstem przytaczanym przez liderów korpusu przy każdej okazji. Po tej rozmowie wszystko wydało się jasne – armia w kwestii podoficerskiej potrzebuje nie tylko kontynuacji rozłożonej w czasie reformy, lecz także doraźnych i radykalnych zmian.

Po śmierci gen. Tadeusza Buka w katastrofie smoleńskiej zabrakło jednak kontynuatora dzieła. Zajmujący już wówczas zupełnie inne stanowisko gen. Waldemar Skrzypczak, który próbował nadal wspierać sprawę, doprowadził wprawdzie do spotkania środowiska podoficerskiego, CSM-ów i mężów zaufania z ministrem obrony narodowej, ale niestety, oprócz samego generała, nikt do tego zadania nie był odpowiednio przygotowany. Nie dyskutowano zatem o pryncypiach, lecz o takich sprawach, jak dopasowywanie mundurów dla kobiet.

Okresu, który nastąpił później, zarówno w wojskach lądowych, jak i Dowództwie Generalnym, nie można nazwać rozwojowym. CSM pojawiali się wprawdzie u boku wysokich rangą przełożonych przy różnych okazjach, ale nie za tym nie szło. Zmarnowano sporo potencjału ludzkiego. Wykształceni w El Paso podoficerowie odchodzili do cywila albo zajmowali stanowiska niemające nic wspólnego z ich dorobkiem. Na szczęście były jednostki, m.in. obie brygady aeromobilne, w których projekt współpracy dowódców z ich CSM-ami nadal się rozwijał, pomocnicy dowódców zyskiwali tam coraz większy wpływ na wydarzenia w korpusach podoficerów i szeregowych. W 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej ogromną robotę wykonał st. chor. sztab. Jan Sabiło. Po nim st. chor. sztab. Andrzej Woltmann, partnerujący swemu dowódcy gen. bryg. Rajmundowi T. Andrzejczakowi, tworzył wzorce godne naśladowania.

PRZEŁOMOWE WARSZTATY

Jesienią 2015 roku reforma korpusu podoficerskiego wróciła na plan pierwszy. Podczas warsztatów podoficerskich, które odbyły się w Olesznie na poligonie drawskim, obradowało półtorej setki

FORMOWANIE NOWOCZESNEGO KORPUSU PODOFICERSKIEGO JEST JUŻ DZIŚ KONIECZNOŚCIĄ

CSM-ów z jednostek podległych dowódcy generalnemu. Podobnie jak przed 11 laty w Elblągu i później, wsparcia obradującym podoficerom udzieliła doświadczona ekipa amerykańskich sierżantów majorów Gwardii Narodowej stanu Illinois.

Podczas spotkania gen. broni Mirosław Różański wygłosił swoje credo i zwrócił się do liderów korpusu podoficerskiego o aktywne wsparcie rozwoju projektu: „Podział kompetencji nie może być linią demarkacyjną, którą oddzielimy oficerów i podoficerów, bo to jest niedopuszczalne. Musimy być świadomi, że nie mogą nadal wszyscy za wszystko odpowiadać. Generałowie i pułkownicy nie powinni się wypowiadać, jak ma być szkolony szeregowy. Stąd na pytanie, co należy zrobić, odpowiedzą oficerowie; odpowiedź na pytanie, jak to należy zrobić, będzie waszym zadaniem. Macie wspierać dowódców w organizacji szkolenia, co się przełoży na wykonywanie zadań w sytuacji kryzysu czy wojny. Tym, którzy uważają, że jeszcze do tego nie dorośliście, proponuję cytat z instrukcji szkolenia kawalerii z 1937 roku: »Nie wolno ograniczać roli podoficerów zawodowych do ciasnych ram robotników wykonawców, których nie można spuścić z oka. Niedowierzanie i ograniczanie samodzielności prowadzi do zastojów, a nawet obniżenia wartości kadry podoficerskiej. Udział kadry podoficerskiej w wychowaniu i odpowiedzialności za szkolenie da podoficerom poczucie przydatności dla wojska, wzbudzi zaufanie we własne siły, stworzy podniecie do pracy, w kierunku instruktorskiego doskonalenia. I podniesie ogólną wartość korpusu podoficerskiego«. Generał deklarację podjęcia działań o przywrócenie właściwej rangi podoficerów w siłach zbrojnych zakończył pytaniem: „Tylko czy wy tego chcecie? Czy chcecie, żeby korpus podoficerski był solą tej armii? Czy chcecie wziąć odpowiedzialność za szkolenie sił zbrojnych i przygotowanie do wykonywania zadań?”.

POSZUKIWANIE MODELU

W części roboczej warsztatów gen. Andrzejczak i chor. Woltmann podzielili się swoimi doświadczeniami z 17 WBZ.

Zaprezentowali m.in. funkcjonowanie i efekty systemu punktacji, który wprowadzili i testowali w brygadzie („Punkty zwrotne”, PZ z 27 września 2013 roku). Chor. Woltmann przy tej okazji zapewniał: „Sprawdziłem system na żywym organizmie, zyskałem narzędzie do wskazania najlepszych, a również najsłabszych podoficerów, potrzebujących pokierowania czy pomocy. System pozwalający na planowanie rozwoju podoficerów funkcjonuje obecnie w całej 11 Dywizji Pancernej”.

Gen. Andrzejczak uzupełnił, że „system punktacyjny jest tylko jednym z narzędzi. Jedynym mierzalnym, pozwalającym uniknąć sytuacji, w której opiniowany jest superżołnierzem, ale ma niskie oceny z wuefu, na żadnym strzelaniu nie był, cały czas przebywał na zwolnieniach”. Uznaniowość, zdaniem generała, bywa krzywdząca i nieobiektywna, a tu, kto ma więcej punktów, ten ma większe szanse.

Z punktacji wynikają dalsze konsekwencje, m.in. udział CSM-ów w ocenie podoficerów i szeregowych. Jak wynika z doświadczeń Woltmanna, do podejmowania trafnych decyzji dotyczących ludzkich losów jest konieczna dogłębna znajomość żołnierzy, nieustanny kontakt z nimi, szczere rozmowy.

Gen. Różański tak widzi kwestię podoficerów w przyszłości: „Wprowadzimy zasadę, że żaden wniosek dotyczący szeregowego czy podoficera nie przejdzie bez opinii podoficera starszego w dowództwie. Od decydowania, który żołnierz musi odejść, jest najpierw szef kompanii, potem CSM, a nie generał. Trzeba wówczas jednakże powiedzieć koledze w oczy: »Mnie nie obchodzi twoja sytuacja rodzinna, niespłacone kredyty, tylko interes armii«”.

Również gen. Andrzejczak podkreślał, że stanowisko CSM-a nie może być wygodną posadą. Uświadamiał więc podoficerom odpowiedzialność, jaką na siebie wzięli. Na zakończenie spotkania pytał podoficerów starszych w dowództwach: „Czy chcecie wziąć na siebie taką odpowiedzialność? Czy jesteście do swojej roli merytorycznie przygotowani?”.

Krzysztof Gadowski, CSM dowódcy generalnego, uzupełnił wypowiedź generała: „Jesteśmy na etapie zmian w karcie opi →

KOMENTARZ

SŁAWOMIR NASTAROWICZ

Trzeba dojść do tego, żeby nas traktowano poważnie. A jesteśmy w podobnej sytuacji jak kobiety w armii, które muszą się bardzo starać, by dostrzeżono, że jako żołnierze są równe mężczyznom. My też musimy się postarać, żebyśmy byli postrzegani jako partnerzy do rozmowy. Naszych dowódców nie ma na warsztatach podoficerów, a powinni usłyszeć, o czym mówimy. Należałoby bowiem zmienić mentalność, zarówno naszą, jak i naszych przełożonych. O ile oficerowie od podporucznika do kapitana jeszcze się z nami liczą, przynajmniej czasem rację, o tyle wyżej nasze racje znikają. I w szkoleniu, i w wychowaniu. Uczestnicząc w odprawach, głównie słucham żalów podoficerów i przekazuję to dowódcy.

St. chor. sztab. **Sławomir Nastarowicz** jest starszym podoficerem dowództwa Brygady Wsparcia Dowodzenia Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego.

su stanowiska, których celem jest podniesienie wymagań wobec pomocników dowódców ds. podoficerów. A to nie wszystkim się podoba”. Dodał przy okazji niezwykle istotną kwestię dotyczącą roli i miejsca CSM-ów w sytuacji wojennej: „Wiele mówimy o roli podoficera w czasie pokoju – że jest psychologiem czy szkoleniowcem. A gdzie jest jego miejsce w czasie wojny? Czy już dziś w trakcie ćwiczeń jedzie na odprawę, patrzy jak dowódca zorganizował system walki w brygadzie? Czy ma do tej roli odpowiednie doświadczenie, bo wcześniej był pomocnikiem dowódcy plutonu, szefem kompanii, instruktorem w szkole podoficerskiej?”.

KSZTAŁTOWANIE OFICERÓW

Formowanie nowoczesnego korpusu podoficerskiego w Siłach Zbrojnych RP nie jest już dziś traktowane jako „śmiały eksperyment”, lecz konieczność. Ostatniego dnia warsztatów w Olesznie podoficerowie starsi dowództw wypracowali pakiet wniosków mających wzmacnić ich pozycję, a tym samym usprawnić system szkolenia i dowodzenia armią.

Kluczową tezę w nim zawartą jest wsparcie swoich dowódców i przejęcie związanych z tym obowiązków. Pomogłoby w tym z pewnością powołanie rady złożonej z liderów środowiska, gremium opiniującego m.in. kandydatów na CSM-ów. Ci z kolei powinni być rekrutowani spośród autorytetów, żołnierzy z dużym doświadczeniem szkoleniowym, dobrze jeśli również bojowym, którzy zdobywali doświadczenia na stanowiskach pomocników dowódców plutonów, szefów kompanii, a także instruktorów szkół podoficerskich.

Chor. Krzysztof Gadowski zwrócił uwagę, że nie wszędzie byłaby to zupełna nowość: „Wprowadzimy system »promotion board«, działający już w niektórych jednostkach podległych dowódcy generalnemu rodzajów sił zbrojnych, gdzie grupa doświadczonych podoficerów z CSM-em na czele decyduje o awansach podoficerskich”.

Stanowczych kroków kadrowych wymaga też powołanie CSM-ów na szczeblu batalionów. Jeśli luka nie zostanie wypełniona, nie będzie mowy o sprawnie działającym systemie, o współpracy i komunikacji między kolejnymi szczeblami. W podoficerskim łańcuchu wsparcia nadal będzie brakowało niezwykle ważnego ogniwa.

Istotną sprawą jest zapisanie roli i obowiązków podoficerów starszych dowództw w aktach normatywnych, regulaminie ogólnym, a także w ceremoniale wojskowym. Trzeba jednak pamiętać, że sam zapis niewiele da, jeśli nie będzie mu towa-

rzyszyła, zarówno w przypadku przełożonego, jak i jego CSM-a, świadomość roli, jaką powinien odgrywać podoficer stojący u boku dowódcy. A do tego jest potrzebne znacznie szersze zrozumienie jego roli, również przez oficerów. O tym m.in. mówił w czasie warsztatów gen. broni Mirosław Różański: „W szkołach modelujących przyszłych oficerów szkołą oficerowie, którzy z wojskiem liniowym, z wykonywaniem zadań od lat nie mają nic wspólnego. [...] Mnie marzy się taki czas, kiedy to wy będziecie formować przyszłych generałów. Bo jeżeli w żołnierskim rzemiośle będą ich kształtować oficerowie ze szkoły, to pozostanie absolutnie niepożądany podział między korpusami”.

Zmiany powinny również objąć szkolnictwo podoficerskie, w którym, zamiast uczyć kandydatów na kaprali, doświadczonych już przecież żołnierzy, wszystkiego, należałoby rozwijać takie wartości, jak przywództwo czy patriotyzm.

Istotnym postulatem jest także gospodarka potencjałem ludzkim, której niedoskonałości widać na przykładzie absolwentów akademii podoficerskiej w El Paso, stanowiącej w korpusie odpowiednik kursu generalskiego. Z 34 podoficerów, którzy ją ukończyli, ledwie garstka wykorzystuje we właściwy sposób nabytą wiedzę. Chor. Gadowski nie owijał tu w bawełnę: „Armia z pewnością nie wykorzystwała właściwie zdobytego potencjału, więc pora zakończyć traktowanie MON-u jako biura podróży”.

W pokaznym pakiecie propozycji zmian znalazły się także pozycje, jak konieczność uwolnienia CSM-ów od pełnienia dodatkowych obowiązków i służb, w tym szczególnie łączenia dwóch kolidujących ze sobą ról – podoficera starszego dowództwa i męża zaufania.

Na drugi plan zeszły, co nie znaczy, że umknęły uwadze, kwestie finansowe. Dla dobra sprawy odłożono je na później, ale CSM stojący przy generale wysokiej rangi czy komendant szkoły podoficerskiej nie powinni być honorowani niżej od dowodzącego plutonem porucznika.

Podczas spotkania podoficerowie, ale również goszczący u nich generałowie Mirosław Różański i Rajmund T. Andrzejczak, podkreślali, że rozwijanie takich wartości, jak etos podoficera i współpraca partnerska z dowódcami, to nie tylko kwestia aktów normatywnych, lecz także odpowiedniego podejścia oficerów i podoficerów. Zmiany mentalne to jest jednak proces, który będzie trwał latami, o ile ktoś ponownie nie przerwie reformy. Bez nich będziemy się nadal z zapalem przygotowywać do tego, co było dawno temu. ■



BOGUSŁAW POLITOWSKI

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Kompleksy? Jakie kompleksy?

Mało kto się dziś ekscytuje wspólnymi ćwiczeniami żołnierzy naszych z tymi z najpotężniejszych armii świata. To znak, że dorównujemy im profesjonalizmem i doświadczeniem.

Jeszcze dekadę temu przyjazd na polski poligon pododdziałów innych armii NATO wzbudzał niemałą sensację. Widok opancerzonych i dobrze uzbrojonych hummerów przy naszych tarpanach wpędzał nas w kompleksy. Różnice w wyposażeniu indywidualnym również nie napawały optymizmem. Nic dziwnego, że polscy żołnierze przy kolegach z innych armii sojuszu czuli się czasami jak ubodzy krewni.

To już przeszłość. Gdy 27 października 2015 roku na poligon żagański zaczęli przyjeżdżać żołnierze amerykańscy z grupy zadaniowej stworzonej na potrzeby Heavy Detachment, na nikim nie zrobiło to szczególnego wrażenia. Nawet to, że po

raz pierwszy na tym terenie pojawiły się legendarne czołgi Abrams M1, samobieżne haubice M109 Paladin kalibru 155 mm, gąsienicowe bojowe wozy piechoty M2 i M3 Bradley oraz wiele niespotykanych tutaj wcześniej wozów dowodzenia i zabezpieczenia technicznego. I trudno się dziwić, wszak dla 10 Brygady Kawalerii Pancernej, która do połowy grudnia będzie dla Amerykanów partnerami w szkoleniu, rozpoczęły się kolejne zajęcia w międzynarodowym towarzystwie. W tym roku trenowali już wspólnie z żołnierzami z Niemiec, Wielkiej Brytanii, Belgii, Czech i Holandii. Procedury sojuszniczej współpracy mają więc opanowane do perfekcji.



KOMENTARZ

ERYK DEVER



Podczas zajęć z żołnierzami z Polski współpracujemy w małych pododdziałach. To ułatwia wzajemne poznanie, zrozumienie i osiąganie celów szkoleniowych. Dzięki temu jest mniej problemów z zaopatrzeniem logistycznym i ustalaniem planów zajęć. Profesjonalizm i olbrzymie doświadczenie zwiadowców z polskiego plutonu rozpoznawczego jest niepodważalne. To są doskonali specjaliści.

Por. Eryk Dever jest dowódcą plutonu rozpoznawczego armii USA.



Szkolenie amerykańskich żołnierzy na poligonie żagańskim jest elementem prowadzonej przez rząd USA operacji „Atlantic Resolve”, polegającej na wzmacnianiu

Nie bez powodu ppłk Paweł Michalski, dowódca 1 Batalionu Czołgów 10 Brygady, latem tego roku podczas kolejnego dnia ćwiczeń szpicy NATO na poligonie koło Świątoszowa powiedział, że jego pododdziały osiągnęły już taki profesjonalizm, że nie muszą się w szczególny sposób przygotowywać do zadań sojuszniczych. „Wystarczy, że się dowiemy, gdzie mamy jechać, abyśmy mogli pobrać odpowiednie mapy terenu, i już jesteśmy gotowi. Z całą resztą poradzimy sobie bez najmniejszego problemu”.

LEOPARDY KONTRA ABRAMSY

Przy pasie taktycznym obok tzw. wzgórza prezydenckiego na świętoszowskim poligonie trwa pokaz statyczny sprzętu biorącego udział w polsko-amerykańskim szkoleniu. Stoją tam m.in. dwa czołgi – Leopard 2A4 i Abrams M1. Przed wozami ich załogi. Polską dowodzi ppor. Jakub Słobodzian z 3 Kompanii Czołgów.

„Kompleksy? Jakie kompleksy?”, moje pytanie wyraźnie dziwi młodego oficera. „Czołgi nasze i amerykańskie są podobne. Jest jednak kilka rzeczy, które są w abramsach, a nie ma ich w leopardach, ale niektóre rozwiązania my mamy w swoich wozach, a Amerykanie nie. Różnice mogą być tylko w wyszkoleniu załóg. Ale czy tak jest faktycznie, to się dopiero okaże podczas kolejnych zajęć”, wyjaśnia dowódca plutonu.

Kilkadziesiąt minut wcześniej odbyło się pierwsze szkolenie polskich i amerykańskich pancerniaków. Plutony por. Michała Wicika i por. Kena Granta ćwiczyły współdziałanie w boju. Wozy z obronnych dział opóźniających przechodziły do na-

tarcia i na sygnał się wycofywały. Zdaniem fachowców, dowódcy plutonów z Polski i Stanów Zjednoczonych potrafili dobrze kierować pododdziałami. W trudnym terenie czołgi poruszały się w jednej linii, a wycofujące załogi potrafiły dobrze się nawzajem ubezpieczać. I nikt nie wspomniał o jakiegokolwiek różnicy w wyszkoleniu.

Oba typy czołgów mają takie same armaty i zbliżony rodzaj opancerzenia. Potrafią się poruszać z taką samą prędkością. „Z dotychczasowych obserwacji wiem, że wyszkolenie naszych i waszych czołgistów jest na podobnym poziomie. Możemy więc mówić o bardzo dobrym partnerstwie podczas zajęć”, ocenił kpt. Colin Baggs, dowódca amerykańskiej kompanii czołgów, z daleka obserwujący manewry żołnierzy armii. Jedyne, co zdziwiło kapitana, to trudny piaszczysty teren poligonu w okolicach Świątoszowa, gdzie przyszło im ćwiczyć.

RUSZAJĄ ZWIADOWCY

Gdy na pasie taktycznym trenowali czołgiści, kilka kilometrów dalej na strzelnicy bojowej czołgów swoje zajęcia prowadziły plutony rozpoznawcze. Działania taktyczne połączono ze strzelaniem ostrą amunicją. Oficerowie prowadzący zajęcia, ppor. Zenon Małycha, dowódca plutonu rozpoznawczego 1 Batalionu Czołgów, oraz por. Eryk Dever, dowódca plutonu rozpoznawczego armii USA, scenariusz szkolenia oparli na epizodzie, który wiele razy zaobserwowano na misji w Afganistanie. „Patrolujemy drogę. W newralgicznych miejscach wystawiamy posterunki obserwacyjne. W pewnym momencie jeden z nich zostaje zaatakowany. Wzywamy wsparcie. Na pomoc ruszają



wschodniej flanki NATO.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

opancerzone hummery, które w kontakcie z przeciwnikiem otwierają ogień”, wyjaśnia polski oficer.

Zanim na strzelnicę wjadą uzbrojone pojazdy terenowe, pierwszego wsparcia udziela atakowanym para snajperska. Dwóch specjalistów precyzyjnego strzelania, brnąc przez piach, zajmuje miejsce w niewielkim wgłębieniu terenu. Po zlustrowaniu otoczenia, pojedynczymi strzałami eliminują ważnych strzelców przeciwnika. Impet ataku wrogich sił na chwilę zostaje powstrzymany.

Gdy ustaje ogień snajperski, z lasu wyjeżdżają dwa terenowe humvee. Pokonują sprawnie głębokie koleiny, po czym ustawiają się w dwóch miejscach strzelnicy. Ganerzy lufami kamionów uważnie omiatają z wieżyczek horyzont. W wozach siedzą ukryci amerykańscy i polscy zwiadowcy. Nagle słychać głośne serie. Wiele setek metrów dalej tarcze imitujące żołnierzy przeciwnika opadają jedna po drugiej...

SPRAWDZENI W BOJU

Gdy tylko zwiadowcy zakończyli zajęcia, na strzelnicę wjechały ciężkie samobieżne haubice M109 Paladin kalibru 155 mm. Ich załogi ćwiczą tego dnia bez udziału polskich artylerzystów. Nieodczuwalna jest jednak nasza obsługa strzelnicy. W terenie musi się ukazać wiele tarcz. Ktoś musi zliczyć trafienia w cele. A zliczać jest co, bo Amerykanie prowadzą zmasowany ogień z pokładowych wukaemów kalibru 12,7 mm.

Na żagańskim poligonie widać więzi między żołnierzami z Polski i USA powstałe na misjach w Iraku i Afganistanie. Epizody z tych wspólnych wojennych działań pod flagą NATO

są inspiracją do prowadzenia obecnych ćwiczeń. Zniknęła tak przeszkadzająca kiedyś bariera językowa.

Dobre porozumienie ułatwia również fakt, że nasi dowódcy – nawet najniższych szczebli – doskonale poznali procedury NATO. Żołnierze z USA nie muszą im już wszystkiego wyjaśniać i tłumaczyć od podstaw. Do zaplanowania działań wystarczy zazwyczaj krótka rozmowa. Co ważne, w trakcie szkolenia Amerykanie wcale nie próbują występować w roli nauczycieli. Wręcz odwrotnie, często po uzgodnieniach przyjmują nasze procedury i nasz system działania, uznając go w danym momencie za lepszy.

Z GEORGII DO ŚWIĘTOSZOWA

Szkolenie amerykańskich żołnierzy na poligonie żagańskim jest elementem prowadzonej przez rząd USA operacji „Atlantic Resolve”, polegającej na wzmacnianiu wschodniej flanki NATO. Do Trzebienia przybyło ponad 200 przedstawicieli US Army. Oprócz kompanii czołgów w zajęciach poligonowych biorą udział baterie artylerii samobieżnej, plutony zmechanizowany i rozpoznawczy. Wszystkie pododdziały wywodzą się z 3 Batalionu 69 Pułku Pancernego 1 Brygady Pancerniej 3 Dywizji Piechoty Wojsk Lądowych USA. Na co dzień jednostka stacjonuje w południowo-wschodniej części stanu Georgia w bazie Fort Stewart, położonej niedaleko Savannah.

W zajęciach ich partnerami są żołnierze podobnych pododdziałów z 10 Brygady Kawalerii Pancerniej, głównie z jej 1 Batalionu Czołgów. Wspólne treningi opierają się na współpracy małych pododdziałów – załóg, sekcji, drużyn i plutonów. Odbywają się ćwiczenia taktyczne oraz strzelania z broni indywidualnej, granatników i broni pokładowej, ale także tej dużego kalibru. Zajęcia ogniowe prowadzą załogi naszych leopardów i amerykańskich abramsów, a także obsługi samobieżnych haubic M109 Paladin i polskich goździków.

Szkolenie w Żaganiu jest dla żołnierzy amerykańskich sprawdzianem. W trakcie pobytu załogi, sekcje, drużyny przejdą certyfikację swoich umiejętności. Intensywne zajęcia odbywają się nie tylko w dzień, ale i w nocy. Z tego względu ważne stają się warunki socjalne podczas pobytu. Okazuje się jednak, że ani przed przyjazdem, ani w trakcie rozlokowywania sojusznicy zza oceanu nie mieli żadnych dodatkowych próśb czy wymagań. Nasza baza poligonowa jest już dobrze przygotowana na przyjmowanie żołnierzy każdej armii świata.

Wyżywienie zapewnia Amerykanom miejscowy wojskowy oddział gospodarczy. W stołówce obozowiska są serwowane dania kuchni polskiej. „Przyzwyczaili się do naszego menu. Wiele razy słyszałem, że najbardziej smakuje im nasza kiełbasa”, mówi kpt. Sebastian Krajnik, oficer łącznikowy między wojskiem amerykańskim i dowództwem 10 Brygady.

Podczas szkolenia jest również czas na rozmowy, poznawanie siebie, a także wzajemnego wyposażenia bojowego. Już po kilku dniach na rękawach mundurów żołnierzy USA można było zobaczyć naszywki z białą-czerwoną flagą i emblematami rodzajów wojsk polskich partnerów. To bez wątpienia dowód szacunku i uznania. Zaakcentowanie przyjaźni i docenienie profesjonalizmu naszych żołnierzy.

Goście z armii amerykańskiej starają się również poznać nasz kraj, jego historię, kulturę i zabytki. W czasie weekendów organizują wycieczki. Zwiedzali już Żagań i Wrocław. Podczas naszego święta 11 listopada wielu żołnierzy amerykańskich wzięło udział w Biegu Niepodległości ulicami Żagania. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

Szkoleniowa szarża

Były to pierwsze manewry po reformie systemu dowodzenia polskiej armii Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Zwiastują one znaczne zmiany w szkoleniu naszego wojska.

O tym, że tegoroczne ćwiczenia „Dragon” będą się różniły od poprzednich edycji, było wiadomo już 1 stycznia 2014 roku, kiedy weszła w życie reforma systemu kierowania i dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP. Dla nowo powstałego Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych „Dragon ’15” to bowiem pierwsze manewry, które przeprowadziło ono od A do Z.

TEST NOWEGO SYSTEMU

Gen. broni Mirosław Różański, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, wyjaśnia, że jednym z najważniejszych celów tegorocznego „Dragona” było sprawdzenie, czy DGRSZ wypełnia zadania związane z wyszkoleniem i przygotowaniem sił i środków na potrzeby operacji połączonych, którymi w razie konfliktu zbrojnego będą dowodzić, zaczynając od samej góry: naczelny dowódca, Dowództwo Operacyjne RSZ oraz Centrum Operacji Lądowych.

To właśnie dlatego zadania o charakterze operacyjno-taktycznym dla wojsk były stawiane nie przez kierownika, ale przez dowódcę Centrum Operacji Lądowych. „W kierownictwie ćwiczeń nie było więc oficerów od nas, lecz żołnierze z Centrum Operacji Lądowych z gen. dyw. Cezarym Podlasińskim na czele”, komentuje gen. Różański, który podkreśla, że ćwiczenia potwierdziły założenia reformy. „Podział na »force providera« i »force usera« zapewnia zdolność do właściwego przygotowania poszczególnych elementów ugrupowania”, wyjaśniał generał, dodając: „Musimy mieć świadomość, że podział, który został przyjęty przez reformę, skutkuje tym, że my, Dowództwo Generalne RSZ, szkoląc żołnierzy, nie robimy tego według własnego punktu widzenia”. DGRSZ dobiera formę, a cel jest podporządkowany temu, co zostało zapisane w planach użycia sił zbrojnych, czyli wytycznych przygotowanych przez Sztab Generalny Wojska Polskiego według koncepcji dowódcy operacyjnego, jak prowadzić walkę zbrojną.



RAFAŁ MNIEDŁO / 11 LDKPANC

„Do tej pory ćwiczyliśmy tak, że dywizje i jednostki występowały jako grupy operacyjne. Teraz mieliśmy możliwość sprawdzenia rozwiązań, które były tematem spotkań, warsztatów, seminariów przez cały rok”, twierdzi gen. dyw. Cezary Podlasiński, dowódca Centrum Operacji Lądowych. „»Dragon« dał nam możliwość ich zweryfikowania. Wiele rzeczy się potwierdziło. Są jednak zagadnienia, które musimy rozpatrzyć, np. koordynacja wsparcia ogniowego, koordynacja użycia lotnictwa wojsk lądowych. Skorygowania wymagają pewne sprawy związane z systemem meldunkowym”.

DOBOROWE GRONO

Zgodnie z decyzją dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych podczas „Dragona” 15” głównym ćwiczącym była 11 Lubuska Dywizja Kawalerii Pancernej, a dokładniej – stworzona z podporządkowanych jej sił taktyczna grupa bojowa (TGB), której trzon stanowiły pododdziały piechoty zmotoryzowanej z 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej w Międzyrzecz. W jej skład weszły również pododdziały 23 Śląskiego Pułku Artylerii, 4 Zielonogórskiego Pułku Przeciwlotniczego, 11 Batalionu Dowodzenia, 1 Brzeskiego Pułku Saperów, Dywizyjnej Grupy Zabezpieczenia Logistycznego, 5 Pułku Chemicznego oraz żołnierze z Centralnej Grupy Działań Psychologicznych i Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych. Wsparcie taktycznej grupy bojowej stanowiły zaś 1 Brygada Lotnictwa Wojsk Lądowych, 25 Brygada Kawalerii Powietrznej, lotnictwo wsparcia taktycznego z baz w Krzesinach i Powidzu, trzy ośrodki rozpoznania radioelektronicznego naszej armii, wojska specjalne oraz powołany na czas „Dragona” 5 Batalion Obrony Terytorialnej. Pododdziały 16 Dywizji Zmechanizowanej występowały w roli pozoracji strony przeciwnej.

Z prawie tysiąca żołnierzy z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Kanady i Stanów Zjednoczonych w czasie ćwiczeń „Dragon 15” stworzono wielonarodową grupę bojową. Jej trzon stanowiło 500 uzbrojonych w czołgi Challenger i bojowe wozy piechoty Warrior żołnierzy brytyjskich z 12 Brygady Zmechanizowanej w Bulford oraz 400 Niemców z 21. Brygady Pancernej w Augustdorf wyposażonych w czołgi Leopard 2A6 oraz bojowe wozy piechoty Marder. W komponencie zagranicznym ćwiczyło również kilkudziesięciu spadochroniarzy z 173 Brygady Powietrznodesantowej armii USA oraz strzelcy wyborowi z 22 Pułku Piechoty armii kanadyjskiej.

KOMENTARZ

JAROSŁAW MIKA



W czasie „Dragona” wyraźnie oddzielono część ogniową od części taktycznej. Sprawdzono przygotowanie stanowiska dowodzenia dywizji do wykonywania zadań zgodnie z przeznaczeniem oraz jego koherentność z poszczególnymi stanowiskami dowodzenia podległych jednostek wojskowych. Ponadto w realnych warunkach sprawdzono przyjęte stałe procedury operacyjne i ich przydatność w procesie planistycznym na stanowisku dowodzenia.

Gen. dyw. **Jarosław Mika** jest dowódcą 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej.

Gen. Róžański zwraca uwagę na to, że „Dragon 15” jest zapowiedzią zmian w systemie szkolenia wojsk lądowych. Według niego, dowódcy batalionów mają na współczesnym polu walki o wiele więcej do powiedzenia niż to było kilkanaście lat temu. Podkreśla, że bataliony w polskiej armii nie składają się już z 30 wozów, jak to kiedyś bywało, lecz mają ich po 58. Więcej sprzętu to zaś więcej możliwości i zupełnie inne zadania taktyczno-operacyjne. „Dowódcy batalionów muszą się nauczyć, żeby stosownie do okoliczności wykonać manewr przy użyciu ognia, sprzętu, sił. Aby ich do tego jak najlepiej przygo-

tować, będziemy wskazywali nowe rozwiązania w szkoleniu”. Nowe podejście do roli batalionów znajdzie odzwierciedlenie nie tylko w programach szkoleniowych. Dostosowane muszą być również obiekty szkoleniowe. Co ciekawe, mają one być nie tylko przebudowane pod kątem szkolenia batalionowych grup bojowych – zapewniając im odpowiednio dużo miejsca do zadań taktycznych, ale również pod kątem urealnienia wykonywania zadań ogniowych. „My jesteśmy jeszcze trochę w Układzie Warszawskim. Wszystko odbywa się linearnie. Rubież wyjściowa, rubież otwarcia ognia, rubież przerwania ognia. Wszystko ze względu na bezpieczeństwo. A żołnierze powinni ćwiczyć chociażby strzelanie dookreślone. Zatem zmiany, m.in. urealnienie zadań ogniowych, są zdecydowanie potrzebne”.

Dowódca generalny zapowiada również wyraźne oddzielenie w czasie szkolenia elementów „ognia” od „taktyki”. Przykładem ma być właśnie „Dragon 15”: „Przed rozpoczęciem głównych ćwiczeń na poligonie, na strzelnicach, na pasach taktycznych, poszczególne pododdziały wykonały strzelania. Część główna ćwiczeń służyła przede wszystkim kształtowaniu myśli taktycznej”, wyjaśnia. Dodaje przy tym, że podczas szkolenia, w którym dowódcy musieli łączyć taktykę ze strzelaniami, ta pierwsza schodziła mimowolnie na plan dalszy. Gen. Podlasiński zgadza się w tej kwestii z dowódcą generalnym: „Już od lat mówiliśmy o tym, że musi nastąpić oddzielenie zadań ogniowych od taktycznych, szczególnie na takich szczeblach jak dywizja. W wyniku nierozdzielania takich elementów szkolenia często dochodziło do naginania rozwiązań operacyjnych pod ćwiczącą w polu kompanię czy pluton, co wypaczało pewne rozwiązania”.

DOTRZYMAĆ KROKU

Kolejną „nowinką”, która ma się stać regułą w funkcjonowaniu wojsk, było podejście do szkolenia rezerw. Podczas planowania i organizowania „Dragona” założono, że szkolenie w ramach takich ćwiczeń dużego jednolitego pododdziału rezerwy, w tym wypadku 5 Batalionu Obrony Terytorialnej i Dywizyjnej Grupy Zabezpieczenia Logistycznego, przyniesie dużo lepsze efekty niż udział rezerwistów w kilku krótszych szkoleniach, często prowadzonych na przykoszarowych placach ćwiczeń (więcej na ten temat w rozmowie z mjr. Waldemarem Mazurskim na str. 42–43). Gen. Róžański twierdzi, że to nie wszystko, bo zmiany muszą objąć także to, co się dzieje przed zasadniczą częścią ćwiczeń i po niej: „Chodzi o przemieszczenie pododdziałów na poligony, powrót do koszar po zakończonych ćwiczeniach i obsługę sprzętu, która powinna być ostatnim, zamykającym elementem. To musi się odbywać w pełnym wymiarze. Drogi kolumn kołowych na przykład powinny być tak dobierane, aby prowadziły przez miejscowości, gdzie nie ma jednostek wojskowych, tak aby w miejscach zaplanowanych postojów mogły być organizowane spotkania z mieszkańcami, zwłaszcza z młodzieżą szkolną. To pozwoli zaprezentować nowy sprzęt i wyposażenie, tym samym ćwiczenia zyskają charakter promocyjny i rekrutacyjny”.

Zmiany w systemie szkolenia dowódców batalionów i ich odpowiedników mają trafić do jednostek w formie konkretnych wytycznych już w najbliższych miesiącach. Choć bardzo trudno wyrokować, jak szybko zostaną wprowadzone w życie, to ich kierunek, czyli zwiększenie znaczenia batalionów oraz ich dowódców, jest zdecydowanie zgodny z trendami światowymi. Warto, aby nasza armia dotrzymywała im kroku. ■

ZGRANA DRUŻYNA

Z Waldemarem Mazurskim

o udziale rezerwistów w „Dragonie”
i korzyściach płynących z ich szkolenia
rozmawia Paulina Glińska.

Na co dzień jest Pan wykładowcą w Centrum Szkolenia Logistyki. Ostatnio jednak został Pan rzucony na głęboką wodę. Przyszło Panu dowodzić 5 Batalionem Obrony Terytorialnej podczas ćwiczeń „Dragon” na poligonie w Orzyszu.

To jednostka powoływana na czas kryzysu i wojny, więc na co dzień nie funkcjonuje. A rola dowódcy batalionu, jaka przypadła mi w udziale, to moje zadanie mobilizacyjne. W praktyce okazała się ciekawym wyzwaniem.

Pańscy podwładni – żołnierze rezerwy – wzięli udział w „Dragonie” jako jednorodny i zwarty pododdział, największy taki od kilkunastu lat.

Zgadza się, były to pierwsze takie ćwiczenia z udziałem rezerwistów od wielu lat. Batalion, który liczy ponad 600 żołnierzy z województwa kujawsko-pomorskiego, sformowaliśmy od podstaw, a w jego skład weszło ponad 220 rezerwistów. To byli zarówno oficerowie, podoficerowie, jak i szeregowi rezerwy. Wśród nich znajdowały się osoby po służbie zasadniczej, przeszkoleniu wojskowym, a także byli żołnierze zawodowi.

Ponad 200 osób z różnych środowisk, w różnym wieku, z różnymi doświadczeniami z wojska. Jak się udało Panu okiełznać tak dużą, nieznającą się wcześniej grupę ludzi?

W wojsku obowiązują precyzyjne zasady dowodzenia. Każdy wie, za co odpowiada. Nie ma miejsca na dowolność.

Chociaż to prawda, że grupa była różnorodna. Średnia wieku żołnierzy rezerwy wynosiła 30–40 lat, ale było kilku mężczyzn powyżej 50. roku życia. Niektórzy w szkoleniach uczestniczyli dość regularnie, a inni nie mieli kontaktu z wojskiem przez dobrych kilkanaście lat. Dlatego już w kwietniu zorganizowaliśmy jednodniowe ćwiczenia dla tych, którzy mieli wziąć udział w „Dragonie”, a tydzień przed ćwiczeniami rezerwiści zostali wcieleni do grudziądzkiego Centrum Szkolenia Logistyki. Tam wspólnie się przygotowaliśmy.

Jak to wyglądało?

Od początku wysoko postawiliśmy sobie poprzeczkę. Pierwsze dni były bardzo intensywne i miały przypomnieć rezerwistom podstawowe umiejętności. Na salach wykładowych spędzili tylko niezbędne minimum, przypominali sobie warunki strzelania, zasady bezpieczeństwa czy zagadnienia międzynarodowego prawa humanitarnego konfliktów zbrojnych. Zdecydowaną większość czasu poświęciliśmy na praktykę. Zajęcia trwały po dziesięć godzin dziennie. Żołnierze zaliczyli taktykę, szkolenia ogniowe, doskonalili również swoje umiejętności na stanowiskach funkcyjnych. Oprócz szkolenia indywidualnego zgrywali się też w drużynach i obśladach stanowiska dowodzenia. Na poligon jechaliśmy już zatem jako zespół dość zgrany.

A jakie zadania miał 5 Batalion na poligonie?

W naszych strukturach były m.in. sztab, kompania piechoty, pluton rozpoznawczy, pluton dowodzenia oraz pluton za-



Wiem, że maksymalnie wykorzystaliśmy czas na poligonie. Zaangażowanie było ogromne. Nie mała w tym zasługa samych rezerwistów, którzy w tak krótkim czasie dogadali się ze sobą. Dużo dał pozytywny odbiór żołnierzy rezerwy przez zawodowców. Myślę, że zdecydowana większość tych, którzy mieli do czynienia z rezerwistami na poligonie, była mile zaskoczona ich postawą. Pojawili się bowiem tam w konkretnym celu – chcieli zdobyć nowe umiejętności.

A jakie odczucia mieli sami rezerwiści?

Dla tych, którzy kiedyś w wojsku służyli, był to pierwszy poważny sprawdzian umiejętności od zakończenia służby. „Dragon” stał się dla nich doskonałą okazją do przypomnienia sobie zdobytej przed laty wiedzy i umiejętności. Ci, którzy odbyli przeszkolenie wojskowe lub dawno temu przeszli służbę zasadniczą, podkreślali z kolei, że przez cały czas szkolenia w wojsku nie zyskali tyle, co w trakcie tych kilkunastu dni ćwiczeń. Mogli zobaczyć, jak się zmieniło wyposażenie armii, jak trenują zawodowcy. Dla większości te zajęcia były jednak zupełną nowością i nie małym wyzwaniem. Praktycznie z dnia na dzień trafili bowiem w nową rzeczywistość, wymagającą dyscypliny, nieustannego wysiłku fizycznego, dyspozycyjności. Na koniec byli jednak usatysfakcjonowani, że sobie poradzili.

Pan też jest bogatszy o kolejne doświadczenia...

Tak, nie tylko rezerwiści wyciągnęli naukę z tych ćwiczeń. Po raz pierwszy miałem okazję dowodzić tak dużym zespołem żołnierzy. I nie chodzi tu wyłącznie o pracę z ludźmi, bo ta jest nieodłącznym elementem mojej profesji. Istotne były nowe zadania i całkiem nowa dla mnie rola. Wyzwanie było duże, ale sądzę, że udało mi się zmobilizować zarówno siebie, jak i rezerwistów do jak najlepszego wykonania zadań.

Czy takie ćwiczenia rezerwistów są potrzebne?

Zdolność do obrony kraju nie może się opierać wyłącznie na armii zawodowej. Dlatego rezerwiści to nieodłączny element wojska, a ich szkolenie jest koniecznością. Takie ćwiczenia jak „Dragon” są dobrą ku temu okazją. Tym bardziej wtedy, gdy rezerwiści mogą działać w ramach jednolitego pododdziału. Dzięki temu łatwiej jest utrzymać odpowiedni poziom umiejętności jednostek obrony terytorialnej. ■

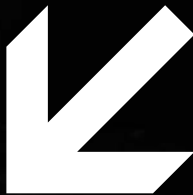
MJR WALDEMAR MAZURSKI JEST WYKŁADOWCĄ W CENTRUM SZKOLENIA LOGISTYKI W GRUDZIĄDZU. PODCZAS TEGOROCZNYCH ĆWICZEŃ „DRAGON '15” NA POLIGONIE W ORZYSZU BYŁ DOWÓDCĄ 5 BATALIONU OBRONY TERYTORIALNEJ ZŁOŻONEGO Z ŻOŁNIERZY REZERWY.

Maksymalnie wykorzystaliśmy czas na poligonie. Zaangażowanie było ogromne

opatrzenia. Działaliśmy nieco w odosobnieniu i mieliśmy własne zadania. W ramach treningu sztabowego zgrywaliśmy obsadę stanowiska dowodzenia. Ale nasze zadania, w dużym skrócie, polegały też na prowadzeniu działań nieregularnych w rejonie zajęтым przez przeciwnika. To całe spectrum zadań, jak choćby przygotowywanie rejonu bytowania, zwalczanie grup dywersyjno-rozpoznawczych, pilnowanie ważnych obiektów czy zabezpieczanie szlaków komunikacyjnych. Wykonywaliśmy je przez cały czas, 24 godziny na dobę.

Kierownik ćwiczeń gen. broni Mirosław Różański podkreślił pańskie zasługi w ukształtowaniu ducha pododdziału...





Motto VII Brygady Lekkiej Piechoty „Galicia” brzmi: „Honor z przeszłości, duma z dziś”. Słowa te przyświecają hiszpańskim artylerzystom nie tylko na misjach, lecz także podczas ćwiczeń.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Rebelia w Cerazji

„Trident Juncture '15” to największe manewry NATO od 2002 roku. Ponad 35 tys. żołnierzy sojuszu miało się rozprawić z rebeliantami w fikcyjnym regionie.

Samochód terenowy podskakuje na nierównościach. Siedzący w nim żołnierze próbują złapać rytm i przygotować się na silniejsze wstrząsy, ale te przychodzą bez zapowiedzi. Hełmy uderzają o sufit, łokcie zahaczają o stelaż podtrzymujący plandekę. Mimo niedogodności szofer, zaciskając dłonie na kierownicy, przyspiesza. „Musimy zdążyć na pozycję o wyznaczonym czasie, inaczej nie zapewnimy wsparcia artyleryjskiego chłopakom w transporterach piechoty. Nie ma to jak jazda na bojowo, nie?”, sierż. sztab. Ignacio Alonso z hiszpańskiej VII Brygady „Galicia” uśmiecha się szeroko, po czym uchyla płachtę zasłaniającą wejście do terenówki.

Nad równiną unoszą się dwa AH-64, które z powietrza monitorują rozciągający się wokół teren. Pod śmigłowcami mknie konwój kilkunastu pojazdów, w tym ponad dziesięć ciężarówek z podpiętymi haubicami kalibru 105 mm. Pogoda od kilku dni nie rozpieszcza. Pustynny teren San Gregorio jest prześląknięty kleistym, wnikającym w każdą szczelinę błotem. Sierż. Alonso ściera z wąsów kroplę brunatnej mazi i sięga po radiostację: „Tu brawo trzy jeden, tu brawo trzy jeden, zbliżamy się do celu, odbiór”. Czasu jest niewiele, za chwilę siły sprzymierzone przystąpią do głównego natarcia.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

W ciągu ostatnich dni przeciwnik przeprowadził odwrót taktyczny, który ma uchronić go przed rozbiciem. Jego manewr zatrzymał się na przedmieściach fikcyjnej miejscowości Casas Altas. To właśnie jej zabudowania kryją centrum dowodzenia oraz zaplecze logistyczne rebeliantów. Casas Altas to również istotny węzeł komunikacyjny, który może przyspieszyć realizację misji stabilizacyjnej w Cerazji – wymyślonym na potrzeby ćwiczeń regionie, którego sytuacja jest zbliżona do tej na Bliższym Wschodzie i w Afryce Północnej.

Od momentu, w którym Rada Bezpieczeństwa ONZ przyznała mandat na wysłanie wojsk NATO w ogarniętą konfliktem Cerazję, minęły niespełna dwa tygodnie. Żołnierze mówią, że sytuacja taktyczna przypomina pierwsze miesiące służby w Iraku. Dotychczas kolumny pancerne parły przed siebie, napotykając jedynie niewielki opór w pobliżu większych miejscowości. Teraz jednak sprawy wyglądają inaczej. Rebelianci nie mają już gdzie uciekać.

Pod dowództwem hiszpańskiej lekkiej piechoty z brygady „Galicia”, żołnierze wchodzący w skład szpicy mają opanować Casas Altas oraz zabezpieczyć teren przed lądowaniem spadochroniarzy z 82 Dywizji Powietrznodesantowej „All Americans”. W walkach ulicznych ma szansę wykazać się batalion Baltbat, który jest złożony z litewskich, estońskich oraz łotewskich wojskowych. Zmagania bałtyckiego batalionu będą wspierać utworzone na potrzeby operacji międzynarodowe siły specjalne, w których szeregach znajdują się m.in. nasi przedstawiciele z Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim. Ich zadaniem jest odbicie przetrzymywanych w mieście zakładników oraz zebranie materiału dowodowego obciążającego rebeliantów.

Główne natarcie zakłada frontalny atak połączonych sił hiszpańskich, włoskich, czeskich oraz amerykańskich. Drogę kilkudziesięciu pojazdom opancerzonym ugotują inżynierowie niemieccy, którzy pod ogniem mają wysadzić otaczający miasto wał. Całość zabezpieczają śmigłowce oraz krążące w pobliżu myśliwce F/A-18 Super Hornet. Istotnym elementem planu są również działania VII Grupy Artyleryjskiej, będącej częścią brygady „Galicia”. Tej samej, która właśnie przedziera się przez powstałe w nocy błoto.

STRZEL I ZAPOMNIJ

Zanim jeszcze kierowca na dobre zatrzyma pojazd, sierz. Alonso zeskakuje z plandeki. W jego ślad ruszają pozostali żołnierze, w tym kanonierzy jadący na pakach. Ze wzgórza, na którym zajęli swoje pozycje, rozciąga się widok na miejsce, gdzie się rozgrywa bitwa. Lewym skrzydłem nacierają ich kompanie z brygady „Galicia”. Pod osłoną ognia gunerów taktyczne wozy Iveco LMV oraz transportery piechoty BMR-M1 prują w kierunku wyłomów utworzonych przez saperów niemieckich. Nawet z tej odległości można dostrzec sylwetki ludzi wymachujących chorągiewkami, żeby naprowadzić kierujące się w stronę miasta pojazdy. W oddali migają dwie białe toyoty z wywieszonymi czarnymi flagami. Mimo ciężkiego ognia, rebelianci próbują się przegrupować.

„Na pozycjach wokół rozlokowaliśmy mistrale. Patrz, tam!”, oficer jedną ręką przyciska do głowy hełm, drugą wskazuje obiekt oddległy o około 200 m. Na pace samochodu terenowego zamontowano wyrzutnię z rakietą typu „strzel i zapomnij”. Od kilku chwil jej operator skanuje niebo w przydzielonym sektorze. „Nie spodziewamy się, żeby wróg



SCENY
Z POLIGONU
PRZYPOMINAJĄ
OBRAZY ZNANE
Z FILMÓW
WYSOKO-
BUDŻETOWYCH



Sierż. sztab. Ignacio Alonso od 17 lat służy w hiszpańskiej armii.

potrafił latać, ale takie mamy procedury. Przed myśliwcami nas nie uchronią, ale na śmigłowce są bardzo skuteczne”, w oku oficera pojawia się błysk. Kpt. Manuel Baldovin wie, że francuski system przeciwnocny ma swoje wady, ale potrafi uratować skórę żołnierzom.

Krzątanina wokół przybiera na sile. Żołnierze zdążyli już rozstawić działa oraz osłonić je siatkami maskującymi. Teraz sprawdzają przydzieloną amunicję, podają ją z rąk do rąk i wkładają do komory naboju. Pracują raptem od kilku mi-

nut, jednak każdy z nich zdążył się już pokryć warstwą szaroburego, lepkiego błota. Na tle ubrudzonych uniformów i pomalowanych farbą maskującą twarze odcinają się jedynie ciemne jak węgle oczy.

Wielu z nich ma za sobą służbę w Bośni oraz Afganistanie, ale do swoich zadań podchodzą w wielkim skupieniu, jakby cały świat ograniczał się wyłącznie do tego, co się dzieje tu i teraz. Mają wesprzeć swoich kolegów i zrobią to, niezależnie od warunków. W końcu ich motto brzmi „Honor z przeszłości, duma z dziś”. W momencie, w którym haubice są gotowe do oddania pierwszej salwy, nieopodal ich pozycji przejeżdża samotny czołg Leopard 2A6E. Nikt nie zwraca uwagi na zgrzyt gąsienic i chlapiącą spod nich ciecz. Wszyscy czekają na rozkaz do strzału. Słońce przebijające się przez chmury podkreśla sylwetki zebranych przy działach żołnierzy. Ich postaci ograniczają się wyłącznie do zastygłych bez ruchu konturów. Część z nich kuca, część spogląda w kierunku Casas Altas.

JAK W FILMIE

„Teraz! Ognia, ognia, ognia!”, radiostacje wyrwywają wszystkich z letargu. Pierwsze pociski trafiają do komór, słychać chrzęst zamka i huk. Następują kolejne wystrzały. Cała bateria zionie ogniem. Huk. Zgrzyt. Ponownie huk. Po czwartym wystrzale grom zamienia się w cichy pisk i lekkie dudnienie. Okolicę spowija gęsty dym, w którym widać uwijających się kanonierów. Wykonują swoją pracę mechanicznie, w rytmie, sprawnie, ale bez pośpiechu. Nabój ładuje w komorze, ludzie odsuwają się od działa, następuje wystrzał. Procedura się powtarza. W powietrzu unosi się zapach prochu, który wdiera się przez nozdrza do płuc. Nagle zapada cisza.

Pisk w uszach powoli ustępuje miejsca coraz głośniejszym śmiechom. Opadający dym ukazuje amerykańskie pojazdy opancerzone, które zdążyły już zająć pozycję na przedmieściach i wspierają walczącą piechotę. Wzgórza za zabudowaniami rozświetla czerwona burza. Siły sojuszu już nie muszą się martwić, że na ich głowy spadnie grad pocisków przeciwnika. Jego rezerwy zostały zdziesiątkowane przez celny ogień artylerzystów z brygady „Galicia”. Jakby dla podkreślenia wagi ich pracy, nad miastem przelatuje para myśliwców F/A-18 Super Hornet. Kolejno odpalają zawieszane pod skrzydłami rakiety i odchodzą na drugi krąg.

„Służę w wojsku od 17 lat, w tej dywizji od ponad dziesięciu. Czasem taplam się w błocie po pas i miotam przekleństwami. W błocie na środku pustyni!”, sierż. Alonso spogląda w stronę rozstawionych dział. Przed nimi wojska szpicy przystąpiły do finalnej części operacji. Walki przenoszą się między niskie zabudowania i ciasne uliczki Casas Altas. Nad jego zachodnią częścią krąży śmigłowiec MEDEVAC. Oznaczony czerwonym krzyżem black hawk dotarł nad wskazane miejsce już kilkadziesiąt sekund wcześniej. Widocznie pilot czeka na zabezpieczenie terenu i dogodny moment do lądowania. Część żołnierzy po prostu stoi i podziwia trwającą operację. Trudno im się dziwić, scena przypomina obrazy znane z filmów wysokobudżetowych.

W słuchawce radiostacji na nowo rozlegają się trzaski. Sierżant sięga w jej kierunku ręką, zamiera na chwilę i uśmiecha się pod nosem. „Mógłbym siedzieć teraz w domu z rodziną i cieszyć się wolnym popołudniem, ale wiesz co... uwielbiam tę pracę”.

Odłona pierwsza. Wieczór. W porcie chłód tak przenikliwy, że na nabrzeżu trudno ustać dłużej niż kilkanaście minut. Chemicy są tutaj od kilku godzin. Ich dowódca kpt. mar. Paweł Kozak przyznaje, że na jego ludziach pogoda nie robi wrażenia: „Od czasu rozpoczęcia ćwiczeń stacjonujemy w lesie pod Dziwnowem. Przywykliśmy”. Wreszcie z półmroku portowego basenu wyłania się ORP „Sarbsko”, a na nabrzeżu rozpoczyna się ruch.

WALKA Z CHEMIA

Po południu dowódca okrętu przesłał do Świnoujścia meldunek, z którego wynikało, że jednostka została skażona nieznaną substancją. „Załoga nie była w stanie sama sobie poradzić z tą sytuacją. Zapadła decyzja, że trałowiec wraca do bazy. Jednocześnie zaalarmowana została kompania chemiczna 8 Batalionu Saperów. Żołnierze rozwinęli w porcie OPLS, czyli okrętowy punkt likwidacji skażeń”, tłumaczy kmdr por. Wojciech Buca, szef obrony przed bronią masowego rażenia 8 Flotylli Obrony Wybrzeża w Świnoujściu. O godzinie 16 pluton likwidacji skażeń osiągnął pełną gotowość. Na nabrzeżu stanęli uzbrojeni żołnierze w gumowych kombinezonach ochronnych, maskach gazowych i hełmach. Pozostało im tylko czekać.

„Pierwsze zabiegi jeszcze w drodze do portu przeprowadza załoga. Marynarze wkładają kombinezony ochronne podobne do naszych, a na maszt wciągają białą flagę z czerwonym krzyżem. To znak dla załóg innych jednostek, ale także dla ludzi w porcie”, wyjaśnia kpt. mar. Kozak. Kiedy okręt zaczyna dobijać do brzegu, chemicy kierują w jego stronę strumień środków odkażających. Następnie wchodzą na pokład, określają rodzaj substancji, którą został zaatakowany, i przemijają płynem poszczególne elementy nadbudowy. W tym czasie marynarze, podzieleni na dwie grupy, kierują się do stanowiska OPLS.

Najpierw przechodzą przez umieszczone na zewnątrz namiotu tzw. urządzenie ramowe. To bramka, w której z ich kom-

binezonów są splukiwane niebezpieczne substancje. Potem na specjalnych stojakach zostawiają broń, ekwipunek, wreszcie kombinezony. Już w namiocie zdejmują mundury, które wkrótce zostaną zniszczone. Następnie biorą prysznic, nie tylko z wody, lecz także środków odkażających, suszą się, wkładają nowe mundury i ponownie meldują na pokładzie. Wkrótce okręt odcumowuje i wraca na morze. Mniej więcej godzinę później przy nabrzeżu pojawia się jeden z kutrów transportowych, który również został zaatakowany bronią chemiczną.

PO TORZE W GŁĄB ŁADU

Odłona druga. Port handlowy w Szczecinie. Fragment nabrzeża został opanowany przez wojsko. Wzdłuż bramy przechadzają się żołnierze. Hełmy, twarze w maskujących barwach, przewieszone przez ramię karabiny. Za ich plecami rząd pojazdów: transportery opancerzone Rosomak, armatohaubice Danna, wozy dowodzenia i ewakuacji medycznej. Wszystkie należą do miejscowej 12 Brygady Zmechanizowanej. Czekamy mniej więcej pół godziny. Wreszcie na horyzoncie pojawia się potężna sylwetka okrętu transportowo-minowego ORP „Gniezno”. Aby tu dotrzeć, musiał pokonać ponad 70 km po torze wodnym Świnoujście – Szczecin, który prowadzi m.in. przez Świnę, Kanał Piastowski i Zalew Szczeciński. „To trasa z dużą liczbą znaków nawigacyjnych, a przejście nią stanowi bardzo dobry trening dla oficera wachtowego”, podkreśla kmdr ppor. Jacek Kwiatkowski, rzecznik 8 Flotylli. Tymczasem ORP „Gniezno” dobija do wybrzeża, a powietrze przeszywa ryk odpalanych silników. Po chwili pierwszy rosomak rusza z miejsca i przejeżdża po opuszczonej rampie okrętu wprost na jego pokład. „Każda z jednostek typu Lublin jest w stanie pomieścić dziewięć ciężkich pojazdów, np. czołgów czy armatohaubic, lub 17 lżejszych, jak ciężarówki. Nośność okrętu została obliczona na 500 t”, informuje por. mar. Grzegorz Lewandowski, mechanik okrętowy na ORP „Gniezno”.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

TRZY TRYBY MORSKIEJ MACHINY

Samoloty i śmigłowce morskie, 30 okrętów i jednostek pomocniczych, do tego saperzy, przeciwlotnicy, kompania chemiczna, żołnierze z komend portów wojennych – tak dużych ćwiczeń krajowych siły morskie nie miały od czasu zmiany struktur dowodzenia polską armią.



MARCIN PURMAN / 8 FOW (2)

Ćwiczenia 8 Floty „Wargacz '15” podsumowywały rok szkoleniowy. Stanowiły istotny, ale tylko wycinek działań, które przez tydzień były prowadzone na Bałtyku. W tym samym czasie swoje ćwiczenia miały też 3 Floty Okrętów w Gdyni oraz Brygada Lotnictwa MW.

Polska marynarka ma pięć okrętów transportowo-minowych. A to oznacza, że jednorazowo jest w stanie przerzucić choćby 45 transporterów opancerzonych i około 500 żołnierzy. W dodatku mogą wszystko wyładować nie tylko w porcie, lecz także wprost na plaży. „Specyficzna konstrukcja sprawia, że okręt transportowo-minowy jest w stanie podejść nawet tam, gdzie głębokość morza sięga metra. Ma on płaskie dno, a na dziobie zbiorniki balastowe. Kiedy chce ruszyć, po prostu wypuszcza ich zawartość, lekko się unosi i ześlizguje z powrotem na głębszą wodę”, wyjaśnia rzecznik. „Dodatkowo ściąga go kotwica, która została przytwierdzona do długiej liny. Okręt może ją rzucić nawet w znacznej odległości od brzegu”.

Wkrótce ORP „Gniezno” odbija od brzegu. Po godzinie w jego miejscu cumuje bliźniaczy ORP „Poznań”, a ze swoich miejsc na nabrzeżu ruszają dany. „Jak dotąd, były one ładowane na pokład stosunkowo rzadko”, przyznaje kpt. Janusz Błaszczak, rzecznik 12 Brygady Zmechanizowanej. Każda z armatohaubic waży 30 t, czyli o cztery więcej niż rosomak. Dla załogi okrętu załadunek w Szczecinie pozwala na zapoznanie się z nabrzeżem w porcie, z którego nigdy wcześniej nie korzystali. „To również ważne doświadczenie dla naszych żołnierzy. Zwłaszcza w kontekście dyżuru w grupie bojowej Unii Europejskiej, który rozpoczniemy już 1 stycznia 2016 roku”, dodaje kpt. Błaszczak. Przez sześć miesięcy od tej daty, w razie kryzysu szczecińscy żołnierze w ciągu dziesięciu dni będą mogli zostać przerzuceni w rejon oddalony od Brukseli nawet o 6 tys. km. Tymczasem ORP „Poznań” powoli znika za kolejnym zakrętem basenu portowego. Ponownie zobaczą go następnego dnia, już na morzu.

W SZYKU I NA DNIĘ

Odłona trzecia. Rozhuśtane po wczorajszym wietrze morze kołysze niewielką motorówką na wszystkie strony. Dużo większym od niej jednostkom falowanie jednak nie przeszkadza. Je- ➔





Okrety ustawiają się w tak zwany szyk torowym. Otwiera go ORP „Gniewno”, a za nim trałowce, holowniki, niszczyciel min, kuter transportowy, stacja demagnetyzacyjna, wreszcie dwie kolejne jednostki transportowo-minowe. Są tu reprezentowane wszystkie typy okrętów, którymi dysponuje świnoujska flotylla.

steśmy na wodach Zatoki Pomorskiej w pobliżu Świnoujścia, a okręty właśnie ustawiają się w tak zwany szyk torowym. Otwiera go ORP „Gniewno”, a za nim trałowce, holowniki, niszczyciel min, kuter transportowy, stacja demagnetyzacyjna, wreszcie dwa kolejne okręty transportowo-minowe. Są tu reprezentowane wszystkie typy jednostek, którymi dysponuje świnoujska flotylla.

Po kilkunastu minutach z okrętu, który otwiera kolumnę, pada komenda i wszystkie jednostki robią zwrot przez prawą burtę. Po chwili szyk się rozsypuje i ustawiają się trzy kolumny. Środkową tworzą trzy okręty transportowo-minowe, a po ich bokach przemieszczają się m.in. trałowce. „W tym epizodzie ćwiczymy obronę zespołu podczas przejścia morzem”, wyjaśnia kmdr ppor. Kwiatkowski. „Dwa okręty transportowo-minowe przewożą na pokładach rosomaki lub dany. Muszą być chronione przez jednostki mniejsze i dużo bardziej zwrotne”.

Kilka godzin później sprzęt został rozładowany na plaży w Dziwnowie. Potem część jednostek zawinęła do portu w Kołobrzegu, gdzie odbył się załadunek min. Tygodniowe ćwiczenia 8 Flotylli nosiły kryptonim „Wargacz '15” i podsumowywały rok szkoleniowy. Stanowiły istotny, ale jednak tylko wycinek działań, które przez tydzień były prowadzone na Bałtyku. W tym samym czasie swoje ćwiczenia miały też 3 Flotylla Okrętów w Gdyni (kryptonim „Ostrobok '15”) oraz Brygada Lotnictwa Marynarki Wojennej (kryptonim „Kormoran '15”). W scenariusz każdego z nich zostały wpisane zadania, które marynarze, lotnicy i żołnierze jednostek brzegowych wykonywali wspólnie.

Tak było choćby w wypadku symulowanej walki z okrętem podwodnym. Poszukiwania nieprzyjacielskiej jednostki prowadziła nie tylko korweta ORP „Kaszub” z gdyńskiej flotylli, lecz także para śmigłowców Mi-14PŁ z BLMW. Z kolei załogi samolotów rozpoznawczych Bryza współdziałały m.in. z okrętem raketowym ORP „Grom”. Marynarze z obu flotylli współpracowali podczas załadunku min, który odbył się w jednym z portów w pobliżu Gdyni. Wcześniej teren został zabezpieczony przez saperów z Rozewia. Ustawili oni zapory inżynierskie i minowe.

Były też wspólne zadania ratownicze. „Nasze śmigłowce wspomagane przez bryzę prowadziły działania wzdłuż całego polskiego wybrzeża. Scenariusz przewidywał poszukiwanie rozbitków w wodzie i na lądzie, ale też podejmowanie poszkodowanych z pokładów okrętów, należących zarówno do gdyńskiej, jak i świnoujskiej flotylli”, informuje kmdr ppor. Czesław Cichy, rzecznik Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej.

Epizodów ratowniczych było zresztą więcej. Jeden z nich polegał na niesieniu pomocy marynarzom z jednostki podwodnej, która na skutek awarii osiadła na dnie i nie była w stanie sama się wynurzyć. Do akcji przystąpił ORP „Lech”. Stanowi on doskonałą platformę dla nurków ratownictwa, którzy są w stanie działać na znacznych głębokościach – ma m.in. dzwon nurkowy i komorę dekompresyjną. Kiedy okręt podwodny zostanie unieruchomiony pod powierzchnią morza, nurkowie schodzą do niego i podłączają przewody tłoczące na pokład świeże powietrze, a także dostarczają pojemniki z żywnością czy środkami opatrunkowymi.

Do tego dochodziły jeszcze strzelania artyleryjskie, walka z symulowanym pożarem czy przebieciem kadłuba. W ćwiczeniach „Ostrobok” w sumie wzięło udział dziewięć okrętów, a w „Kormoranie” siedem śmigłowców i samolotów. „Stacjonowały one poza macierzystymi lotniskami. Korzystaliśmy m.in. z 21 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie, a także lądowiska dla śmigłowców na terenie, gdzie stacjonuje 8 Batalion Saperów. W ten sposób nasi lotnicy przygotowywali się do działania w sytuacjach kryzysowych”, wyjaśnia kmdr ppor. Cichy.

Obrazu dopełnia jeszcze zaangażowanie innych służb mundurowych oraz instytucji cywilnych. Na morzu wspólnie z marynarzami ćwiczyli funkcjonariusze Morskiego Oddziału Straży Granicznej. W świnoujskim porcie wojennym zacumował z kolei miejski prom „Bielik II”, który na co dzień obsługuje przeprawę łączącą obie części miasta. Zabrał na pokład cywilne samochody zajęte na czas wojny przez armię.

REALIZM I KREATYWNOŚĆ

3 Flotylla to przede wszystkim okręty bojowe, stanowiące o sile uderzeniowej polskiej marynarki. Główne zadania 8 Flotylli wiążą się z transportem, desantem wojsk i sprzętu, operacjami przeciwmminowymi. Lotnicy BLMW zajmują się m.in. rozpoznaniem, zwalczaniem okrętów podwodnych, prowadzą też akcje ratownicze. Wszystkie te jednostki stanowią uzupełniające się tryby maszyny, która odpowiada za morskie bezpieczeństwo państwa. Dlatego powinny jak najczęściej ćwiczyć wspólnie. Ogłaszając decyzję o organizacji ich ćwiczeń w tym samym czasie, gen. broni Miroslaw Różański, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych podkreślał: „Zależy mi na jak największym urealnieniu procesu szkolenia”. Dodał też, że od swoich podwładnych oczekuje kreatywności. I rzeczywiście – różnorodności i realizmu żadnemu z ćwiczeń odmówić nie sposób. ■

ST. CHOR. ANDRZEJ LOZIA

W wojsku służy od: 23 września 1992 roku.



Data i miejsce urodzenia:
4 grudnia 1972 roku, Pińczów.

Tradycje wojskowe: brak.

Edukacja wojskowa: Szkoła Chorążych Wojsk Zmechanizowanych w Poznaniu.

Zajmowane stanowisko: pomocnik dowódcy ds. podoficerów.

Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: strażakiem.



Jednostka wojskowa: 21 Brygada Strzelców Podhalańskich.

Zostałem żołnierzem, bo: ja nie zostałem żołnierzem, ja się nim po prostu urodziłem. A tak naprawdę, zawsze o tym marzyłem i zrobiłem wszystko, by to pragnienie spełnić.

Przełomowe wydarzenie w życiu: rozpoczęcie służby wojskowej, a w życiu prywatnym ślub z Basią i narodziny dzieci.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się: mój galowy mundur podhalański z szarotką i orlim piórem w kapeluszu.

Najlepsza broń: kbs Beryl kalibru 5,56 mm, a w treningach strzelectwa sportowego Glock-17.



Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: położyłbym jeszcze większy nacisk na szkolenie, które powinno mieć jak najbardziej bojowy charakter. Zwiększyłbym też limity amunicji i środków pozoracji pola walki, które urealniają szkolenie.



Moja książka życia: nie mam jednej ulubionej, co najmniej do kilku powracam z sentymentem.



Niezapomniany film: „Twierdza” Michaela Bay’a. To dobry film akcji.

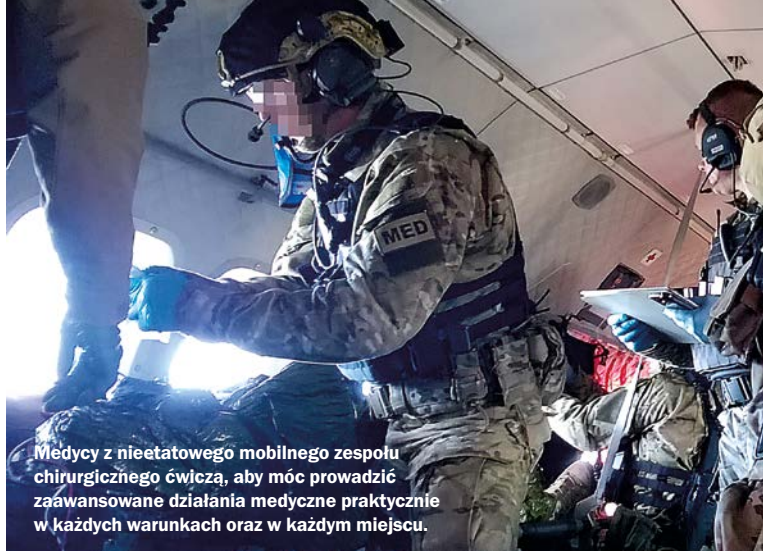
Moje największe osiągnięcie: dowodzenie plutonem w czasie misji w Afganistanie dało mi wiele satysfakcji i poczucie dobrze wykonanego zadania.

Misje i ćwiczenia: uczestniczyłem w misjach w Iraku i Afganistanie. W czasie 18-letniej służby w kompanii rozpoznawczej uczestniczyłem w wielu ćwiczeniach i szkoleniach z kolegami z jednostek górskich Niemiec, Francji, Słowenii.



Co robię po służbie: gdy mam trochę wolnego czasu, wybieram się w góry. Górską pasją zarażam innych. Jestem instruktorem wspinaczki i survivalu. Oprócz tego nurkuję, uprawiam strzelectwo sportowe, jestem sternikiem motorowodnym, członkiem grupy szybkiego reagowania na wodzie ochotniczej straży pożarnej. A gdy potrzebuję odrobiny spokoju – wędkuję.

Zespół operujący żołnierza z ciężkimi obrażeniami postrzałowymi to zwykle sześć-osiem osób: chirurg ogólny, chirurg ortopeda, anestezjolog i ratownicy medyczni. Wszyscy mają na głowach operacyjne lampy czołowe lub latarki, bo wokół jest mrok. I bezprzewodowe zestawy słuchawkowe, gdyż ryk silników nie pozwala na swobodną rozmowę. Każdy z medyków ma przy sobie pistolet, a karabinki HK-416 leżą w skrzyni tuż obok pojemnika z kompletem zapasowych narzędzi chirurgicznych. Operacja odbywa się bowiem na wysokości kilku tysięcy metrów wewnątrz samolotu transportowego. Wystarczy kilkadziesiąt mi-



JAROSŁAW RYBAK

Skalpel do zadań specjalnych

Jeśli żołnierzy wojsk specjalnych, ze względu na precyzję działania, nazywamy chirurgami, to ta grupa jest skalpelem. Dosłownie i w przenośni.

nut, by taką salę operacyjną uruchomić na pokładzie śmigłowca, kutra, na ciężarówce czy w jakimkolwiek innym pomieszczeniu, w każdym zakątku świata. Siedzimy w samolocie, ściśnięci między noszami, na których leżą „ranni”. Scenariusz ćwiczeń zakładał lądowanie w terenie nieprzyjawnym, przejęcie poszkodowanych i jak najszybsze opuszczenie zagrożonej strefy. Obserwujemy pracę zespołu medyków, jakim może się pochwalić tylko kilka państw sojuszu północnoatlantyckiego.

POMOC DLA CYWILÓW

Gdy żołnierz zostanie ranny na polu walki, błyskawicznie należy go przetransportować do szpitala polowego poziomu II. Tam przechodzi podstawowe zabiegi ratowania życia i po ustabilizowaniu funkcji życiowych jak najszybciej przerzuca się go samolotami do szpitali znajdujących się poza strefą wojny, w których ranni i poszkodowani dochodzą do zdrowia.

W Iraku czy Afganistanie funkcjonowało wręcz modelowe rozwiązanie. Są jednak sytuacje, w których z ewakuacją nie można zwlekać. Dlatego przed kilkunastu laty Amerykanie opracowali koncepcję tworzenia mobilnych zespołów intensywnej terapii (Special Operations Critical Care Evacuation Team – SOCCET) oraz zespołów chirurgicznych poziomu II (Special Operations Surgical Team – SOST). I choć system był tworzony z myślą o żołnierzach sił specjalnych, to jest wykorzystywany do ratowania cywilów.

„Od lat analizujemy i przygotowujemy wariantowe scenariusze działania. Czwierć wieku temu na Morzu Czerwonym uprowadzono polski statek, w 1994 roku w Angoli porwano polskich inżynierów. To samo spotkało naszych obywateli w 1988 roku w Czeczenii i rok później w Dagestanie. W 2003 roku, w czasie wojny w Iraku, uprowadzono dwóch polskich dziennikarzy. Przed kilkoma miesiącami ewakuowano dużą grupę ro-

daków z ogarniętego wojną Donbasu. Wszystkie te historie dobrze się skończyły, ale nie musiało tak być. W czasie rozwoju niekorzystnych scenariuszy Polska powinna mieć możliwość uratowania swoich obywateli, także ciężko poszkodowanych czy chorych”, przekonuje płk Piotr Gąstał, dowódca GROM-u.

Po zamachu w Tunezji była prowadzona akcja ratowania poszkodowanych. Wtedy, jak w soczewce, skupiły się problemy wynikające z niedoskonałości działania instytucji państwa w tej dziedzinie. „Znalazłem się w składzie zespołu, który przerzucano do pomocy ofiarom zamachu w Tunisie. W jego efekcie śmierć poniosło trzech naszych rodaków, a dziesięcioro zostało rannych. Nikt nie wiedział, jak rozwinie się sytuacja, ale wysłano nas bez ochrony. Odpowiadałem za określanie stanu zdrowia rannych. Ośmiu poszkodowanych nadawało się do szybkiego przerzutu do kraju. Nie mieliśmy jednak możliwości przetransportowania dwóch najczęściej rannych kobiet”, wspomina ppłk dr n. med. Robert Brzozowski, kierownik Zakładu Medycyny Pola Walki Wojskowego Instytutu Medycznego.

Problemy pojawiały się nawet w czasie międzyresortowych ustaleń, do których szpitali powinny trafić ofiary zamachowców. Wszyscy poszkodowani mieli rany postrzałowe z karabinków Kalasznikowa. „Mamy największe doświadczenie w kraju w leczeniu pacjentów z takimi obrażeniami”, mówi gen. bryg. prof. dr hab. n. med. Grzegorz Gielera, dyrektor WIM-u. „Dlatego najczęściej poszkodowane osoby uzyskały pomoc w naszym szpitalu”.

WNIOSKI Z TUNEZJI I DONBASU

„Analizując tamte wydarzenia, dowódca jednostki GROM powołał nieetatowy mobilny zespół chirurgiczny. W efekcie powstała grupa o wysokim stopniu mobilności oraz autonomii. Zespół jest przygotowywany do prowadzenia zaawansowanych



JAROSŁAW RYBAK

ŚWIADOMOŚĆ ŻOŁNIERZA, ŻE WOJSKO ZROBI WSZYSTKO, ABY GO ODZYSKAĆ, JEST BEZCENNA

działań medycznych w każdych warunkach i każdym miejscu”, ujawnia gen. dyw. Piotr Patalong, inspektor wojsk specjalnych.

Zespół to skomplikowana układanka. Trzon stanowią medycy GROM-u. Ci jednak nic by nie zrobili, gdyby nie lotnicy z sił powietrznych, zarówno z 7 Eskadry Działań Specjalnych, jak i lotnictwa transportowego. Niezbędne jest też uzupełnienie składu o medyków z WIM-u. „Koncepcja operacyjna zespołów chirurgicznych SOST, wypracowana kilkanaście lat temu w USA, jednoznacznie nakazuje oparcie kadry medycznej zespołu na osobach mających wysokie kwalifikacje i odbywających codzienną praktykę medyczną. Potrzebujemy specjalistów chirurgii ogólnej, anestezjologii, traumatologii i ortopedii oraz medycyny ratunkowej. Tylko laik może myśleć, że w wojskach specjalnych potrafilibyśmy samodzielnie stworzyć taki zespół. To byłoby absolutnie pozbawione sensu”, kontynuuje gen. Patalong. „W Polsce naszym naturalnym partnerem jest WIM. Tam powinni trafiać ewakuowani. Przy ulicy Szaserów w Warszawie w jednym miejscu zgromadzono specjalistów praktycznie ze wszystkich dziedzin medycyny. Do tego trzeba dodać możliwości skorzystania z telemedycyny. WIM ma sprawdzone w czasie misji w Iraku i Afganistanie systemy łączności, pozwalające na odległość dokonywać bardzo zaawansowanych konsultacji medycznych”.

Trzon zespołu ma się opierać na służbie zdrowia jednostki GROM, i – odpowiednio do pojawiających się potrzeb – być wzmacniany przez medyków, którzy na co dzień pracują w szpitalu, ale pozostają w zespołach dyżurnych, więc błyskawicznie będą w stanie ruszyć do akcji. Nie muszą być jed-

nak superkomandosami. „Sprzęt, o którym rozmawiamy, może być desantowany z sekcjami spadochronowymi, tak aby zaawansowanej pomocy można było udzielać już w sytuacji, w której nie ma możliwości zorganizować ewakuacji. Po to wymyślono spadochrony tandemowe, żeby skoczek przetransportował w odpowiednie miejsce specjalistę, który stanie przy mobilnym stole operacyjnym”, podkreśla gen. Patalong.

„Takie rozwiązania sprawdzono w USA czy Wielkiej Brytanii. Dla naszego szpitala oznacza to dodatkowy wysiłek. Ale podejmując się wyzwania, wykonujemy zadania, do których w wiodących państwach NATO służą najważniejsze szpitale wojskowe. Chcemy zaproponować budowę sprawnego systemu, który polegał będzie nie tylko na sprawniej ewakuacji, ale też zaoferuje poszkodowanym najlepsze możliwe metody powrotu do zdrowia. Ta koncepcja wynika z analizy wniosków z leczenia żołnierzy rannych w Iraku i Afganistanie czy cywili poszkodowanych w zamachu w Tunezji”, dodaje gen. Gielerak.

Inspektor wojsk specjalnych zwraca uwagę na to, że sojusznicy racjonalnie gospodarują budżetem. Dlatego Wielka Brytania stworzyła tylko jeden taki zespół. W Stanach Zjednoczonych jest ich kilka, ale dyżur także pełni tylko jeden. Większość pozostałych państw NATO nie pokusiła się o powołanie podobnych grup. „Udział w ćwiczeniach i szkoleniach międzynarodowych pokazuje, że jesteśmy w czołówce krajów rozwijających tę zdolność”, uważa gen. Patalong. „W ramach sojuszu północnoatlantyckiego rozwijamy deficytowe umiejętności. To może być jedna z kart przetargowych przy politycznych decyzjach dotyczących zaangażowania Sił Zbrojnych RP w operacje sojusznicze”.

POTYCZKI KADROWE

Jesteśmy na dobrej drodze, mamy sprzęt i specjalistów. Zespół intensywnie ćwiczy i zgrywa się z lotnictwem, szpitalem na Szaserów i innymi podmiotami. Diabeł tkwi w szczegółach. „Trzeba spać w jeden systemy działania różnych rodzajów wojsk i służb w ramach Ministerstwa Obrony Narodowej. Należy wypracować zasady współpracy pomiędzy MON-em a MSZ-etem i innymi instytucjami. Brakuje także formalnych podstaw do uruchamiania środków na systematyczne szkolenia medyków z siłami specjalnymi w formule mieszanych zespołów zadaniowych czy ich okresowe szczepienia przeciw chorobom, z którymi mogą się zetknąć w czasie misji medycznej. Jako dyrektor publicznego szpitala muszę też zadbać o to, żeby wyznaczenie osób do nieetatowego zespołu ratownictwa bojowego nie wpłynęło na pogorszenie jakości pracy szpitala. To jednak problemy do pokonania. Ale do ich przezwyciężenia potrzebujemy sojuszników”, mówi dyrektor WIM-u.

A dodatkowe pieniądze? „Wykorzystanie medyków z zewnątrz jest zdecydowanie tańsze i przede wszystkim gwarantuje skuteczniejszą pomoc, niż zatrudnianie dodatkowych osób i tworzenie osobnych struktur w ramach wojsk specjalnych”, mówi gen. Piotr Patalong.

Dyrektor WIM-u gen. Gielerak przypomina operację ratowania kpt. Scotta O’Grady’ego, pilota US Air Force zestrzelonego w czerwcu 1995 roku na Bałkanach. Brało w niej udział ponad 40 samolotów, śmigłowców, satelity oraz kilka tysięcy amerykańskich żołnierzy. „Nikt nawet wtedy nie wspomniał o kosztach. Świadomość żołnierza, że wojsko zrobi wszystko, aby go odzyskać, jest bezcenna. My też chcemy dać Polakom większe poczucie bezpieczeństwa”, kończy dyrektor WIM. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Zachowani w pamięci

Dla rodzin poległych żołnierzy
najważniejsza jest pamięć o ich bliskich.

Pierwszy raz w tym roku 21 grudnia obchodzimy Dzień Pamięci Poległych i Zmarłych w Misjach i Operacjach Wojskowych poza Granicami Państwa. Od 1953 roku, gdy po raz pierwszy polscy żołnierze wzięli udział w zagranicznej operacji wojskowej, 122 z nich nie wróciło do domu. Tabliczki z ich nazwiskami wiszą na ścianie pamięci obok pomnika poległych na misjach przy Centrum Weterana w Warszawie.

NIE ZAPOMNIMY

W rocznicę śmierci żołnierzy poległych na misjach w ich macierzystych jednostkach odbywają się uroczystości poświęcone ich pamięci. W kościołach garnizonowych są odprawiane nabożeństwa w intencji poległych, organizowane spotkania z ich rodzinami, a na mogiłach pojawiają się kwiaty i płoną znicze. Joanna Ciesielska, matka mł. chor. Piotra Ciesielskiego, który zginął w Afganistanie 21 grudnia 2011 roku, uważa, że „pamięć trzeba pielęgnować, tak jak miłość”. Dlatego dla rodzin żołnierzy poległych tak ważny jest kontakt z jednostką i świadomość, że koledzy nie zapomnieli o ich bliskich. Ta pamięć przybiera różne formy.

W Dzierżoniowie władze miasta postanowiły uhonorować mjr. Krzysztofa Woźniaka, pierwszego żołnierza GROM-u, który zginął w Afganistanie. 28 czerwca 2015 roku (w dniu urodzin poległego oficera) został odsłonięty poświęcony mu obelisk, a jeden z deptaków nazwano aleją Mjr. Krzysztofa Woźniaka.

W oryginalny sposób został upamiętniony kpr. Andrzej Zielke, który zginął na II zmianie PKW w Iraku. Na terenie jego macierzystej jednostki, 16 Żuławskiego Batalionu Remontowego w Elblągu, żołnierze posadzili dwa dęby poświęcone pamięci dwóch pochodzących z niej żołnierzy, którzy nie wrócili w 2004 roku z Iraku. Jednym z nich był mąż Marzeny. Kilometrowe drzewa pną się w górę przy głównym placu, gdzie się odbywają wojskowe uroczystości.

Inną formę upamiętnienia zmarłego kolegi wybrali uczestnicy 1 Centralnego Zlotu Weteranów „Bieszczady 2015”. Postanowili, że ta sportowa wyprawa będzie nosić imię st. chor. Jana Kiepur. Spotkali się w Raławówce koło Rzeszowa, gdzie został on pochowany. Przy wojskowej asyście honorowej złożyli kwiaty i zapalili znicze. „Koledzy Janka zapewni mi, że zawsze będą o nim pamiętać”, opowiadała Gabriela Kiepus, żona poległego żołnierza.

MORALNY OBOWIĄZEK

21 grudnia 2014 roku w Warszawie rozpoczęło działalność Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa, a na

placu przed budynkiem odsłonięto wówczas pomnik poświęcony pamięci tych, którzy zginęli na misjach. Kilka miesięcy temu dyrektor Centrum Weterana ppłk Leszek Stępień zaprosił do Warszawy rodziny poległych żołnierzy. Wspólnie złożyli wiązanki kwiatów przed pomnikiem i zapalili znicze. „Chcieliśmy przybliżyć rodzicom naszą działalność oraz opowiedzieć o inicjatywach związanych z uhonorowaniem ich synów”, mówi dyrektor Stępień.

Rodzice poległych byli zaskoczeni, że pracownicy Centrum Weterana pamiętają o rocznicy śmierci każdego z 122 żołnierzy i zapalają tego dnia znicze pod ścianą pamięci. „To nasz moralny obowiązek i jedno z najważniejszych zadań w codziennej pracy i służbie”, zapewnia ppłk Stępień. Jest także pewien, że ci, którzy stracili życie na misjach, pozostają w sercach kolegów – towarzyszy broni.

„Chcemy tylko, aby została zachowana pamięć o naszych dzieciach”, mówi Joanna Ciesielska. „Pragniemy dbać o dobre imię poległych, bo zaciera się pamięć o nich”, dodaje Monika Nosek, prezes Stowarzyszenia Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość” (zrzesza ponad 80 członków). Aby zachować tę pamięć, Centrum Weterana zamierza wydać album poświęcony żołnierzom poległym w Iraku i Afganistanie.

PORTRETY POLEGŁYCH

Centrum Weterana włączyło się także w kolejną inicjatywę służącą zachowaniu pamięci o żołnierzach, którzy zginęli w Iraku i Afganistanie. Amerykański artysta Michael Reagan namalował 66 ich portretów. Oryginał jest przeznaczony dla rodziców i żon, a zdigitalizowane kopie – dla Centrum Weterana.

Michael Reagan jest autorem ponad 4200 portretów żołnierzy armii Stanów Zjednoczonych, a pierwszy z nich namalował na prośbę matki żołnierza – amerykańskiego marine, który poległ w Iraku. Jak artysta pisze na swojej stronie internetowej, był pod wrażeniem jej słów, gdy powiedziała, że dzięki temu obrazowi czuje się, jakby jej syn wrócił do domu.

Na pomysł, aby w podobny sposób uczcić pamięć polskich żołnierzy poległych w Iraku i Afganistanie, wpadł Robert Michalak, Amerykanin polskiego pochodzenia, którego przodkowie w 1914 roku wyemigrowali do Ameryki. Pod koniec ubiegłego roku zgłosił się do polskiej ambasady w Waszyngtonie i opowiedział o tej inicjatywie.

„Podczas spotkania stowarzyszenia weteranów wojennych [Veterans of Foreign Wars] w Redmond w stanie Waszyngton Michalak poznał amerykańskiego malarza Michaela



ROBERT SIOCHY / DKS MON

W USA W OSTATNI PONIEDZIAŁEK MAJA JEST OBCHODZONY MEMORIAL DAY.



Główne uroczystości odbywają się na wojskowym cmentarzu Arlington, najważniejszej nekropoli w Stanach Zjednoczonych, gdzie spoczywa ponad 400 tys. Amerykanów poległych na wszystkich wojnach, w których USA brały udział. Zgodnie z tradycją tego dnia prezydent USA składa wieniec na grobie nieznanego żołnierza i wygłasza przemówienie. W całym kraju są organizowane okolicznościowe akademie, parady i koncerty, w których masowo biorą udział Amerykanie. Hołd poległym oddają także kibice podczas licznych imprez sportowych.

CZAS ZADUMY

W Wielkiej Brytanii 11 listopada to tzw. Remembrance Day, czyli Dzień Pamięci. O godz. 11.00 Brytyjczycy zatrzymują się na dwie minuty, aby chwilą ciszy uczcić pamięć tych, którzy oddali życie za wolność. Zwyczaj ten istnieje od roku 1919. Członkowie rodziny królewskiej, politycy, duchowni zbierają się przy pomniku The Cenotaph w Whitehall, upamiętniającym poległych żołnierzy. Tam odbywają się główne obchody. 11 listopada jest także nazywany Dniem Maku (Poppy Day), gdyż tego dnia Brytyjczycy przypinają do ubrań znaczki maku, które sprzedaje Royal British Legion, największe w Wielkiej Brytanii stowarzyszenie kombatanów. Uzyskane w ten sposób fundusze (rocznie ponad 20 mln funtów) są przeznaczane na pomoc weteranom.

Reagana, weterana wojny wietnamskiej. Gdy zostali przyjaciółmi, dowiedział się, że Michael maluje portrety kanadyjskich i brytyjskich żołnierzy poległych w wojnie z terroryzmem. Zapytał o możliwość wykonania portretów naszych polskich żołnierzy. Artysta się zgodził. Poprosił tylko o przesłanie zdjęć, opowiada ppłk Karol Sobczyk, zastępca attaché obrony w Waszyngtonie.

„Uznaliśmy, że to dobry sposób upamiętnienia żołnierzy”, mówi ppłk Leszek Stępień. Centrum Weterana nawiązało współpracę z Dowództwem Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych, aby uzyskać od rodzin zdjęcia poległych żołnierzy.

„Ta inicjatywa spotkała się z dobrym przyjęciem wśród ich rodzin”, dodaje Ryszard Bartczak z Centrum Weterana.

„Koszty związane z oprawą portretów pokrył Dom Polski w Seattle z pieniędzy zebranych podczas imprez charytatywnych”, dodaje ppłk Sobczyk. Michael Reagan namalował portrety nieodpłatnie. Podkreśla, że nie robi tego z przesłanek politycznych. Jak mówi, chce upamiętnić poległych bohaterów i pomóc ich rodzinom, aby czuły się otoczone opieką.

SZCZEGÓLNY DZIEŃ

O ustanowieniu 21 grudnia Dniem Pamięci Poległych i Zmarłych w Misjach i Operacjach Wojskowych poza Granicami Państwa zdecydował w lipcu 2015 roku szef

MON-u. Jak napisał w decyzji, dla uczczenia tego święta mają być organizowane „spotkania z rodzinami poległych żołnierzy i pracowników wojska, uroczystości o charakterze religijnym, przedsięwzięcia o charakterze kulturalnym i edukacyjnym, apele poległych i uroczyste zbiórki w instytucjach i jednostkach wojskowych, ceremonie złożenia kwiatów i zapalenia zniczy na mogiłach poległych i zmarłych oraz przy miejscach pamięci im poświęconych”.

Dlaczego wybrano 21 grudnia? Tego dnia w 2011 roku w wybuchu tzw. improwizowanego urządzenia wybuchowego na drodze łączącej Kabul z Kandaharem zginęło pięciu polskich żołnierzy: st. kpr. Piotr Ciesielski z Ostródy, st. szer. Łukasz Krawiec spod Rzeszowa, st. szer. Marcin Szczurowski z Morąga, st. szer. Marek Tomala z Bartoszyca oraz szer. Krystian Banach z okolic Morąga. Służyli w 20 Bartoszyckiej Brygadzie Zmechanizowanej, a w Afganistanie należeli do zespołu odbudowy prowincji, ochraniali specjalistów zajmujących się budową infrastruktury i pomocą lokalnej ludności.

Monika Nosek mówi, że w dzień pamięci o poległych „możemy pochylić głowy i wspomnieć tych, którzy tysiące kilometrów od domów i ojczyzny wykonywali obowiązki, poświęcając to, co najcenniejsze, czyli własne życie”. Jednak jak dodaje, niektóre rodziny wybór daty tego święta zażalowały, bo „grudzień ze względu na zbliżające się Boże Narodzenie to czas szczególnie dla nas bolesny”. ■

BIBLIOTEKA

CENTRUM WETERANA DZIAŁAŃ POZA GRANICAMI PAŃSTWA

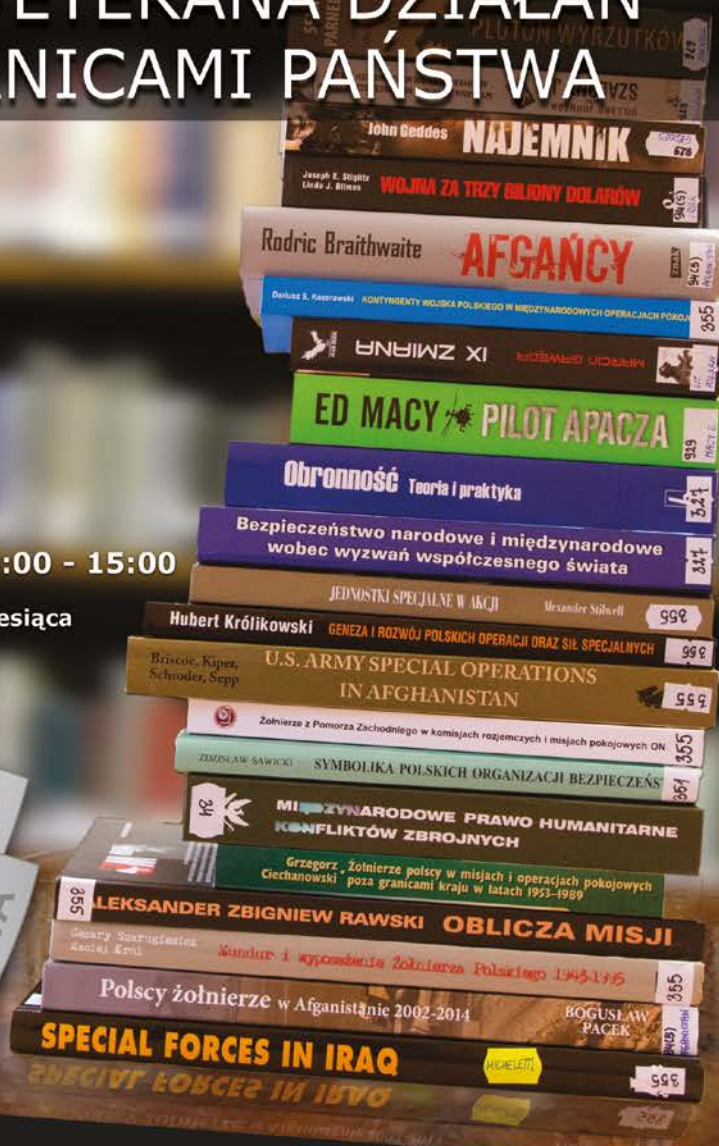
ADRES:

UL. PUŁAWSKA 6A
00-909 WARSZAWA
tel. 261-842-083

GODZINY PRACY:

Poniedziałek – 12:00 – 18:00
Wtorek – 10:00 – 15:00
Środa – 10:00 – 15:00
Czwartek – 12:00 – 18:00
Piątek – 10:00 – 15:00
pierwsza sobota miesiąca – 10:00 – 15:00

Nieczynna w pierwszy poniedziałek miesiąca



ZAPRASZAMY SERDECZNIE

do korzystania z naszych zbiorów

Biblioteka Centrum Weterana gromadzi literaturę poświęconą działaniom Wojska Polskiego poza granicami państwa. W zbiorach biblioteki znajdują się zarówno opracowania specjalistyczne, jak i literatura wspomnieniowa odnosząca się do powyższej problematyki.

JAROSŁAW
RYBAK

Bohaterowie pod ręką

**GDZIE SZUKAĆ
ŻOŁNIERZY, KTÓRZY
MOGLIBY BYĆ WZORCAMI
DLA LUDZI
ZAINTERESOWANYCH
SŁUŻBĄ W MUNDURZE?**



Kim dowódcy mogliby się chwalić, mówiąc „patrzcie, tu mamy naszych bohaterów”? Gdzie szukać żołnierzy, którzy mogliby być wzorcami dla ludzi zainteresowanych służbą w mundurze? Wbrew pozorom dosyć łatwo ich znaleźć. Prawdopodobnie prawie w każdej jednostce jest taki człowiek. Sęk jednak w tym, że chyba nikt nie szuka.

W ciągu ostatnich miesięcy miałem okazję zajmować się uczestnikami programu „Afgan”, polegającego na poddaniu badaniom medycznym ludzi, którzy w Afganistanie zostali ranni lub poszkodowani w efekcie wybuchów min pułapek. W Wojskowym Instytucie Medycznym przebadano 222 osoby. Rozmawiałem z wieloma z nich. Część nie chciała opowiadać o sobie, motywacji do służby i zdarzeniach z misji. Niektórzy nie przywoływali traumatycznych wydarzeń, bo starali się jak najszybciej wymazać je z pamięci. Inni – z powodu tego, co się stało – mieli pretensje do siebie, wojska, świata. Byli też tacy, którzy nie widzieli potrzeby, żeby dzielić się wspomnieniami. Wszystkie te postawy rozumiem. Spora część historii osnutych wokół zdarzeń z Afganistanu to jednak gotowe materiały dla dziennikarzy. Z suchych relacji można zbudować świetne historie o odpowiedzialności za kolegów, męskich przyjaźniach, honorze, zawziętości, a w końcu o walce ze słabościami i przeciwnościami losu, żeby zaleczyć rany i wrócić do służby.

Pierwsza historia. Żołnierz poleciał do Afganistanu w 2007 roku. W wybuchu miny został ciężko poparzony. Po miesiącach leczenia wrócił do jednostki. Znowu ruszył pod Hindukusz i kolejny raz został ranny w wybuchu „ajdika”. Ponownie czekało go wielomiesięczne leczenie i rehabilitacja. Cudem udało mu się dostać do szkoły podoficerskiej. Kapralem został kilka tygodni przed zakończeniem 12-letniego kontraktu.

Historia druga. Rosomak wjechał na ładunek wybuchowy. Załogę uratował kapral. Z płonącego pojazdu wyciągnął ciężko rannego dowódcę i kierowcę, „ogarnął” pozostałych kolegów. Wrócił do macierzystej jednostki, gdzie żaden z przełożonych nie zapytał, jak tam na misji było.

Kolejna opowieść. Oficer miał przecucie, że dojdzie do nieszczęścia. Przed wyjazdem z bazy spakował rzeczy, koledze zostawił na przechowanie obrączkę. Pojazd wjechał na minę. Mężczyzna nim jadący doznał skomplikowanego urazu brzucha. Po miesiącach leczenia wrócił do jednostki. Gdy ma wykonywać jakieś zadania w polu, zakłada specjalny gorset, żeby żołnierze nie zauważyli, że dowódca jest jakiś słabowity. Gdyby miał jeszcze raz ruszać na wojnę, pojechałby. Bo taka jest służba.

Podobne wspomnienia mogę mnożyć. Łączy je jedno: opowiadają je ludzie, dla których wojsko jest dojrzałym wyborem, z pełną świadomością konsekwencji, jakie ze sobą niesie włożenie munduru. Czy takich żołnierzy nie warto pokazywać? W czasie świąt zapraszać na trybunę honorową, żeby stanęli obok starosty, wójta, generała i innych VIP-ów? Podczas dni otwartych mogliby młodym ludziom opowiadać o blaskach i cieniach służby. Od razu zaznaczam, że mówimy o zwykłych ludziach z ich wadami i zaletami. Bo to mają być wzorce do-

brych żołnierzy, a nie kandydaci na ołtarze zgłaszani do procesu kanonizacyjnego. ■

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

PAULINA GLIŃSKA

Uczniowie w moro

Noszenie munduru to dla uczniów klas o profilach proobronnych szkolna codzienność. Z myślą o młodzieży wojsko chce uprościć zasady jego użytkowania.

Mundur wojskowy jest prawnie zastrzeżony dla żołnierzy. Zasady jego noszenia określają wewnętrzne, resortowe przepisy. Zgodnie z nimi munduru nie może wkładać żadna osoba nieuprawniona. To zasady ogólne, od których przepisy dopuszczają jednak wyjątki.

KATALOG OSÓB UPRAWNIONYCH

W praktyce osoby niebędące żołnierzami mogą używać wskazanego w przepisach, jednego wzoru munduru lub jego części. Chodzi tu o wzór 93 – mundur polowy, polowy tropikalny, kurtkę polową, koszulobluzę polową, wszystkie z nadrukiem pantera. Warunek jest jednak taki, że ubiory te muszą być pozbawione oznaczeń wojskowych, takich jak stopnie wojskowe, oznaki korpusów osobowych i specjalności czy przynależności państwowej.

Nie każdy ma jednak prawo do noszenia takiego umundurowania. Przepisy precyzyjnie określają katalog osób, które mogą sobie pozwolić na jego użytkowanie. To młodzież, instruktorzy i specjaliści zrzeszeni w stowarzyszeniach lub organizacjach społecznych, które zawarły porozumienia o współpracy z Ministerstwem Obrony Narodowej, a ich statuty przewidują prowadzenie działalności na rzecz obronności państwa. Mundurów takich może też używać młodzież akademicka oraz szkolna odbywająca edukację w ramach przysposobienia obronnego i obozów specjalistycznych. Z punktu widzenia wojska dla tych ostatnich grup mundur nie jest obowiązkowy. W zdecydowanej większości stał się on jednak nieodłącznym elementem i wyróżnikiem uczniów odbywających edukację proobronną.

Dziś w całej Polsce odbywa ją około 33 tys. młodych ludzi. Uczą się w prawie 400 szkołach prowa-

PODSTAWY PRAWNE NOSZENIA UMUNDUROWANIA WOJSKOWEGO

1. Ustawa z 21 grudnia 1978 roku o odznakach i mundurach.
2. Rozporządzenie ministra obrony narodowej z 31 grudnia 2014 roku w sprawie rodzajów, zestawów i wzorów oraz noszenia umundurowania i oznak wojskowych przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką.
3. Rozporządzenie ministra obrony narodowej z 31 października 2014 roku w sprawie umundurowania i wyekwipowania żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę wojskową.
4. Rozporządzenie ministra obrony narodowej z 15 stycznia 2015 roku w sprawie przypadków, w których żołnierze zawodowi i żołnierze pełniący służbę kandydacką są zwolnieni z obowiązku noszenia umundurowania i oznak wojskowych.
5. Rozporządzenie ministra obrony narodowej z 2 czerwca 2015 roku w sprawie noszenia uzbrojenia przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką.
6. Rozporządzenie ministra obrony narodowej z 4 sierpnia 2015 roku w sprawie noszenia orderów, odznaczeń i odznak przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką.
7. Rozporządzenie ministra obrony narodowej z 19 października 2005 roku w sprawie zakazu używania munduru wojskowego lub jego części.
8. Regulamin ogólny SZRP – decyzja ministra obrony narodowej nr 445/MON z 30 grudnia 2013 roku (rozdział II „Stosunek żołnierzy do munduru, wygląd zewnętrzny”).
9. Kodeks honorowy żołnierza zawodowego WP.

Z REGULAMINU KLASY MUNDUROWEJ

Podstawowym ubiorem ucznia klasy o profilu wojskowym jest mundur składający się z: beretu, munduru moro z umieszczonym na lewym rękawie logo szkoły i umieszczoną nad lewą kieszenią naszywką z nazwiskiem, T-shirtu koloru czarnego/khaki, pasa głównego, czarnych butów wojskowych.

Zabrania się uczniom klas mundurowych: noszenia ubioru mundurowego w połączeniu z elementami ubioru cywilnego lub innych mundurów, użytkowania przedmiotów mundurowych niezgodnie z ich przeznaczeniem, trwałego lub tymczasowego deformowania części umundurowania w sposób nieuzasadniony z ich przeznaczeniem, np. poprzez nadmierne wypychanie zewnętrznych kieszeni.

dzających w sumie 1340 klas mundurowych (policyjne, straży granicznej, penitencjarne, a także wojskowe). W wielu z tych placówek noszenie umundurowania jest wymagane od pierwszego dnia edukacji. Koszt jego zakupu zazwyczaj pokrywa uczeń. W praktyce coraz częściej partycypuje w tym szkoła lub nawet władze samorządowe. Dzięki współpracy z wojskiem niekiedy mundury dla uczniów zdobywa się właśnie od armii.

NA LEKCJE NA WOJSKOWO

W mundurach młodzież może występować w charakterze oficjalnych przedstawicieli szkoły, w czasie apelów i uroczystości szkolnych, z okazji świąt państwowych i resortowych. Może on być także używany w trakcie zajęć w jednostce wojskowej i na wyjazdowych obozach szkoleniowych. W szkołach, które zdecydowały się na umundurowanie młodzieży, taki ubiór jest obowiązkiem także podczas zajęć szkolnych.

Choć zasady noszenia mundurów przez młodzież w szczegółach precyzują wojskowe przepisy, a także szkolne regulaminy, praktyka bywa nieco problematyczna. Zdarza się, że uczniowie używają umundurowania prawnie zakazanego, a na tym pożytkującym od armii nie zawsze pozbywają się oznak wojskowych. „Choć w wielu szkołach naruszenie przepisów umundurowania może skutkować obniżoną oceną ze sprawowania, a osoby noszące zakazane elementy ubioru mogą zostać ukarane mandatem, w rzeczywistości nikt tego nie pilnuje. Dla nas to trochę walka z wiatrakami.

Trudno przecież kilku tysiącom uczniów, stojących na przykład przed Grobem Nieznanego Żołnierza, kazać nagle zdejmować poszczególne elementy umundurowania”, tłumaczy płk Marek Baranowski, dyrektor Biura ds. Proobronnych Ministerstwa Obrony Narodowej.

Jako przykład oficer wskazuje noszenie przez uczniów klas mundurowych wojskowych beretów. Samo nakrycie głowy pozbawione oznak jest dozwolone. Zastrzeżony przez siły zbrojne jest natomiast znak orła na beretach. „W armii występują cztery jego wzory, po jednym dla każdego z rodzajów wojsk. Inny więc noszą wojska lądowe, inny siły powietrzne, marynarka wojenna i wojska specjalne. Prawo do ich używania mają wyłącznie żołnierze”, tłumaczy płk Baranowski.

Niektórzy nauczyciele, mając świadomość łamania przepisów, wymyślili dla swoich szkół własne wzory orłów. Są oni jednak w zdecydowanej mniejszości.

ROZWIĄZAĆ PROBLEM

Dlatego wojsko, podobnie jak w wielu innych sprawach dotyczących współpracy ze szkołami i organizacjami proobronnymi, postanowiło i tym razem wyjść naprzeciw potrzebom i oczekiwaniom młodzieży. Specjalnie dla uczniów klas mundurowych plastycy i graficy z Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej opracowali nowy wzór orła polskiego, który może być używany przez młodzież. Emblemat przedstawiający orła trzymającego w szponach rozłożoną książkę z literami KM (klasa mundurowa) został przygotowany na naszywkach w pięciu kolorach beretów (czerwony, szkarłatny, zielony, niebieski i czarny) wstępujących w Wojsku Polskim oraz na tle kamuflażu, który może być wykorzystany np. na czapce moro z daszkiem.

„Oczywiście zawsze można wymyślić własny wzór. Ale to może się wiązać z kosztami zatrudnienia grafika i koniecznością sprawdzenia, czy dany wzór nie jest już zastrzeżony. Nasz projekt został przygotowany specjalnie z myślą o klasach mundurowych. Liczymy, że stanie się ich znakiem rozpoznawczym”, dodaje dyrektor Biura.

Być może już wkrótce nastąpią zmiany w kwestii noszenia samych mundurów. „Zaproponowaliśmy specjalny wyróżnik. To taka duża naszywka, którą będą mogli

nosić uczniowie klas mundurowych, członkowie organizacji proobronnych i związków strzeleckich. W zależności od tego, kto będzie nosił mundur, na naszywce będzie napis przynależności. Sądymy, że pozwoli to w sposób jednoznaczny odróżnić ucznia od żołnierza. Tym samym uczniowie będą mogli nosić każdy mundur, ale obowiązkowo z tym wyróżnikiem”, tłumaczy dyrektor Biura. Niezmienny pozostanie zakaz noszenia zastrzeżonych oznak wojskowych, np. stopni czy oznak szkolnych.

Oficer podkreśla jednocześnie, że zmiany są dopiero procedowane i nie wiadomo jeszcze, kiedy zaczną obowiązywać. „Na pewno jednak, gdy wejdą w życie, będziemy bardzo rygorystycznie reagować na ich naruszenia”, dodaje dyrektor. ■

**ZAKUP
OPRACOWANYCH
PRZEZ WOJSKO
OZNAK ORŁA NA
NAKRYCIA GŁOWY
POZOSTAJE W GESTII
SZKÓŁ I SAMYCH
UCZNIÓW. NA RYNKU
JEST KILKA FIRM,
KTÓRE OFERUJĄ
NASZYWKI Z ORŁAMI**

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

Tatuaż

Służę w wojsku od dziewięciu lat. Pięć lat temu zrobiłem sobie na plecach dość duży tatuaż symbolizujący moją rodzinę. Nie miałem z tego powodu żadnych nieprzyjemności. Co trzy lata przechodzę badania komisji lekarskiej bez problemu. Teraz na wewnętrznej części przedramienia chciałbym wytatuować sobie wzór, który będzie symbolem ślubu z moją żoną. Zajmie mniej więcej połowę długości przedramienia. Czy są do tego jakieś prawne przeciwwskazania?

→ **Kwestię tatuaży w wojsku należy rozważać w kontekście przepisów rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach, które weszło w życie 6 czerwca 2015 roku.** Tatuaż zakwalifikowano do chorób lub ułomności, które są uwzględniane przy orzekaniu o zdolności do zawodowej służby wojskowej lub do służby poza granicami państwa oraz o zdolności do pełnienia służby w poszczególnych rodzajach sił zbrojnych i rodzajach wojsk, jak również na stanowiskach służbowych wymagających szczególnych predyspozycji zdrowotnych.

W rozporządzeniu dokonano podziału tatuaży na szpecące i nieszpecące. Zasadniczo od uznania komisji zależy, jak konkretny tatuaż zostanie zakwalifikowany. Należy jednak podkreślić, że w objaśnieniach szczegółowych w załącznikach do tego rozporządzenia jednoznacznie wskazano, że tatuaże twarzy, szyi i przedramion należy kwalifikować jako szpecące. Wobec powyższego, jeżeli zrobi Pan tatuaż na przedramieniu, zostanie

on zakwalifikowany jako szpecący, niezależnie od wyglądu czy jego symboliki.

Tatuaże nieszpecące generalnie nie mają wpływu na zdolność żołnierza do służby. Inaczej jest, jeżeli komisja zakwalifikuje tatuaż jako szpecący. Żołnierz, który ma taki tatuaż, jest co do zasady zdolny do służby, ale zostanie uznany za niezdolnego m.in. do pełnienia służby w kompaniach jednostek reprezentacyjnych Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, w jednostkach desantowo-szturmowych, w Żandarmerii Wojskowej, a także do ubiegania się o przyjęcie do studium oficerskiego lub szkoły podoficerskiej. Tatuaż szpecący może mieć również wpływ na uznanie żołnierza za niezdolnego do pełnienia zawodowej służby wojskowej w powietrzu, służbie naziemnego zabezpieczenia lotów i służbie inżynierjno-lotniczej oraz na okrętach wojennych i innych jednostkach pływających marynarki wojennej, a także w charakterze nurka i pletwonurka.

Reasumując – tatuaż na przedramieniu jest zawsze tatuażem szpecącym w rozumieniu obowiązujących przepisów. ■

DOROTA GUDALEWICZ, aplikant radcowski
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

PODSTAWY PRAWNE:

rozporządzenie ministra obrony narodowej z 3 czerwca 2015 roku w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach (DzU 2015 poz. 761) – §1 pkt. 1–3, §2 ust. 1–2 oraz załączniki 1–2.

Lata pracy w cywilu

Jestem żołnierzem służby stałej. Zawodową służbę wojskową rozpocząłem w 2000 roku (zasadnicza służba w 1995 roku). W cywilu pracowałem około dziesięciu lat. W tym roku zamierzam odejść na emeryturę. Czy lata z cywila staną mi doliczone do świadczenia emerytalnego? O ile mi wiadomo, lat pracy z cywila nie dolicza się tym, którzy rozpoczęli służbę po 1999 roku.

➔ **Odpowiedź na poruszone zagadnienie można znaleźć w przepisach ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz w ustawie o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin.** Problematyką tą zajmowały się także sądy powszechne. W opisanym stanie faktycznym zastosowanie znajduje przede wszystkim art. 15a drugiego z wymienionych aktów prawnych. Zapisano w nim: „Emerytura dla żołnierza, który został powołany do zawodowej służby wojskowej po raz pierwszy po dniu 1 stycznia 1999 r., wynosi 40% podstawy jej wymiaru za 15 lat służby wojskowej i wzrasta według zasad określonych w art. 15 ust. 1 pkt 1 i ust. 1a–5”.

Cytowany przepis w zasadzie wyłącza możliwość zaliczenia do podstawy wymiaru emerytury okresów składkowych poprzedzających służbę (głównie poprzez brak odniesienia do art. 15 ust. 1 pkt 2–4 ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin). Kwestią mogącą natomiast budzić większe wątpliwości jest moment, od którego należy liczyć „powołanie do zawodowej służby wojskowej po raz pierwszy” i jakie znaczenie nadać rozpoczęciu pełnienia zasadniczej służby wojskowej.

Rozstrzygając ten element zagadnienia, należy się odwołać do art. 9 i 10 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Wynika z nich, że ustawodawca wiąże ściśle powołanie do zawodowej służby wojskowej i nawiązanie stosunku służbowego z rozkazem personalnym wydanym w tym zakresie. Jednocześnie z przepisów ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin nie sposób wywieść odmiennej definicji pojęcia „powołania do zawodowej służby wojskowej”.

Tym samym nie widać podstaw prawnych, aby utożsamiać moment rozpoczęcia pełnienia zasadniczej służby wojskowej z „powołaniem do zawodowej służby wojskowej po raz pierwszy”. W tym miejscu trzeba podkreślić, że autor niniejszej porady w pełni zgadza się z dorobkiem judykatury istniejącym na gruncie przedmiotowego zagadnienia. Zgodnie z poglądem Sądu Apelacyjnego w Rzeszowie wyrażonym w tezie wyroku z 10 października 2012 roku (sprawa o sygn. akt: III AUa 707/12), „Gdy idzie o sam sposób ustalenia wysokości emerytury żołnierza zawodowego, to przesądzająca jest tylko i wyłącznie data powołania do zawodowej służby wojskowej, która, jeśli przypada po dniu 1 stycznia 1999 r. wyłącza m.in. przewidzianą w art. 15 ust. 1 pkt 2 ustawy z 1993 r. o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin możliwość uwzględnienia w podstawie wymiaru świadczenia okresów składkowych poprzedzających służbę”. W uzasadnieniu tego orzeczenia sąd odniósł się także do poruszonej powyżej kwestii odbycia zasadniczej służby wojskowej i jednoznacznie stwierdził, że momentu jej rozpoczęcia nie można traktować jako „powołania po raz pierwszy do zawodowej służby wojskowej”.

Podsumowując, wypada zauważyć, że powołanie po raz pierwszy do zawodowej służby wojskowej w wypadku autora zapytania nastąpiło w rzeczywistości dopiero w 2000 roku (a zatem po 1 stycznia 1999 r.), zaś ta okoliczność z mocy art. 15a ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin uniemożliwia uwzględnienie w podstawie wymiaru emerytury okresów składkowych (lat pracy w „cywilu”) przypadających przed rozpoczęciem tej służby. ■

MAREK PASZKIEWICZ, radca prawny
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

PODSTAWY PRAWNE:

ustawa z 10 grudnia 1993 roku o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin (tekst jednolity DzU 2015 poz. 330) – art. 15, art. 15a; ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU 2014 poz. 1414 z późn. zm.) – art. 9–10.

Prawne wsparcie proobronności

Wojsko uruchomiło telefoniczne konsultacje prawne dla organizacji proobronnych i klas mundurowych.

Telefoniczne dyżury to inicjatywa Biura ds. Proobronnych MON. Odbywają się one w każdą środę w godzinach od 13.00 do 15.00. Pod specjalnym numerem telefonu (261 846 678) można uzyskać bezpłatne konsultacje prawne, dotyczące wszelkich aspektów współpracy z armią. Porad udzielają eksperci – wojskowi prawnicy, oficerowie Biura.

Członkowie organizacji i stowarzyszeń oraz dyrektorzy i nauczyciele szkół prowadzących klasy mundurowe mogą np. poprosić o wsparcie w przygotowaniu dokumentacji. Chodzi tu o pomoc m.in. w stworzeniu statutu (w wypadku organizacji) czy uzgodnieniu treści po-

rozumienia o współpracy z daną jednostką wojskową. Zainteresowani mogą też uzyskać niezbędne informacje dotyczące wprowadzonego w tym roku tzw. minimum programowego.

Wojskowi eksperci pomagają także w interpretacji przepisów, np. dotyczących noszenia przez młodzież wojskowego munduru czy zasad przekazywania szkołom i organizacjom mienia zbrodnego wojsku.

Informacja o dyżurach została wysłana do ponad 400 szkół prowadzących klasy mundurowe oraz ponad 300 organizacji proobronnych. Komunikat na ten temat zamieszczono również na profilu społecznościowym Biura. PG/PZ ■

Tanie wczasy

Program „Tanie wczasy” jest adresowany do najmniej zarabiających rodzin wojskowych. W tym roku mogli z niego skorzystać ci, których średni miesięczny dochód na osobę (za okres 12 miesięcy kalendarzowych poprzedzających datę złożenia wniosku) nie przekroczył 45% kwoty najniższego wynagrodzenia zasadniczego, czyli 2500 zł.

Od stycznia, w związku z planowanym wzrostem wojskowych wynagrodzeń o 100 zł, zmieni się górna kwota uprawniająca do skorzystania z tej wakacyjnej oferty. Na finansowany przez resort wypoczynek będą mieli szansę żołnierze o dochodzie na osobę w rodzinie nieprzekraczającym 1170 zł brutto (w tym roku 1125 zł.).

Nie zmieniają się główne zasady udziału w programie. Do obliczania dochodu będą brane pod uwagę wszystkie przychody w rodzinie, w tym dodatkowe uposażenie roczne, tzw. trzynastka, nagrody, ekwiwalenty. Nie będzie uwzględniany ekwiwalent mundurowy. PG/PZ ■

Więcej miejsc na studium oficerskim

Ponad 330 żołnierzy i cywilów będzie mogło wziąć udział w przyszłorocznych kursach oficerskich.

Zgodnie z decyzją ministra obrony narodowej w przyszłym roku oficerskie przeszkolenie będą mogły przejść 334 osoby (w 2015 roku były 172 miejsca). Szkoleniem kandydatów na przyszłych podporuczników zajmą się dwie wyższe szkoły oficerskie: Wojsk Lądowych we Wrocławiu oraz Sił Powietrznych w Dęblinie.

Najwięcej miejsc przygotowano dla podoficerów. W uczelni wrocławskiej kursy będzie mogło rozpocząć 270 z nich. W zależności od wybranej specjalności żołnierze tego korpusu będą się kształcić przez trzy, sześć albo osiem i pół miesiąca.

Najkrótsze szkolenie przejdą przyszli oficerowie: lekarze, weterynarze, psychologowie, farmaceuci i kapelani. Półroczne szkolenie czeka kandyda-

tów na podporuczników wojsk m.in. pancerno-zmechanizowanych, rozpoznania, rakietowych i artylerii. Tyle samo potrwa kurs w dęblńskiej Szkole Orląt. Tu 14 przyszłych oficerów będzie się szkolić w jednej tylko specjalności – przeciwlotniczych zestawów rakietowych.

Po raz drugi w historii szansę na oficerskie gwiazdki będą mieli szeregowi zawodowi. Szkolenie 15 z nich potrwa w uczelni wrocławskiej 12 miesięcy.

Na kurs będą też mogły aplikować osoby z cywila, ale będzie on prowadzony wyłącznie we Wrocławiu. Na 8,5-miesięcznym studium będzie się szkolić 11 przyszłych oficerów: prawników, finansistów oraz członków orkiestr i zespołów estradowych.

Dla cywilów przewidziano też kilka miejsc na kursie trzymiesięcznym (m.in. lekarze, farmaceuci, psycholodzy, teolodzy) oraz dziewięć na rocznym szkoleniu w specjalności geograficznej.

Dla wszystkich kandydatów podstawowym warunkiem ubiegania się o miejsce w studium oficerskim będzie tytuł magistra oraz wykształcenie zgodne z wybranym kierunkiem szkolenia. Bez względu na rodzaj specjalności wszyscy kandydaci będą musieli zdać testy z języka angielskiego oraz sprawności fizycznej. W wypadku tych ostatnich, żołnierze będą je zaliczać według takich norm, jakie obowiązują ich na rocznym egzaminie z wychowania fizycznego. Przyszłych oficerów czeka też rozmowa kwalifikacyjna. PG/PZ ■

TRUDNE

Zupa krem z topinamburu

{ Pół kilograma topinamburu, dwie cebule, por, pół szklanki białego wina, oliwa z oliwek, trzy szklanki bulionu drobiowego, dwie łyżki śmietany kremówki, sól, pieprz, tymianek, pestki dyni.

Obraną i pokrojoną w kostkę cebulę oraz pokrojonego w talarki pora szklimy na oliwie. Dodajemy wino i czekamy, aż odparuje. Do garnka wrzucamy umyty i pokrojony topinambur. Solimy, dodajemy pieprz i łyżeczkę

tymianku, najlepiej świeżego. Dolewamy bulion i gotujemy około 20 minut, aż warzywa zmiękną. Miksujemy zupę na gładko, podajemy udekorowaną kleksem śmietany i uprażonymi pestkami dyni.

Topinambur, nazywany także słonecznikiem bulwiastym albo ziemnym jabłkiem, pochodzi z Ameryki Północnej. Ma kwiaty podobne



do słonecznika, ale mniejsze, a w podziemnych pędach wytwarza liczne bulwy. U nas jest uprawiany głównie jako roślina ozdobna, która często dziczeje. Można go znaleźć w pobliżu siedzib ludzkich, na dawnych ogródkach działkowych oraz w lesie, gdzie jest sadzony przez myśliwych jako pokarm dla dzików. Jadalne bulwy korzeniowe zbiera się od jesieni do wiosny. Topinambur jest zalecany cukrzykom, bo ma sporo inuliny, czyli substancji, która w organizmie przekształca się we fruktozę dobrze tolerowaną przez diabetyków. AD ■

Z ŻOŁNIERSKIEGO KOTŁA



PIOTR
BERNABIUK

Wyzerka aż miło

A co to pan sierżant z panem kapralem tak deliberują?”.
„Mamy kłopot z szeregowym Opychem”.

„Co ten znowu wywinął?”.

„Trudno się do tego odnieść jednoznacznie. Zastanawiamy się, czy go ukarać za to, że wybierając się na dwudobowe zajęcia, niemalże połowę sprzętu, w tym znaczną część amunicji, pozostawił w koszarach”.

„Mam już dość tego żołnierza. Trzeba go ukarać!”.

„Nie jest to proste”...

„Jeśli żołnierz na każdym kroku ułatwia sobie życie, to powinien znaleźć sobie lepszą pracę”.

„Szeregowy Opych niósł taki sam ciężar jak pozostali”.

„Kamieni sobie nakładł do zasobnika?”.

„Żarcia”.

„Żarcia?”.

„Tak. Jakąś suchą kiełbasę, wór mieszanki energetycznej własnej kompozycji, czekoladę... Od cholery tego miał”.

„Ale mieliśmy się żywić w warunkach naturalnych”.

„Niestety, skarbnica przyrody zawiodła. Próbowaliśmy drugiej doby żuć jakieś żołędzie i bukwę... I wtedy pan szeregowy otworzył swój skarbiec. Wyzerka aż miło. Podzielił się ze wszystkimi. Najpierw zjedliśmy, bo już wszystkich na maksa ssało. A potem zebrał joby”.

„I co on na to?”.

„Logiczne, że na wojnę to by wziął sprzęt do walki. Ale w warunkach pokojowych nie ma zamiaru z głodu zdechnąć, bo jak zajdzie potrzeba, to nie będzie miał kto ojczyznę bronić. Powiedziałem, żeby nie ściemniał, bo idąc za jego logiką, to powinniśmy iść do knajpy na dwie doby.

I co porucznik na to?”.

„Trzeba mu sypnąć działkę za lekceważenie obowiązków służbowych. Potem anulować za wzorową postawę i troskę o odtworzenie zdolności bojowej zespołu”.

„A może odpuścić, bo jak przyjdą kolejne takie zajęcia”... ■



ŁATWE

Herbatka z jodły



{ Garść igieł jodły, cukier lub miód do smaku.

Świeży zebrane igły jodły lub końcówki młodych gałązek myjemy, wrzucamy do wrzątku i gotujemy dwie-trzy minuty, ale nie dłużej, bo napor nabierze gorzkiego smaku. Można też igliwie drobno pociąć nożem, wtedy herbatka szybciej naciągnie. Przecedzamy. Gotowy wywar rozgrzewa i ma żywiczny posmak. Można go ośłodzić cukrem lub miodem.

Jodła rośnie w środkowej i południowej Europie, w Polsce znajdziemy ją przede wszystkim w Beskidach. Łatwo ją rozpoznać dzięki białym paskom na spodniej stronie igieł oraz walcowatym szyszkom. Igły można jeść na surowo, robić z nich witaminowe napoje lub stosować jako przyprawę, np. do pieczonych mięs. Są dobrym źródłem witaminy C, a olejek jodłowy ma działanie wykrztuśne i jest stosowany w zapaleniach gardła, oskrzeli lub anginach. Inhalacje jodłowe działają antywirusowo, antybakteryjnie i przeciwpalnie. ■





| PRZEGLĄD |

PAWEŁ HENSKI

MISTER RAPTORSKIJ

Już na etapie projektów są kłopoty z rosyjskim myśliwcem piątej generacji. Jednak dopiero wprowadzenie go do służby będzie wyzwaniem.

SUCHOI

D

zięki pomocy finansowej Indii Rosja rozpoczęła ambitny program wprowadzenia do służby myśliwca wielozadaniowego piątej generacji. Jest to próba zmniejszenia dystansu, jaki dzieli ten kraj od Stanów Zjednoczonych w dziedzinie zaawansowanych technologii lotniczych, oraz dotrzymania kroku Chinom, które opracowały już dwa różne prototypy samolotów trudno wykrywalnych dla radarów.

Pomysł opracowania rosyjsko-indyjskiego samolotu myśliwskiego pojawił się już w 2001 roku. Sześć lat później oba kraje podpisały kontrakt zakładający wspólne opracowanie maszyny piątej generacji dla Indii w ramach programu budowy przyszłego myśliwca wielozadaniowego (prospective multi-role fighter – PMF) – w tym kraju jest on nazywany również „samolotem myśliwskim piątej generacji” (fifth generation fighter aircraft – FGFA).

Rosyjskie Zakłady Lotnicze im. Suchoja w Komsomolsku rozpoczęły prace nad prototypem T-50 PAK FA, czyli „przyszłego powietrznego kompleksu lotnictwa taktycznego”. Na jego bazie ma powstać rosyjska wersja myśliwca, a jednocześnie jest to demonstrator technologii dla programu FGFA.

Pierwszy prototyp T-50 został oblatany 29 stycznia 2010 roku. 11 miesięcy później Indie i Rosja podpisały kontrakt na wykonanie tzw. projektu bazowego indyjskiego myśliwca, oznaczonego roboczo jako Typ 79L. Ma on być budowany wspólnie przez Zakłady Suchoja i Hindustan Aeronautics Ltd. (HAL). Oba kraje przeznaczyły na ten cel po 295 mln dolarów. Projekt bazowy został zaakceptowany w czerwcu 2013 roku. Następny etap, czyli opracowanie docelowego prototypu, ma kosztować każdego z uczestników programu po 6 mld dolarów.

RYSY NA PROJEKCIE

Komsomolskie zakłady zbudowały pięć egzemplarzy prototypu T-50 i w czasie testów we wszystkich pojawiły się pęknięcia w strukturze płatowca. W sierpniu 2011 roku, podczas poka-

zów MAKS 2011, w T-50-2 podczas startu doszło do uszkodzenia sprężarki w prawym silniku. Z dyszy wylotowej zaczął się wydobywać kilkumetrowy słup ognia i pilot musiał awaryjnie przerwać start. Do września 2012 roku również T-50-1 był intensywnie naprawiany z powodu nadwyżnienia konstrukcji po udziale w tych pokazach. 10 czerwca 2014 roku zaś, gdy T-50-5 wylądował na lotnisku Żukowski, nad kanałem dolotowym powietrza prawego silnika pojawił się ogień. Samolot został poważnie uszkodzony w wyniku pożaru, a naprawa zajęła ponad rok. Z kolei 10 kwietnia 2015 roku, podczas lotu na pułapie 4500 m w jednym z prototypów pękła przednia część owiewki kabiny, na szczęście obyło się bez poważniejszych konsekwencji.

Plan zakładał budowę w pierwszej transzy sześciu prototypów, ale T-50-6 nigdy nie został ukończony. Prawdopodobnie dlatego, że jego części użyto do naprawy prototypu T-50-5. Druga transza ma zatem objąć egzemplarze od T-50-7 do T-50-12. Otrzymają one płatowiec o wzmocnionej strukturze, zostaną także wprowadzone poprawki wynikające z analizy problemów z pięcioma prototypami. Egzemplarze drugiej transzy prawdopodobnie będą miały przeprojektowany ogon oraz zewnętrzne części skrzydeł.

KRYTYKA ZE STRONY INDII

Początkowo współpraca między Rosją a Indiami przebiegała bezproblemowo. Hindusi deklarowali, że ich biuro projektowe oraz zakłady lotnicze będą brały udział we wszystkich etapach programu: od opracowania koncepcji, przez fazę projektową i testową, po rozpoczęcie produkcji seryjnej. Dla Indii program FGFA ma być bodźcem przyspieszającym rozwój rodzimego przemysłu lotniczego. Współpraca z Rosją umożliwi im też dostęp do nowoczesnych technologii.

Od stycznia do października 2012 roku hinduska grupa projektantów pracowała wspólnie z inżynierami z Zakładów Suchoja nad projektem bazowym myśliwca Typ 79L. Sytuacja zmieniła się jednak pod koniec grudnia 2013 roku. Przedstawiciele indyjskiego ministerstwa obrony oraz sił powietrznych skrytykowali dotychczasowe postępy programu, wskazując na



SUCHOJ

ROSJA NIE MA PRAKTYCZNIE ŻADNEGO DOŚWIADCZENIA W EKSPLOATACJI MYŚLIWCÓW PIĄTEJ GENERACJI

niedociągnięcia techniczne projektu. 15 stycznia 2014 roku zastępca szefa sztabu indyjskich sił powietrznych wymienił następujące problemy: silniki AL-41F (w które jest wyposażony T-50) są zawodne, użyty radar pokładowy (N036) ma niewystarczające parametry, konstrukcja myśliwca jest zbyt słaba, a standard wykonania zbyt niski, co skutkuje osłabieniem właściwości stealth, 6 mld dolarów zaś to zbyt duża kwota w stosunku do tego, co Indie mają otrzymać finalnie. Obawiają się również, że gdy myśliwiec wejdzie do służby, jego cena będzie niewspółmiernie wyższa względem pierwotnych ustaleń.

Wyrazem rosnącego dystansu do programu FGFA może być fakt zmniejszenia przez Indie deklarowanej liczby maszyn, które chcą kupić. W październiku 2012 roku ogłoszono, że na pewno nie zdecydują się na 214 egzemplarzy, jak deklarowano pierwotnie. Prawdopodobnie ta liczba zostanie ograniczona do 150.

Program FGFA był przedmiotem rozmów premiera Indii Narendra Modi z prezydentem Władimirem Putinem pod-

czas szczytu państw BRICS w Brazylii w lipcu 2014 roku. Obaj przywódcy zgodzili się, że program powinien ponownie ruszyć. We wrześniu 2014 roku indyjskie ministerstwo obrony potwierdziło, że wszystkie sporne kwestie zostały rozwiązane. Chodziło szczególnie o rozdział pracy między oba państwa. Indie chciały zwiększenia swojego udziału w pracach nad myśliwcem z 18% do 25%, a docelowo – do 40%. Poziom ten ma zostać osiągnięty stopniowo – w miarę rozwoju indyjskiej bazy technologicznej niezbędnej do rozpoczęcia produkcji zaawansowanych komponentów.

Ostatecznie Nowe Delhi zgodziło się na zakup 154 sztuk FGFA za łączną kwotę 35 mld dolarów. Jeśli umowa zostanie podpisana, będzie to najdroższy zakup uzbrojenia w historii Indii. Zgodnie ze wstępnymi ustaleniami myśliwce mają być produkowane w tym kraju – składane z gotowych komponentów dostarczanych przez Rosję.

Według pierwotnych założeń pierwsze FGFA miały trafić do Indii w 2018 roku. Obecnie szacuje się, że może to być dopiero rok 2025. Z tego względu ogłoszono przetarg →



PRZEDSTAWICIELE INDYJSKIEGO MINISTERSTWA OBRONY ORAZ SIŁ POWIETRZNYCH SKRYTYKOWALI DOTYCHCZASOWE POSTĘPY PROGRAMU, WSKAZUJĄC NA NIEDOCIĄGIENIA TECHNICZNE, M.IN. NA ZAWODNOŚĆ SILNIKÓW AL-41F, W KTÓRE JEST WYPOSAŻONY T-50

na zakup średnich samolotów wielozadaniowych (medium multi-role combat aircraft – MMRCA), które mają zastąpić starzejące się maszyny MiG-29 oraz Mirage 2000. Ostatecznie jednak nie doszedł on do skutku i zdecydowano się na bezpośredni zakup 36 francuskich myśliwców Dassault Rafale.

MNIEJ I PÓŹNIEJ

W indyjskiej wersji myśliwca ma zostać wprowadzonych około 40 zmian względem wersji rosyjskiej. Oba samoloty będą też miały inny kształt płatowca. Jak na razie w prototypie T-50-3 i kolejnych zamontowano radar pokładowy N036 tylko z przednią anteną elektronicznego skanowania fazowego (AESA). Docelowo zaś myśliwiec ma być wyposażony w pięć anten radarowych – w tym dwie boczne i dwie na krawędziach natarcia skrzydeł. Indyjski FGFA będzie miał wspólnie opracowywaną rozwojową wersję radaru N036 oznaczoną jako N079, również z pięcioma antenami. Prace nad nim przeciągają się jednak, a Hindusi wielokrotnie podawali w wątpliwość jakość jego opracowania.

T-50 jest obecnie wyposażony w silniki AL-41F1 z dwuosiowym, niezależnym wektorowaniem ciągu. Jest to zmodyfikowana wersja silników AL-31F montowanych w myśliwcach Su-27 i Su-30. Nie są one docelowe zarówno dla rosyjskiej, jak i indyjskiej wersji myśliwca. Te obecne bowiem, podobnie jak krótkie i proste wewnętrzne kanały dółowe powietrza do silników, generują duże odbicie radarowe, co zakłóca właściwości stealth. Rosja wciąż pracuje nad docelowym silnikiem dla myśliwców, oznaczonym roboczo jako Izdielije 30. Jak na razie nie wiadomo, czy będzie miał płaskie dysze wylotowe, podobnie jak napęd w amerykańskim myśliwcu piątej generacji F-22A Raptor. Te problemy przekładają się na opóźnienie całego programu i prawdopodobnie były przyczyną niezadowolenia Indii. Pierwsza, testowa wersja Izdielije 30 ma zostać ukończona w 2016 roku. Testy w locie są planowane dopiero w 2017 roku.

Rosja pierwotnie zdecydowała się na dziesięć egzemplarzy testowych i 60 seryjnych nowego myśliwca. Już w grudniu 2014 roku siły powietrzne Federacji zadeklarowały jednak kupno 55 egzemplarzy do 2020 roku. W marcu 2015 roku ministerstwo obrony ogłosiło zaś spowolnienie tempa produkcji myśliwca i w tym terminie do jednostek liniowych ma zostać dostarczonych jedynie 12 myśliwców, czyli tyle, ile potrzeba, aby wyposażyć jeden dywizjon. Dla porównania: pierwotny plan zakładał dostarczenie do 2020 roku 52 samolotów – po osiem w latach 2016–2018 i po 14 w latach 2019–2020.

Jak na razie, aby podtrzymać program PAK FA, Rosja chce do końca 2016 roku wyprodukować chociaż jeden egzemplarz seryjny myśliwca piątej generacji.

DŁUGA DROGA

Ujawnienie i oblot prototypu T-50 PAK FA wywołało na Zachodzie sporą sensację. Od razu zaczęły się porównania z amerykańskimi myśliwcami piątej generacji. W odniesieniu do F-22A Raptor, rosyjski myśliwiec nazwano nawet żartobliwie „Raptorskij”. Rozpoczęły się spekulacje na temat wielkości przekroju radarowego T-50, jego właściwości stealth i potencjalnych możliwości bojowych. Zastanawiano się również, w jakim stopniu jest to kopia F-22.

Na razie są to jedynie spekulacje, bo mamy do czynienia z wykazującym jeszcze wiele wad prototypem, na bazie którego ma dopiero powstać konstrukcja docelowa. Co więcej, T-50 – począwszy od silników, przez radar, po wiele elementów awioniki – nie jest jeszcze wyposażony w finalne komponenty. Systemy awioniki muszą też zostać zintegrowane w ramach jednego sprawnie funkcjonującego systemu operacyjnego.

Stany Zjednoczone mają ogromne doświadczenie, jeśli chodzi o samoloty typu stealth, wynikające z wieloletniej eksploatacji myśliwca F-117 – pierwszego w historii wprowadzonego do służby samolotu o takich właściwościach, myśliwca piątej generacji F-22 oraz niewidzialnych dla radarów bombowców B-2. F-22 oraz B-2 swoją niską wykrywalność radarową zawdzięczają nie tylko specyficznemu kształtowi, lecz także specjalnej powłoce, pochłaniającej fale radarowe. Dbanie o jej integralność sprawia, że eksploatacja samolotów typu stealth jest żmudna i bardzo kosztowna. Gdy F-22 wszedł do służby, miał za sobą setki godzin testów awioniki, systemów pokładowych oraz uzbrojenia. A i tak okazało się, że wymaga kolejnych modyfikacji i modernizacji. Dopiero wówczas stał się prawdziwie wielozadaniową platformą zdolną do działania w środowisku sieciocentrycznym.

Zbudowanie wersji finalnej PAK FA to zaledwie połowa drogi. Rosja nie ma praktycznie żadnego doświadczenia w eksploatacji myśliwców piątej generacji, nie mówiąc o materiałach pochłaniających fale radarowe. Integracja i testy operacyjne nowych systemów awioniki oraz uzbrojenia pokładowego potrwać kolejne lata i pochłoną dodatkowe koszty. Nie wiadomo też, w jakim stopniu niezawodne okażą się silniki. Wprowadzenie do służby nowego myśliwca będzie więc dużym wyzwaniem, przed którym stoją rosyjski przemysł oraz siły powietrzne. ■



PERU

Kuszenie spartanami

Włoska spółka Finmeccanica rozmawia z władzami Peru o nowym kontrakcie na średnie samoloty transportowe Spartan. W październiku jej dyrektor generalny Mauro Moretti powiedział dziennikarzom, że oprócz dwóch już zamówionych **C-27J** trwają negocjacje w sprawie sześciu – ośmiu samolotów. Włoska firma obiecuje Peruwianczykom, że jeśli transakcja zostanie zawarta, to utworzy w ich kraju centrum serwisowe. Podobną obietnicę złożył premier Włoch Matteo Renzi podczas wizyty w Limie, stolicy Peru. Kontrakt o wartości 100 mln euro na pierwsze dwa samoloty C-27J Spartan dla Peru był podpisany 18 grudnia 2013 roku. Maszyny te Peruwianczycy otrzymali w marcu i czerwcu tego roku. Nowe transportowce trafiły do 8 Grupy Lotniczej, stacjonującej w bazie Lima-Callao. Wcześniej, 31 grudnia 2014 roku, zawarto drugi kontrakt na jeszcze dwa C-27J, które mają być dostarczone w latach 2016–2017. Peruwianczycy postanowili zastąpić spartanami transportowce An-32B. T W

INDIE

„Kalvari” na morzu

W końcu października rozpoczął próby morskie pierwszy zbudowany w Indiach okręt podwodny o napędzie dieslowsko-elektrycznym typu Scorpène.

Jak podał serwis Indian Express, testy jednostki mają potrwać dziesięć miesięcy. INS „Kalvari” ma być przekazany indyjskiej marynarce wojennej we wrześniu 2016 roku. Kontrakt o wartości 3,6 mld dolarów na budowę sześciu okrętów ministerstwo obrony podpisało z francuską firmą DCNS w październiku 2005 roku. Pozostałe pięć jednostek indyjska marynarka wojenna ma otrzymać do 2020 roku. Obecnie ma ona 14 okrętów podwodnych, podczas gdy potrzeby operacyjne są szacowane na 24–30 jednostek. WR



KOREA POŁUDNIOWA

Zablokowany orzeł

W dzienniku „The Korea Times” 25 października poinformowano, że Stany Zjednoczone zablokowały sprzedaż południowokoreańskich szkolnych odrzutowców T-50 Golden Eagle (złoty orzeł) do Uzbekistanu.

Seul negocjował kontrakt na 12 samolotów za 400 mln dolarów. Według południowokoreańskiej gazety Amerykanie umotywowali swój sprzeciw obawami przed wyciekami technologii, bowiem Uzbekistan ma bliskie powiązania z Rosją.

Firma Korea Aerospace Industries opracowała T-50 w bliskiej współpracy z koncernem Lockheed Martin, od

którego uzyskała kluczowe technologie, w tym dotyczące awioniki i silnika. USA wskazały też, że transakcja może spowodować napięcia w stosunkach Uzbekistanu z sąsiadami. Sprzedawcy nie sprzyjały również fakt, że ta posowiecka republika należy do Szanghajskiej Organizacji Współpracy, która uchodzi za antyamerykański blok w Azji Środkowej. W T

USA

Piekielny ogień

Defense Security Cooperation Agency
3 listopada 2015 roku poinformowała Kongres
USA o możliwości sprzedaży kierowanych
pocisków **AGM-114K1A Hellfire**

Hellfire jest wyposażony
w cyfrowego autopilota.
Jego zasięg to 9000 m,
a masa 45 kg.

W grę wchodzi transakcja na 200 sztuk wraz z dodatkowym wyposażeniem za 30 mln dolarów. W hellfire'y są uzbrojone śmigłowce szturmowe H665 Tigre HAD (wsparcia i uderzeniowy) lotnictwa francuskich wojsk lądowych. Według obecnych planów docelowo ma być 67 maszyn, bo do wersji HAD są dostarczane wcześniej dostarczone Tigre HAP (wsparcia i eskortowy). W ■

TAJWAN

Nowe śmigłowce

Władze tajwańskie zamierzają zamówić nowe śmigłowce zwalczania okrętów podwodnych. „Planujemy zakup dziesięciu śmigłowców MH-60R Seahawk”, potwierdził szef sztabu ma-

TURCJA

Dar znad Bosforu

W Ankarze podpisano 28 października umowę o bezpłatnym przekazaniu przez Turcję Pakistanowi samolotów szkolnych.



Transakcja dotyczy 34 używanych odrzutowców Cessna T-37C wraz z zapasem części zamiennych. Samolot ten może być też wykorzystywany jako lekki szturmowiec.

Cessna T-37 Tweet pierwszy raz wzbiła się w powietrze w 1954 roku. W latach 1955–1975 wyprodukowano

ich 1269 tych maszyn. Pierwsi studenci zaczęli się szkolić na T-37A w 1957 roku, a dwa lat później pojawiła się wersja T-37B. Wersja T-37C ma dwa węzły do podwieszania uzbrojenia. Z 269 wyprodukowanych maszyn 65 trafiło do Turcji. T-37C zakończyły służbę w jej siłach powietrznych około 2009 roku. W ■



KUWEJT

Wiecej caracali

Jedno z trzech porozumień o dostawach uzbrojenia podpisanych 21 października w Paryżu między rządami Kuwejtu i Francji dotyczy 24 śmigłowców wielozadaniowych H2225M Caracal. W umowie została zawarta opcja zwiększenia zamówienia do 30 sztuk. Airbus Helicopters określił wartość tego kontraktu na miliard euro. Pierwsze informacje, że Kuwejt zamierza zakupić caracale pojawiły się w czerwcu tego roku, po wizycie w tym kraju francuskiego ministra obrony Jeana-Yves'a Le Driana. TR ■



U S N A V Y

rynarki wojennej wiceadm. Hsiao Wei-ming. Amerykańskie maszyny, którymi jest zainteresowany Tajwan, mogą wykonywać wiele różnych misji: zwalczać okręty podwodne lub nawodne, przepro-

wadzać rozpoznanie i akcje poszukiwawczo-ratownicze lub udzielać wsparcia ogniowego. Marynarka wojenna Tajwanu ma już śmigłowce ZOP – S-70C (M). W dwóch transzach zakupiono 21 ta-

kich maszyn, z których pierwszą przekazano Tajwanowi 19 lipca 1990 roku. W S-70C (M) uzbrojono 701 i 702 Dywizjon Śmigłowców (lekkich). Dwie z maszyn utracono podczas służby. w ■



W E N E Z U E L A

Kontrakty z Rosją

Pomimo problemów gospodarczych władze Wenezueli nie rezygnują z zakupów uzbrojenia w Rosji. Minister obrony Vladimir Padrino López zapowiedział, że 480 mln dolarów zostanie przeznaczonych na kupno tuzina myśliwców **Su-30MK2**. Ten południowoamerykański kraj ma już większość z 24 sztuk Su-30MK2, które nabyto w 2006 roku. W samoloty te są wyposażone 11 i 13 Grupa Lotnictwa Myśliwskiego.

Wenezuela jest największym importem rosyjskiego uzbrojenia w Ameryce Południowej. Wartość podpisanych do połowy 2013 roku kontraktów sięgnęła 11 mld dolarów. w w ■

U S A

Trzecia seria

Amerykanie zamówili w BAE Systems Land & Armaments LP kolejne samobieżne armatohaubice kalibru 155 mm M109A7 Paladin. Zlecenie dotyczy 30 dział i tylu samo wozów amunicyjnych M992A3. Jego wartość wynosi ponad 245 mln dolarów.

Kontrakt na małoseryjną produkcję 19 armatohaubic i 18 wozów amunicyjnych oraz dotykowego wyposażenia podpisano w październiku 2013 roku.

Zawarto w nim dwie opcje rozszerzenia zamówienia do 67 sztuk M109A7 i 66 – M992A3, które miały kosztować 688 mln dolarów. Zlecenie na drugą partię 18 zestawów producent dostał w październiku 2014 roku.

Docelowo US Army zamierza zakupić 580 samobieżnych armatohaubic M109A7. Co ciekawe, pierwsza wersja M109 została wyprodukowana w 1963 roku. w R ■



B A E S Y S T E M S

TADEUSZ WRÓBEL

Rywale herculesa

Na świecie powstaje coraz więcej konstrukcji średnich i ciężkich samolotów transportowych.

Lotnictwo transportowe na świecie zmienia się bardzo szybko. Wprowadzane w najbliższych latach do użycia maszyny mogą przewozić ładunki o coraz większej masie i na dłuższych niż dotąd trasach. Z pewnością impulsem do rozwoju były operacje militarne na odległych teatrach działań, jak choćby w Afganistanie. Ta misja pokazała, że transport lotniczy jest piętą achillesową europejskich członków NATO, którzy musieli ubiegać się o wsparcie Stanów Zjednoczonych lub czarterować samoloty od cywilnych przewoźników. Lotnictwo transportowe rozbudowują jednak nie tylko państwa Zachodu. Nowe konstrukcje powstają też w innych częściach świata. Oznacza to, że poważna konkurencja wyrasta amerykańskiemu samolotowi Loc-

kheed C-130 Hercules, który od dziesięcioleci dominował w transporcie taktycznym.

TRANSPORTOWA KONKURENCJA

Dotychczas tylko kilku producentów na świecie miało w swej ofercie wojskowe samoloty transportowe o napędzie odrzutowym. Zwykle były to maszyny szczebla strategicznego, jak C-17 Globemaster III. Na rynku dominowały konstrukcje z silnikami turbośmigłowymi, z których od kilkudziesięciu lat najbardziej znany jest samolot C-130. W najbliższych latach do służby zaczną wchodzić nowe, średnie transportowce odrzutowe.

Jednym z potencjalnych konkurentów dla amerykańskiego herculesa jest brazylijski



Maszyna transportowa
szczebla strategicznego
– C-17 Globemaster III



embraer KC-390. Latynoska firma, jeden z największych producentów samolotów pasażerskich, zaczynała od śmigłowych maszyn pasażersko-transportowych, takich jak EMB 110 Bandeirante, których odbiorcą były m.in. miejscowe siły powietrzne. Z czasem, po umocnieniu swej pozycji na rynku odrzutowców cywilnych, Embraer podjął prace nad maszyną sensu stricte wojskową, transportowcem, który będzie mógł też przeprowadzać tankowanie w powietrzu innych samolotów. 14 kwietnia 2009 roku firma podpisała z brazylijskimi siłami powietrznymi kontrakt o wartości 1,3 mld dolarów na prace badawczo-rozwojowe i wyprodukowanie dwóch prototypów. W lipcu następnego roku lotnictwo brazylijskie zapowiedziało z kolei, że zamówi 28 transportowców KC-390.

Brazylijczycy postanowili, że ich samolot będzie maszyną odrzutową, mogącą przewozić ładunki o masie do 26 t. Jako napęd wybrano silnik turbowentylatorowy V2500-E5 o ciągu 139,4 kN, opracowany przez spółkę joint venture IAE International Aero Engines AG. Maksymalna prędkość brazylijskiego samolotu ma wynosić $Ma=0,8$, czyli 850 km/h. Zasięg lotu z ładunkiem 23 t wyniesie 2555,8 km, a przy 13 t zwiększy się do 5148,6 km. C-130J, konkurent KC-390, zabiera tylko do 19 t ładunku. Cztery silniki turbośmigłowe zapewniają mu prędkość $Ma=0,59$, czyli 671 km/h. Ponadto z ładunkiem 15,88 t zasięg herculesa wynosi 2963 km.

Prace nad średniej wielkości samolotem transportowym o napędzie odrzutowym są prowadzone również w Chinach. Tamtejszy Shaanxi Y-9 jest czterosilnikową maszyną z napędem turbośmigłowym, o prędkości przelotowej w granicach 650 km/h. Tyle że w lot-

nictwie transportowym nie zawsze jest ona najważniejsza. Istotne są koszty eksploatacyjne. Dlatego Brazylijczycy zwracają uwagę na to, że ich KC-390 będzie tańszy w użytkowaniu niż C-130. Atutami chińskiej konstrukcji na wielu rynkach mogą być natomiast cena i brak ograniczeń natury politycznej.

WAŻNE SZCZEGÓŁY

Producenci samolotów transportowych w materiałach promocyjnych zwracają uwagę na maksymalne masy przewożonych ładunków. Diabeł tkwi jednak w szczegółach. Aby nadmiernie nie eksploatować konstrukcji płatowca, ładunki realnie przewożone, oprócz sytuacji kryzysowych, są o kilkadziesiąt procent mniejsze niż podawane wartości maksymalne. Inną ważną kwestią są rozmiary i kształt kabiny transportowej. Otóż bardzo wyraźne są różnice między zmilitaryzowaną konstrukcją cywilną a tą, która od początku jest projektowana z przeznaczeniem do celów wojskowych. Dobrym przykładem są smukła EADS CASA C-295M, w której trudno zmieścić nawet terenówkę, i Alenia C-27J Spartan, mająca beczkowaty, typowy dla transportowców kształt.

Embraer, aby przyspieszyć prace badawczo-rozwojowe i obniżyć ich koszty, początkowo zamierzał stworzyć transportowiec, korzystając szeroko z komponentów cywilnego odrzutowca E-190. Wymagania wojskowe (możliwości jak C-130) spowodowały jednak, że KC-390 jest zupełnie nową konstrukcją. Jego kabina transportowa ma 12,70 m długości (bez tylnej rampy), 2,95–3,20 m wysokości oraz 3,45 m szerokości. W C-130J zaś jej wymiary to odpowiednio 12,31 m, 3,12 m i 2,74 m. Większą ma natomiast Y-9, bo jej długość wynosi aż 16,20 m, szerokość 3,20 m, ale wysokość tylko 2,30 m. ➔





KC-390
jest zupełnie
nową konstrukcją.

NA ŚWIECIE ROŚNIE ZAINTERESOWANIE DUŻYMI TRANSPORTOWCAMI WOJSKOWYMI

Dzięki takim rozmiarom we wnętrzu KC-390 zmieści się śmigłowiec Black Hawk lub kołowy transporter opancerzony Guarani, wyrzutnia raketowa Astros II lub siedem palet typu 463L. Brazylijska maszyna będzie mogła zabrać na pokład alternatywnie 80 żołnierzy, 66 spadochroniarzy lub 74 rannych na noszach wraz z dwiema osobami personelu medycznego. Możliwości herculesa są podobne. W jego kabinie jest miejsce na wóz bojowy Stryker lub Black Hawk czy sześć palet lub 92 żołnierzy, 64 spadochroniarzy, 74 rannych na noszach.

Chiński samolot Y-9 może z kolei przewozić ładunki o masie do 20 t. Według upublicznionych grafik, w kabinie transportowej mieści się dziewięć standardowych palet, 96 pasażerów, lekki czołg, dwa śmigłowce szturmowe, a nawet pocisk balistyczny krótkiego zasięgu.

DUŻY MOŻE WIĘCEJ

Potwierdzeniem tendencji, że nowo wprowadzane do służby transportowce lub będące w trakcie prac są większe od tych, które mają zastąpić, jest opracowany w Europie Zachodniej Airbus A400M Atlas. Samolot ten został pomyślany jako następca amerykańskich herculesów i francusko-niemieckich transall C-160 (zabierają do 16 t ładunku) w siłach powietrznych takich państw, jak Niemcy, Belgia, Francja, Wielka Brytania i Hiszpania. Czterosilnikowa maszyna o napędzie turbośmigłowym może przewozić ładunki o masie do 37 t.

Konstrukcja Airbusa jest przykładem na połączenie w jednym samolocie możliwości transportu taktycznego i strategicznego. Otóż z 30-tonowym ładunkiem jego zasięg wynosi 4500 km, a z 20-tonowym wzrasta do 6400 km. Jednocześnie maszyna z mniejszymi ładunkami (ogólna masa 100 t) może operować z lotnisk polowych. Aby wystartować, potrzebuje 980 m, a do lądowania – 770 m.

Podobne możliwości ma opracowany przez Ukrainę we współpracy z Rosją Antonow An-70. Samolot ten powstał jako następca An-12. Czterosilnikowa maszyna z przeciwbieżnymi śmigłami może zabrać na pokład ładunki o masie do 47 t (w wypadku An-12 jest to 20 t) i dostarczyć je do miejsc odległych o 3000 km. Gdy przewozi 35 t, zasięg wzrasta do 5100 km. Walorem An-70 jest obszerna kabina transportowa, mająca bez rampy 19,1 m długości, szerokość 4 m i 4,10 m wysokości. Samolot ten może przewozić różnego typu pojazdy i do 300 żołnierzy. Na lotniskach polowych, gdy operuje z ładunkiem do 20 t, potrzebuje tylko 800 m do startu i 200 m mniej, by wylądować.

W Japonii na potrzeby tamtejszych sił samoobrony powstaje średni kawasami C-2. Wziąwszy jednak pod uwagę zachodzące w tym kraju zmiany w podejściu do eksportu uzbrojenia i sprzętu, będzie też pewnie oferowany klientom zagranicznym. Japońska maszyna jest następcą odrzutowego kawasami C-1, ale ma od niego znacznie większe możliwości, m.in. jeśli chodzi o masę przewożonego ładunku. C-2 może zabrać do 37,6 t, a C-1 tylko 11,9 t. Z ładunkiem 12 t nowy japoński transportowiec będzie miał zasięg 6500 km, czyli dystans pięć razy dłuższy niż poprzednik. Jest też szybszy. Kabina transportowa C-2 ma 16 m długości oraz 4 m wysokości i tyle samo szerokości. Dlatego w samolocie zmieści się np. żuraw samochodowy. Za pomocą C-2 będzie można też przerzucać kołowe wozy wsparcia ogniowego, śmigłowce wielozadaniowe UH-60J albo wyrzutnie rakiet. W kabinie zmieści się także osiem palet 463L. Zamiast sprzętu, C-2 może przewieźć około 120 żołnierzy, czyli dwa razy więcej niż C-1.

Nie sposób nie zauważyć, że na świecie spada zainteresowanie małymi transportowcami wojskowymi. Najmniejsze spośród tych, które znajdują dziś nabywców, są C-295M i C-27J. Pierwszy może przewozić ładunki o masie ponad 9 t, a drugi 11,5 t. Dlatego opracowywany na Ukrainie samolot krótkiego zasięgu An-178 będzie zabierał ładunki o masie podobnej jak hercules.

PROBLEMY Z TERMINAMI

Rynkowa pozycja C-130J, pomimo powstawania nowych konstrukcji, pozostaje bardzo mocna, bo wiele państw ma długoletnie doświadczenia w eksploatacji maszyn tej rodziny, co ułatwia wprowadzenie ich do użytku. Co więcej, w wypadku licznych współczesnych programów lotniczych istnieją ogromne trudności z dotrzymaniem pierwotnych harmonogramów, czego przykładem jest A400M. W tym roku już poinformowano o opóźnieniach, mogących sięgnąć dwóch lat, w pracach nad KC-390. Kłopoty techniczne podczas testów ciśnieniowych kabiny pojawiły się też w samolocie Kawasami C-2. Problemy An-70 wynikają z kolei ze względów politycznych. Z zakupu 60 sztuk tych maszyn wycofała się bowiem Rosja, która zamierza zamawiać produkowane w kraju Il-476. W tej sytuacji Ukraina stara się zachęcić do współpracy przy tym projekcie państwa Zachodu. Jak to przyniesie efekty, pokaże przyszłość. Producent ukraiński liczy też, że klientów przyciągną nie tylko wyjątkowe możliwości taktyczno-techniczne, lecz także o wiele niższa cena niż podobnych maszyn zachodnich. ■



nr 24.

Szeregowy, 21 Brygada Strzelców
Podhalańskich (2007 rok)

- ubiór służbowy
rys. Monika Rokicka



Nr 24.

Ubiór służbowy

**SZEREGOWY, 21 BRYGADA STRZELCÓW
PODHALAŃSKICH (2007 ROK)**

Przedstawiamy strzelca w stroju służbowym, którego podstawowym elementem jest mundur wojsk lądowych ze spodniami khaki do butów Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego. W tym samym kolorze są krawaty oraz charakterystyczne dla umundurowania jednostek górskich kapelusze podhalański z orłem wojsk lądowych i paskiem zakładanym pod brodę w czasie wystąpień służbowych oraz peleryna. Pozostałe części ubioru służbowego to biała koszula, sznur galowy, a także czarne skórzane rękawiczki i trzewiki z opinaczami. Na kołnierzu kurtki mundurowej znajduje się oznaka korpusu osobowego, którą w jednostkach górskich jest szarotka. Żołnierz ma karabinek kalibru 7,62 mm AKM (wersja ze stałą kolbą) wraz z bagnetem.



nr 25.

*Bosman, Nadbrzeżny
Dywizjon Rakietowy
(2013 rok)*



21 Brygada Strzelców Podhalańskich

Powstała na mocy zarządzenia szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego z 26 maja 1993 roku. Jednostkę sformowano w garnizonie Rzeszów na bazie 5 Pułku Strzelców Podhalańskich „Ziemi Krakowskiej” i 9 Dywizji Zmechanizowanej. Decyzją z 12 maja 1994 roku minister obrony narodowej nakazał 21 Brygadzie Strzelców Podhalańskich przejąć dziedzictwo i kontynuować tra-

dycje wszystkich jednostek górskich WP. Brygada nosi imię gen. bryg. Mieczysława Boruty-Spiechowicza, który w okresie międzywojennym dowodził m.in. 22 Dywizją Piechoty Górskiej i 4 Pułkiem Strzelców Podhalańskich. Wszystkie jednostki 21 BSP, z wyjątkiem 22 Karpackiego Batalionu Piechoty Górskiej w Kłodzku, stacjonują na terenie województwa podkarpackiego. ■

OPRACOWAŁ TADEUSZ WRÓBEL



...O ROSJANACH
NAD SYRIĄ

Duży kaliber rażenia

- Wiesz, Rosjanie na Syrię polecili.
 - Wszyscy?
- No nie, ale kilku.
 - To co mi głowę zawracasz? Zresztą to żadna nowość, od końca września nad nią latają. Przecież oni od lat bazę w samej Syrii, na wybrzeżu, mieli. Kilka miesięcy temu pojawili się na lotnisku w Latakii, gdzie wysłali różne samoloty, w tym bombowce Su-24. Kiedy zaczęli latać, to szybko wkurzyli Turków, bo nie mieścili się w granicach.
- Ale teraz to naprawdę polecili i dali pokaz siły, jakby to był sam Wuj Sam. Bombowce strategiczne, rakiety skrzydlate, wielogodzinne misje operacyjne realizowane z terytorium rosyjskiego. Robi wrażenie.
 - Co robi wrażenie?
- No te wszystkie pociski Kalibr, Ch-101, bombowce Tu-160 oraz Tu-22 i tak dalej.
 - No co ty, przecież oni tak nie mogą. Mówili, że Rosja to tylko niedźwiedzie na ulicach, a wojsko – sam złom. Samoloty na sznurki. Rosjanie mają tylko rakiety Iskander i nic więcej. Chrońmy się przed iskanderami!
- Taa..., te straszne rakiety Iskander. Jeśli ktoś zapomniał, czym jest szeroki wachlarz środków rażenia, to właśnie ma pokaz, jak to działa.
 - Rosjanie są niepoprawni politycznie. Oni raketami skrzydlatymi strzelają w biały dzień. A Syryjczycy puszczaają to w internecie, jakby to był film akcji z Hollywood. Widziałeś kiedyś tomahawka lecącego na cel za dnia?
- My, to znaczy nasi sojusznicy, bywamy bardziej dyskretni. Uderzamy nocą.
 - Absolutnie bardziej dyskretni. Pewnych rzeczy publicznie lepiej nie pokazywać.
- Bo można wywołać publiczne zgorszenie?
 - Ogólne to może nie, ale u oficerów kontrwywiadu na pewno. Wiesz, pewne rzeczy stanowią zaskoczenie tylko raz.
- Ale nasi sojusznicy też latają nad Syrię.
 - „World is not perfect”. Wywiady wszystkich stron mają w Syrii i nad nią złote żniwa.



|ROSJA|

TOMASZ OTŁOWSKI

POKEROWE ZAGRANIE

Co Kreml chciał uzyskać dzięki swej
bliskowschodniej eskapadzie?



MACIEJ MOSKWA / TESTIGO

Bezpośrednie rosyjskie zaangażowanie militarne w konflikt syryjski po stronie tamtejszego rządu to wydarzenie, które w nagły i zaskakujący dla wielu obserwatorów sposób nie tylko zmieniło sytuację operacyjną w samej Syrii, lecz także poważnie przewartościowało stosunki między regionalnymi i globalnymi mocarstwami. I jak się wydaje, to właśnie ten szeroki, geopolityczny kontekst rosyjskiej zagrywki ma największe znaczenie dla pełnej oceny tego, co faktycznie chciał uzyskać Kreml dzięki swej bliskowschodniej eskapadzie.

O ile bowiem, w wymiarze operacyjnym, rosyjskie działania podjęte pod koniec września 2015 roku oznaczały ocalenie reżimu prezydenta Baszszara al-Asada przed bardzo prawdopodobnym upadkiem w najbliższych miesiącach, o tyle wątki regionalny i ponadregionalny (czy wręcz globalny) całej sprawy są już znacznie bardziej skomplikowane. W takim szerszym ujęciu wejście Rosjan do gry w i wokół Syrii to element dosłownie wywracający o 180 stopni całą geopolitykę regionu. Istnieją przy tym uzasadnione obawy, że nawet sami Rosjanie nie do końca są pewni, jakie efekty może przynieść ich bliskowschodnia „wielka gra”.

CZARNA DZIURA

Jeśli pominiemy kontekst wewnętrznsyryjski i wsparcie Moskwy dla władz w Damaszk, to będzie oczywiste, że interwencja rosyjska w Syrii ma na celu zwalczanie różnego rodzaju struktur radykalnego islamu, które w ciągu minionych kilku lat, korzystając z chaosu wojny syryjskiej, zyskały dogodne warunki do żywiołowego rozwoju i wzrostu aktywności. Rosyjska machina propagandowa – jak zwykle nadzwyczaj skuteczna w promowaniu oficjalnej wersji wydarzeń, zgodnej z wizją władarzy Kremla – określa te struktury zbiorowym mianem „terrorystów”. I choć obiektywnie trudno się z takim określeniem nie zgodzić, to z perspektywy Stanów Zjednoczonych i ich regionalnych sojuszników (państw rejonu Zatoki Perskiej i Turcji) część z tych struktur

odgrywa ważną rolę w dążeniu do obalenia reżimu Baszszara al-Asada.

Tu jednak zaczynają się problemy, bo o ile aksjomat odsunięcia od władzy obecnego rządu syryjskiego jest wspólny dla wielu różnych podmiotów (elementów) syryjskiej opozycji i ich regionalnych patronów (Arabii Saudyjskiej, Turcji, Kataru itd.), o tyle ustrojowy i polityczny kształt przyszłej Syrii to już istna „czarna dziura”. Amerykanie i ich europejscy sojusznicy (głównie Francja, Wielka Brytania, Niemcy) wciąż mają nadzieję na wolną (w zachodnim znaczeniu tego pojęcia) i demokratyczną Syrię. Arabowie widzą jednak tę część regionu raczej jako zarzewie „umiarkowanej” – cokolwiek miałyby to w praktyce oznaczać – rewolucji islamskiej, ustanawiającej w efekcie coś na kształt państwa islamskiego (zbieżność nazwy przypadkowa), rządzącego się prawami islamu i będącego przykładem dla innych części regionu. A także, co równie ważne, swoistą alternatywą dla kalifatu Państwa Islamskiego. Innymi słowy, nowa Syria ma być – według Saudów i ich sojuszników z Rady Współpracy Państw Zatoki Perskiej (Gulf Cooperation Council – GCC) – wyznaniowo sunnicka i ustrojowo islamska. Ani słowa tu o demokracji, liberalizmie, wolnościach obywatelskich i prawach człowieka. Swoje trzy grosze dorzuca także Turcja, która jednak, nieco inaczej niż arabskie kraje regionu, wołałaby na miejscu dyktatury Al-Asada bliższy swym doświadczeniom „świecki islam”.

RELIGIJNA BITWA

W rezultacie nie można się dziwić, że rosyjska narracja dotycząca sytuacji w Syrii – sprzeczająca do wspólnego mianownika wszystkie wspomniane ruchy i nurty islamskie lub wręcz islamistyczne oraz pospołu określająca je mianem „terrorystycznych” – zyskuje przychylność wielu obserwatorów oraz znacznej części opinii międzynarodowej. W istocie bowiem różnica między dżihadystycznym Frontem al-Nusra, a np. wspieranym przez Zachód syryjskim ugrupowaniem rebelianckim Brygada Sokołów Lewantu, które stało się celem rosyjskich nalotów już pierwszego dnia operacji prowadzonej przez wojska Federacji Rosyjskiej w Syrii, jest czysto symboliczna. Obie struktury odwołują się prze-



Aktywne wejście Moskwy do bliskowschodniej rozgrywki po stronie reżimu w Damaszku oznacza opowiedzenie się Rosjan jako sojuszników szyitów i Iranu. Na zdjęciu: prezydenci Baszszar al-Asad (pierwszy od lewej) i Władimir Putin podczas rozmów na Kremlu 21 października 2015 roku.

ISTNIEJĄ UZASADNIONE OBAWY, ŻE NAWET SAMI ROSJANIE NIE DO KOŃCA SĄ PEWNI, JAKIE EFEKTY MOŻE PRZYNIEŚĆ ICH BLISKOWSCHODNIA „WIELKA GRA”

cież do tej samej ideologii radykalnego sunnickiego islamu w jej salafickim, dżihadystycznym wydaniu. Ta pierwsza jest jednak otwarcie związana ze zbrodniczą Al-Kaidą, będącą od ponad 20 lat jawnym i zadeklarowanym wrogiem świata zachodniego. Druga zaś jest ugrupowaniem dającym zachodnim obserwatorom i decydentom ułudę „umiarkowanego” islamu – chyba jednak tylko ze względu na swój opozycyjny wobec reżimu Al-Asada charakter i ogólną „świeżość” organizacyjną.

Warto zauważyć w tym kontekście, że konflikt w Syrii już dawno przestał być zwykłą lokalną wojną domową w jednym z państw regionu, od zawsze niestabilnego i podatnego na różnego rodzaju napięcia. Stał się natomiast polem religijnej bitwy między dwoma głównymi wyznaniami w łonie islamu (sunnizmem i szyizmem), a w sensie geopolitycznym pomiędzy szyickim Iranem a sunnicką Arabią Saudyjską.

ROZGRYWKI PUTINA

Aktywne wejście Moskwy do bliskowschodniej rozgrywki po stronie reżimu w Damaszku i jego regionalnych sojuszników oznacza zatem otwarte i jednoznaczne opowiedzenie się Rosjan jako sojusznika szyitów i Iranu. Jest to o tyle ważne, że po stronie Saudów i sunnitów stoją zdecydowanie Stany Zjednoczone (i Zachód jako taki). Sprawia to

tym samym, że lokalny początkowo konflikt wewnętrzny w Syrii po czterech latach przekształcił się, angażując stopniowo coraz to nowych aktorów zewnętrznych, w geopolityczne starcie o wymiarze niemalże globalnym.

Jest oczywiste, że Rosjanie mieli świadomość, iż stawka ich operacji w Lewancie ma w istocie właśnie taki globalny wymiar. Dzisiaj – z perspektywy kilku miesięcy – nie ulega już wątpliwości, że prezydent Władimir Putin, decydując się na swoje iście pokerowe zagranie w Syrii, miał w istocie na celu znacznie szersze spektrum spraw i tematów do załatwienia, niż tylko utrzymanie u władzy rosyjskiego sojusznika w czymś, co pozostało po dawnej Syrii. Z perspektywy Moskwy gra, podjęta w Lewancie, toczy się bowiem o znacznie wyższą i ważniejszą stawkę, niż tylko czysto techniczne kwestie swobody dostępu do syryjskich wojskowych instalacji morskich w Tartus czy powietrznych w Latakii.

Kreml chce ewidentnie upiec na jednym ogniu kilka pieczeń. Wszystkie mają wzmocnić pozycję Rosji na arenie międzynarodowej, odwrócić niekorzystne tendencje w jej sytuacji gospodarczej (wywołane skumulowanym efektem sankcji zachodnich i spadku cen ropy na giełdach światowych), jak również pokazać, że bez rosyjskiej pomocy niemożliwe jest uregulowanie choćby takich przewlekłych kryzysów regionalnych, jak wojna w Syrii. Ale też oczywiście i wojna na wschodniej Ukrainie.





Rosyjskie samoloty startują z bazy Hmejmim, położonej w prowincji Latakia w północno-zachodniej Syrii.

LOKALNY KONFLIKT WEWNĘTRZNY W SYRII PO CZTERECH LATACH PRZEKSZTAŁCIŁ SIĘ W GEOPOLITYCZNE STARCIE O WYMIARZE NIEMALŻE GLOBALNYM

Jak wszystko na to wskazuje, to właśnie kwestia ukraińska jest dla Moskwy zasadniczym geopolitycznym tłem i powodem zaangażowania na Bliskim Wschodzie. Intencją władz rosyjskich jest bowiem wykreowanie sytuacji, w której Zachód będzie musiał uznać, że bez udziału Rosji niemożliwe będzie rozwiązanie nie tylko samego kryzysu syryjskiego, lecz także wygaszenie wielu innych punktów zapalnych w regionie bliskowschodnim.

Wszak wpływy rosyjskie sięgają też Jemenu, Libii czy Palestyny, a głos oraz poparcie Rosji może mieć znaczenie i w wielu innych miejscach na szeroko rozumianym Bliskim Wschodzie. Także np. w dochodzeniu do porozumienia z Iranem, w kontekście uregulowania kwestii jego programu nuklearnego. Również ten wątek irański nie może być bagatelizowany – przecież Persja to region przebogaty w surowce naturalne (zwłaszcza gaz ziemny i ropę naftową). Kiedy już Zachód dogada się z Teheranem, to na porządku dziennym stanie kwestia ich eksportu. Część z nich (zwłaszcza po drodze do Europy) będzie musiała być transportowana przez region Lewantu – a więc dzisiejszej Syrii. W tym sensie obecna gra o Syrię to gra o kontrolę nad przyszłymi szlakami eksportu irańskiej ropy i gazu do Europy. Jak widać, Moskwa myśli tu i działa nawet na trzy kroki naprzód, zapewne znacznie wyprzedzając swoich rywali i konkurentów.

ZGNIŁY UKŁAD

W zamian za swój konstruktywny udział w stabilizowaniu regionu Kreml zażąda jednak zapewne nie tylko zniesienia zachodnich sankcji, nałożonych na Rosję po aneksji

Krymu. Należy się obawiać, że rosyjskie żądania pójdą znacznie dalej – Moskwa może chcieć dla siebie od Zachodu gwarancji pełnej, faktycznej swobody strategicznego działania tak wobec Ukrainy, jak i całego obszaru poradzieckiego (a więc m.in. także względem Mołdowy i Gruzji). Oznaczałoby to, że Rosja zapewne odgrzeje też swój stary postulat, aby w istocie zostały zablokowane procesy dalszego rozszerzania Unii Europejskiej i NATO na wschód (jakkolwiek mgliste i odległe byłyby to dzisiaj plany), a obecne wschodnie granice obu tych struktur stały się trwałymi liniami podziału stref wpływów między Zachodem a Rosją.

Gdyby taki geopolityczny „zgniły układ”, jakże przypominający rodzący złe owoce „pokój jałtański”, wszedł w istocie w życie, stanowiłoby to poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa i interesów Polski. Nasz kraj stałby się wówczas państwem frontowym, położonym na skraju czegoś na kształt nowej żelaznej kurtyny, dzielącej Stary Kontynent podobnie, jak ta oryginalna sprzed ćwierćwiecza.

Warszawa musi zatem zrobić wszystko, aby dość mglista i niepewna perspektywa uregulowania sytuacji w Lewancie „dzięki” udziałowi Rosji nie stała się dla USA i kluczowych państw starej Unii Europejskiej pretekstem do faktycznego porzucenia starań na rzecz realizacji i urzeczywistnienia wolnościowych aspiracji i marzeń milionów Europejczyków, żyjących na wschód od Bugu i linii Karpat. Oni też zasługują na stabilność i bezpieczeństwo gwarantowane przez instytucje wspólnoty euroatlantyckiej i europejskiej. ■

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH



PRENU-
MERATA
RO CZNA:
6 WYDAŃ
W CENIE
5

ZAMÓW PRENUMERATĘ
NA 2016 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl

listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +48 261 840 400

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 50 zł do 15 stycznia 2016 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

WITOLD REPETOWICZ

W objęciach Rosji

Kolos na glinianych nogach
się chwieje. Czy padnie na kolana
przed Rosjanami?

Ponad dziesięć lat temu, po przejściu władzy przez Partię Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) obecnego prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğan, Turcja tak sformułowała swoją doktrynę dyplomatyczną: zero problemów z sąsiadami. Od tego czasu Ankara kilkakrotnie robiła gwałtowne wolty w polityce zagranicznej. Nie było to przejawem elastyczności, lecz chaotycznego działania, częściowo determinowanego ideologicznie. Dziś skutkuje to całkowitym skłóceniem Turcji z innymi państwami regionu, bezsilnością wobec Rosji i stosunkami z Europą opartymi na szantażu migrantami.

STRATEGICZNA ULEGŁOŚĆ

Gdy na początku października Rosja zdecydowała się na interwencję militarną w Syrii, ostatecznie pograżając tureckie plany obalenia Baszszara al-Asada, Erdoğan zagroził, że Ankara może przestać kupować rosyjski gaz. Nie zrobiło to jednak wrażenia na Rosjanach, bo mają w rękach wszystkie atuty. Turcja jest jednym z największych importerów tego surowca na świecie. W 2014 roku z 50 mld m³ gazu użytego w tym kraju 57% pochodziło z Rosji. Aż 2/3 importowano gazociągami, mimo że sprowadzanie skroplonego gazu ziemnego (LNG) jest znacznie droższe. Surowiec rosyjski jednak mniej kosztuje (425 dolarów za 1000 m³) niż kupowany od drugiego dostawcy – Iranu (490 dolarów za 1000 m³). Zważywszy na zbieżność polityki Iranu i Rosji w sprawie Syrii, pole manewru Turcji pod tym względem jest zatem niewielkie. Teoretycznie alternatywą mógłby być gaz azerski i turkmeński, ale nowy gazociąg TANAP (Transanatolijski), który pozwoliłby na zwiększenie importu tą drogą, nie powstanie przed 2018 rokiem.

Gazociągiem Baku – Tbilisi – Erzurum Turcja otrzymuje obecnie tylko 6,5 mld m³ azerskiego gazu rocznie. Wojna, którą turecka armia wzniosła przeciwko kurdyjskiej guerilli Partii Pracujących Kurdystanu (PKK), może jednak pokrzyżować te plany. PKK ma bowiem doświadczenie w atakach na infrastrukturę przesyłową. I tak tylko w sierpniu 2015 roku ten gazociąg wyleciał w powietrze aż dwukrotnie. Kurdowie zaatakowali też rurociąg, którym sprowadza się gaz z Iranu, a także ten transportujący ropę z Iraku. Tymczasem Rosja, wykorzystawszy amerykańskie niezdecydowanie wobec Kurdów, rozpoczęła starania, by włączyć ich do swojej rozgrywki regionalnej.

Od dawna można obserwować uległość Turcji wobec Moskwy. I o ile w relacjach z państwami europejskimi wszelkie deklaracje dotyczące nazwania ludobójstwem masakr Ormian w Turcji w 1915 roku wywoływały bardzo ostrą reakcję Ankary, o tyle w wypadku analogicznej wypowiedzi Putina, Erdoğan ograniczył się do stwierdzenia, że rosyjski prezydent nie ma racji. Również sprawa Krymu obnażyła bezradność Turcji. Choć czynnik panturecki mocno wpływa na tamtejszą politykę za-

graniczną, to reakcja Ankary na aneksję Krymu przez Rosję i prześladowanie tamtejszych Tatarów była, delikatnie mówiąc, umiarkowana. Publikacja raportu tureckiej delegacji na temat naruszeń praw Tatarów na Krymie przeszła bez echa. Znacznie większą uwagę poświęcano sytuacji Ujgurów w Chinach, którym masowo zaczęto wydawać tureckie paszporty i przesiedlać ich do północnej Syrii.

Rozwój stosunków turecko-rosyjskich w ostatniej dekadzie częściowo był odpowiedzią Ankary na fiasko negocjacji akcesyjnych z Unią Europejską. Przy czym w wymiarze ustrojowo-cywilizacyjnym Erdoğan nie zamierzał godzić się na dostosowywanie Turcji do standardów europejskich, dlatego obrażały go europejskie pouczenia w kwestiach demokracji, praw człowieka oraz niezbędnych reform. Do pewnego momentu były one korzystne dla jego partii, gdyż demokratyzacja pozwoliła na ujarzmienie armii, która jeszcze w 1997 roku była zdolna do obalenia rządu. Erdoğan, będący członkiem partii ówczesnego premiera Necmettina Erbakana, znalazł się wtedy w więzieniu.

Członkostwo w Unii mogło też dać Turcji większy wpływ na sytuację na Bałkanach, które uważa ona za swoją strefę wpływów. W szczególności widać to po zaangażowaniu tureckim w Bośni i Kosowie, gdzie Ankara wspiera siły radykalne, islamistyczne, prowadzące politykę konfrontacji z Serbami. To również zjawisko niekorzystne dla Europy, gdyż grozi ponowną destabilizacją Bałkanów i utratą przez UE na rzecz Rosji wpływu na Serbię. Ponadto radykalizacja nastrojów religijnych w Bośni już doprowadziła do uzyskania przez Państwo Islamskie przychodów w Bośni i Kosowie (co najmniej 200 Kosowian walczy w Syrii).

KURDYJSKIE ROZGRYWKI

W grudniu 2014 roku rozpoczęły się turecko-rosyjskie negocjacje w sprawie budowy nowego gazociągu Turkish Stream, który miał prowadzić przez Morze Czarne z Kraju Krasnodarskiego w Rosji do tureckiej Tracji. Równocześnie Rosoboronekspert wziął udział w tureckim przetargu na system obrony przeciwrakietowej i choć oferta rosyjska była całkowicie niekompatybilna z systemami NATO, to jeszcze wiosną 2015 roku Turcy nie wykluczali tej opcji. Była to oczywiście zagrywka obliczona na zabicie ceny innych ofert, a także skłonienie Europy i USA do akceptacji tureckiej polityki wobec Syrii i Kurdów. Całkowita reorientacja Turcji na Rosję przyniosłaby bowiem pożytek tylko Kremlowi. Turcja wykorzystała kwestię Turkish Stream w negocjacjach ceny kupowanego od Rosji gazu, ale gdy Moskwa podpisała porozumienia w sprawie Nordstream II, przestało jej zależeć na tym projekcie. W 2013 roku podpisała też z Turcją umowę na budowę elektrowni atomowej. ➔



Po 2011 roku prezydent Erdoğan zaczął promować projekt neootomański – przebudowy Bliskiego Wschodu na bazie „umiarkowanego islamizmu sunnickiego” i pod przywództwem tureckim.

EUROPEAN COMMISSION



U S A F

OBECNIE **TURCJA** MA ZE SWOIMI SĄSIADAMI I INNYMI PAŃSTWAMI REGIONU RELACJE ZŁE LUB GORSZE. ŁĄCZĄ JĄ NATOMIAST BLISKIE ZWIĄZKI Z HAMASEM, UZNAWANYM POWSZECHNIE ZA ORGANIZACJĘ TERRORYSTYCZNĄ

USA od miesiący usiłuje balansować między współpracą z kurdyjskimi oddziałami Ludowych Jednostek Obrony (YPG) w Syrii a „wyrażaniem zrozumienia” dla tureckich obaw z tym związanych. Po całkowitej kompromitacji amerykańskiego programu szkolenia w Turcji tzw. 30 Dywizji, czyli umiarkowanych rebeliantów, Amerykanie zintensyfikowali współpracę z Kurdami. Fiaskiem zakończył się również plan stworzenia „strefy wolnej od Państwa Islamskiego”. W tym samym czasie Turcja rozpoczęła wojnę z PKK, dążąc też do uznania Ludowych Jednostek Obrony oraz Demokratycznej Partii Jedności (PYD), czyli głównej partii syryjskiego Kurdystanu – Rożawy, za organizacje terrorystyczne związane z PKK.

Po pierwszym zrzucie amerykańskiej broni dla nowej koalicji Syryjskich Sił Demokratycznych, powstałej z inicjatywy YPG, Turcja oskarżyła Kurdów z Syrii o plan dostarczenia jej do PKK w Turcji, skłaniając w ten sposób USA do rezygnacji z dalszych dostaw. Kurdowie dążą też do połączenia izolowanego obecnie kantonu Efrin z resztą kontrolowanych przez nich terenów. Chodzi o odcinek niespełna 100-kilometrowy, ciągnący się od Dżarabulus do Azaz, przy czym większość tego obszaru jest pod kontrolą Państwa Islamskiego, a jedynie wąski pas na północ od Aleppo znajduje się w rękach protureckich dżihadystów – rebeliantów z Ahrar asz-Szam. Turcja sprzeciwia się temu, gdyż poza kontrolą Kurdów pozostałby tylko fragment granicy z prowincją Idlib (nie licząc kontrolowanego przez Damaszek krótkiego odcinka, który i tak jest zamknięty). Amerykanie jednak stoją przed wyborem między zignorowaniem tureckich nacisków a pchnięciem Kurdów w objęcia Moskwy.

Angażując się w działania w Syrii, Rosja zadeklarowała jednocześnie poparcie dla aspiracji Kurdów i zaprosiła PYD do otwarcia biura w Moskwie. Jeśli Amerykanie przestaną wspierać tę organizację, natychmiast wejdzie ona w ten układ, a rozgrywanie kartami kurdyjskimi przeciw Turcji będzie dla Rosji korzystne. Z jej wsparciem wschodnia Turcja na lata może zostać całkowicie zdestabilizowana i żadne projekty tranzytowe, czy to idące przez Kaukaz z basenu Morza Kaspijskiego, czy też z Iranu, nie zostaną zrealizowane.

Rosja ma też możliwość destabilizacji Kaukazu. Już w kwietniu zaczęła wzmacniać swoje bazy w Abchazji, Osetii Południowej i Armenii, a niedawno wzrosły napięcia wynikające z niezakończonych wojny o Górski Karabach. Warto również pamiętać o bliskich związkach armeńsko-kurdyjskich. W PKK walczą choćby tzw. ukryci Ormianie (ci, którzy zostali w Turcji, ukrywając swoją tożsamość w kurdyjskich rodzinach). Mimo że Rosja jest pogrążona

w kryzysie gospodarczym, jej potencjał militarny jest znacznie większy, niż się mogło wydawać, co pokazał raketowy ostrzał Syrii z Morza Kaspijskiego.

CZARNE SCENARIUSZE

Do przeszłości już należy cud gospodarczy Turcji. O ile pięć lat temu zanotowała ona wzrost o ponad 9%, o tyle w 2015 roku będzie on na poziomie 2%, a rok 2016, nawet gdy utrzymają się niskie ceny ropy, jawi się w czarnych barwach. Odnowienie konfliktu z Kurdami wpłynęło też negatywnie na sytuację w kurdyjskim regionie autonomicznym w Iraku, od którego Turcja, dzięki układom z prezydentem Masudem Barzanim, tanio kupuje ten surowiec. Pozycja regionu jednak osłabła i wrosły tam nastroje antytureckie, które mogą pozbawić Ankarę dotychczasowych profitów w handlu z Kurdami. Relacje z Bagdadem nie będą lepsze, gdyż coraz mocniej wchodzi on w sojusz z Rosją, Iranem i Syrią. Już w tym roku spadły też dochody z turystyki, która generuje około 10% PKB, a rozwijająca się wojna w Turcji może jeszcze bardziej odstraszyć chętnych do odwiedzenia tego kraju.

Przed wybuchem Arabskiej Wiosny Erdoğan utrzymywał bardzo bliskie relacje z Baszszarem al-Asadem. W 2008 roku doszło też do zbliżenia Turcji z Iranem, mimo apogeum napięć między USA i NATO a rządem Mahmuda Ahmadineżada w Teheranie. Erdoğan próbował w ten sposób realizować swoje ambicje tureckiego przywództwa regionalnego, ale równocześnie udowodnił małą wiarygodność państwa jako lojalnego sojusznika. Po 2011 roku Erdoğan zerwał jednak ze swoimi nowymi, szybkimi przyjaciółmi i zaczął promować projekt neotomański – przebudowy Bliskiego Wschodu na bazie „umiarkowanego islamizmu sunnickiego” i pod przywództwem Ankary. Arabowie niechętnie widzieli turecką dominację. W rezultacie obalenia władzy Bractwa Muzułmańskiego w Egipcie stosunki z tym krajem legły w gruzach. Załamanie w relacjach z Libią nastąpiło już wcześniej, podobnie z Izraelem, choć z innych powodów.

Obecnie Turcja ma ze swoimi sąsiadami i innymi państwami regionu relacje złe lub gorsze. Łączą ją natomiast bliskie związki z Hamasem, uznawanym powszechnie za organizację terrorystyczną. W Turcji niemal jawnie działa też siatka Państwa Islamskiego, dochodzi tam do potężnych zamachów terrorystycznych (m.in. w Ankarze), którym służby nie mogą lub nie chcą zapobiec. Turcja jest oskarżana o wspieranie w Syrii Frontu al-Nusra, mimo że jest to część Al-Kaidy. Druga armia NATO nie radzi sobie również z kurdyjską partyzantką. Kolos na glinianych nogach chwieje się i pada przed Rosją. ■

**MIĘDZYNARODOWE TARGI
MEDYCYNY WOJSKOWEJ
I RATUNKOWEJ**



**22-23 KWIETNIA 2016
WARSZAWA**

WWW.MME.ZTW.PL

RAFAŁ CIASTOŃ

Lwy Rożawy

Śmierć ochotnika odbija się w mediach o wiele większym echem niż codzienny dramat setek tysięcy mieszkańców regionu.

LEG ZABIELIN/FOTOLIA.COM

Jest ich najprawdopodobniej kilkuset. Pochodzą z różnych państw – USA, Kanady, krajów Unii Europejskiej, Australii, Rosji, a nawet Chin. Do Syrii (rzadziej Iraku) przyjechali na własną rękę, często ryzykując aresztowanie, jeśli nie przy wyjeździe, to podczas późniejszej próby powrotu. Nie dostają żołdu, nie są więc najemnikami, jednak porzucili swoje dotychczasowe życie, aby walczyć z najbardziej barbarzyńskim tworem naszych czasów – Państwem Islamskim. Lwy Rożawy to najbardziej znana grupa ochotników, którzy dołączyli do oddziałów Kurdów syryjskich (Ludowe Jednostki Obrony/Kobiece Jednostki Obrony – YPG/YPJ).

SYMBOL KOBANE

Jesienią 2014 roku położone w północnej Syrii miasto Kobane, stolica kurdyjskiego kantonu o tej samej nazwie, urosło do rangi symbolu wojny z Państwem Islamskim. Trwająca od połowy września 2014 roku do końca stycznia 2015 roku obrona miasta przed dżihadystami, kurdyjskie apele o pomoc i dostawy uzbrojenia w połączeniu z kolejnymi doniesieniami o bestialstwach oddziałów Abu Bakra al-Baghdadi, kalifa Ibrahima, przyczyniły się do rozpropagowania problemu trwającej w Syrii i Iraku wojny. Zwróciły także uwagę na los mniejszości etnicznych i religijnych w obu krajach – Kurdów, jazydów, chrześcijan, Asyryjczyków...

Podczas gdy państwa utworzonej przez Stany Zjednoczone koalicji ograniczały się do niezbyt intensywnych nalotów i symbolicznych rzutów zaopatrzenia i broni, czego przyczyną było m.in. skrajnie nieprzychylny Kurdom stanowisko Turcji, do Rożawy, autonomicznego regionu syryjskiego Kurdystanu, zaczęli napływać pierwsi ochotnicy z Zachodu. Jednym z nich był Amerykanin Jordan Matson, były spadochroniarz bez wcześniejszego doświadczenia bojowego, który decyzję o pomocy Kurdom podjął z powodu bierności, jak to sam określił, rządu Stanów Zjednoczonych wobec wojny, którą oddziały YPG/YPJ toczą z dżihadystami. Matson jest dziś chyba najbardziej rozpoznawalnym „lwem” Rożawy, w sieci często pojawiają się filmy z jego udziałem, a w lipcu funpage Kur-

dów i Lwów obiegły zdjęcia z jego ślubu z Rozą Yildirim, Kurdyjką z Istanbuhu. W wywiadach dla zachodnich mediów Matson podkreśla, że czuje się „adoptowanym synem Kurdystanu, przynależnym do tutejszej wspólnoty”.

Powody, które kierowały Matsonem, są wspólne dla większości ochotników, niezależnie od kraju pochodzenia czy ich przeszłości. Niemal wszyscy oni podkreślają, że ze względu na okrucieństwa Państwa Islamskiego nie mogli pozostać bezczynni. Dwudziestopięciolatka Samanta Johnston, inżynier i weteranka US Army, zdecydowała się zostawić dzieci w Stanach Zjednoczonych. Sama zaś pojechała do Syrii, bo czuła, że to jej obowiązek „wobec [tutejszych] dzieci, które są bezdomne i osierocone, matek i siostr, które zostały zgwałcone i sprzedane, ojców, którzy zostali zabici [...] wróciłam, bo nie mogę po prostu siedzieć i nic nie robić. Jestem chrześcijanką, ale bronię człowieczeństwa, niezależnie od rasy i religii”. Jeden z brytyjskich ochotników jeszcze przed wyjazdem mówił z kolei: „Nie jestem szczęśliwy w tym kraju. Mam dwoje dzieci, ale tu nie ma niczego, z czego mógłbym być dumny. Jedynym powodem ku temu jest to, że byłem kiedyś częścią brytyjskiej armii, najlepszej armii na świecie, dlaczego więc nie miałbym wykorzystać tej wiedzy i nie przekazać jej innym”.

DROGA OCHOTNIKÓW

Pierwszy kontakt z rekruterami ochotnicy nawiązują najczęściej poprzez witryny internetowe i portale społecznościowe. Na Facebooku są chociażby takie profile jak: The Lions of Rojava, Support the Kurds, Kurdish Peshmerga Forces i wiele innych, dzięki którym można zarówno uzyskać poradę na temat tego, jakiego typu osoby są chętnie widziane w oddziałach YPG/YPJ, jak i skontaktować się z ludźmi gotowymi pokierować ochotnikiem, tak by ten dotarł do Syrii, nie wpadłszy wcześniej w ręce organów ścigania. W wielu bowiem państwach (jednym z wyjątków są Stany Zjednoczone) wyjazd i służba w oddziałach kurdyjskich są traktowane tak samo, jak zaciągnięcie się w szeregi Państwa Islamskiego. Dlatego też ochotnicy europejscy (ale też australijscy) mniej chętnie ujawniają swoje nazwiska niż ich amerykańscy towarzysze. W wypadku tych ostatnich wy-

CZĘŚĆ Z PRZYJEŹDŻAJĄCYCH
SZYBKO WRACA DO DOMÓW,
BO ICH WYOBRAŻENIE O TOCZĄCEJ
SIĘ TU WOJNIE ZNACZNIE
ODBIEGA OD RZECZYWISTOŚCI



starczy bowiem, że nie są w szeregach organizacji, która walczyłaby z USA, by po powrocie nie czekały ich oskarżenia o terroryzm lub, w najlepszym razie, bycie najemnikiem.

Aby prześledzić drogę ochotników do Rożawy, warto poznać historię Ashleya Johnstona, 28-letniego Australijczyka. W październiku 2014 roku mężczyzna opuścił kraj, by przez Szwecję i Irak dotrzeć do Syrii. W skontaktowaniu się z YPG pomogła mu Kader Kadanir (wojenny pseudonim jednej z administratorów grupy Lwy Rożawy), kiedy dowiedziała się, kim on jest. Sam Johnston tak opisywał się w jednej z wysłanych do niej wiadomości „Nazywam się Ashley Johnston, urodzony 15 kwietnia 1986 roku w Maryborough w Australii, mam obywatelstwo australijskie. Nie jestem notowany ani nie handlowałem narkotykami. Nie byłem w więzieniu. Nie zabiłem człowieka. Tak, mam doświadczenie wojskowe (siedem lat w siłach rezerwy jako strzelec oraz sanitariusz)”. Zaznaczył także, że pełnił służbę na Wyspach Salomona i potrafi posługiwać się kilkoma typami broni strzeleckiej oraz granatników. Johnston walczył w szeregach YPG najprawdopodobniej od początku stycznia do 23 lutego 2015 roku, czyli do dnia swej śmierci.

Trasa wiodąca z Australii do Syrii poprzez Szwecję może na pierwszy rzut oka zaskakiwać. Warto jednak wziąć pod uwagę, że w tym skandynawskim państwie działa prężna i dobrze zorganizowana diaspora kurdyjska, zatem uzyskanie pomocy akurat tam nie jest niczym niezwykłym. Co więcej, według szacunków SÄPO, szwedzkiej służby bezpieczeństwa, do Syrii i Iraku wyjechało stąd około 300 (!) osób. Nie oznacza to oczywiście, że wojna z kalifatem cieszy się wyjątkową popularnością wśród etnicznych Szwedów – częściowo były to bez wątpienia osoby pochodzenia kurdyjskiego, częściowo zaś, tak jak w wypadku Johnstona, osoby, dla których Szwecja była tylko państwem tranzytowym, choć zarówno w oddziałach YPG/YPJ, jak i kurdyjskich peszmergów służyli i służą również Szwedzi.

MĘCZENNICZY I BOHATEROWIE

Johnston to niejedyny z poległych „lwów”. Pierwszym Europejczykiem, który tam zginął, był Brytyjczyk Konstandinos Erik Scurfield, były żołnierz Royal Marines Corps. W 2015 roku polegli także: Ivana Hoffman, obywatelka RFN i członkini tureckiej Marksistowsko-Leninowskiej Partii Komunistycznej, Keith Broomfield z USA, John Gallager z Kanady, Reece Harding z Australii, czy Niemiec Kevin Jochim, który według oświadczenia YPG miał walczyć w szeregach Kurdów od trzech lat. Do tej pory nie zdarzyło się jednak (na szczęście), by ochotnik został schwytany lub zabity dla pieniędzy. Według doniesień z pierwszej połowy tego roku cena, jaką oferuje za taki czyn Państwo Islamskie, wzrosła z około 100 do 150 tys. dolarów.

W sierpniu 2015 roku jeden z przedstawicieli Partii Unii Demokratycznej (PYD), głównej siły politycznej Kurdów syryjskich, oświadczył, że w szeregach YPG/YPJ walczy około 500 Europejczyków. Wydaje się, że jest to zawyżone – media amerykańskie i zachodnioeuropejskie podawały, że liczba ochotników ze wszystkich kontynentów oscyluje w granicach 100–200 osób. Wypowiedź przedstawiciela PYD mogła być więc elementem wojny medialnej i kampanii dezinformacyjnej, mogła również odnosić się do wszystkich ochotników, którzy przybyli tu z Europy, tzn. również etnicznych Kurdów, co korespondowałoby z informacjami podanymi przez SÄPO,

lub mogła dotyczyć osób, które po kilku tygodniach czy miesiącach pobytu opuściły już Rożawę.

Jak podkreślają sami ochotnicy, część z przyjeżdżających szybko wraca do domów, bo ich wyobrażenie o toczącej się tu wojnie znacznie odbiega od rzeczywistości. Część jest także zawiedziona zbyt małym zaangażowaniem w walkę. Jeden z obywateli USA mówił, że ochotnicy są wykorzystywani głównie na potrzeby mediów i nie są angażowani w realne działania, jednocześnie jednak nie chciał się wypowiadać na temat swojego doświadczenia wojskowego. Trudno dziwić się dowódcom kurdyjskim, że nie chcą ryzykować prowadzenia działań z nieprzygotowanymi do tego ochotnikami, którzy nie tylko nie mają przeszkolenia wojskowego, lecz także, ze względu na barierę językową, nie mogą swobodnie porozumiewać się z resztą oddziału.

Należy także pamiętać, że nie wszyscy spośród ochotników przybywają do Syrii po to, aby tam walczyć. Niewielka część z nich angażuje się np. w działalność humanitarną. Również na stronie Lwów Rożawy można znaleźć teksty zachęcające do przyjazdu wielu specjalistów cywilnych: architektów, artystów, biznesmenów, rolników, inżynierów, pracowników służby zdrowia, dziennikarzy, naukowców, tłumaczy, którzy chcieliby odbudowywać Rożawę i tworzyć jej przyszłe społeczeństwo.

W październiku wśród Lwów Rożawy miała się pojawić pierwsza Polka – zamieszkała w RFN, a pochodząca z Białegostoku Joanna M.-F., teraz znana pod wojennym imieniem Heval Dêstina, która, podobnie jak Samanta Johnston, zostawiła dzieci i wyjechała do Syrii. W jednej ze swych wypowiedzi podkreślała: „Tworzymy tutaj historię. Wszyscy ludzie, których tu spotkałam, są niezwykli. Kocham Rożawę. Dla większości Europejczyków życie to tylko seks, pieniądze i sława”. Zdjęcie drobnej trzydziestolatki, w mundurze i z kałasznikowem w dłoniach, przez kilka dni królowało na funpage'u Lwów.

Zachodni ochotnicy są obecni także wśród oddziałów irackich Kurdów – peszmergów, ale tutaj zdecydowaną większość stanowią byli amerykańscy (w mniejszym stopniu brytyjscy) wojskowi, którzy służyli w Iraku bądź Afganistanie i po zakończeniu kariery zdecydowali się na powrót. Częstym ich motywem jest żal, rozgoryczenie powodowane brakiem trwałej stabilizacji w Iraku, poczucie niewypełnionej misji. Choć nie jest to oczywiście jedyna motywacja. Pewien weteran stwierdził w wywiadzie, że chce wziąć urlop i po prostu „pojechać zastrzelić kilku terrorystów”. Peszmergowie są bardziej wymagający wobec kandydatów i w zasadzie nie przyjmują osób bez doświadczenia wojskowego. Niechętnie także potwierdzają, że służą u nich obcokrajowcy, chcą uniknąć w ten sposób zadrażnień z rządami zaprzyjaźnionych państw, szczególnie Stanów Zjednoczonych.

Kilkuset ochotników, którzy dotarli do Syrii i Iraku, by walczyć z Państwem Islamskim, nie jest oczywiście w stanie wpłynąć w znaczący sposób na przebieg wojny z islamistami, jednak dzięki nim ten konflikt częściej gości w zachodnich serwisach informacyjnych. Jakkolwiek cynicznie by to zabrzmiało, śmierć ochotnika odbija się wielokrotnie większym echem, niżli codzienny dramat setek tysięcy mieszkańców regionu. Lwy Rożawy i inne tego typu grupy przyczyniły się także do popularyzowania kwestii kurdyjskiej, co nie pozostanie bez znaczenia w momencie poszukiwania rozwiązań politycznych dla Syrii i regionu. ■

JESIEŃ ARABSKIEJ WIOSNY

Z Januszem Mrowcem

o skutkach arabskiego przebudzenia, renesansie islamu i błędach Zachodu rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Pięć lat temu w krajach Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej wybuchła Arabska Wiosna. Cały świat wierzył, że dla tego regionu może to oznaczać czas pokoju i demokratyzacji. Obalono władców – Hosniego Mubaraka w Egipcie, Muammara Kaddafiego w Libii czy Zajna al-Abidina ibn Alego w Tunezji. Dziś tymi krajami targają konflikty wewnętrzne i wojny. Niektórzy eksperci twierdzą, że może być jeszcze gorzej.

Od początku uważałem, że Arabska Wiosna będzie poważnym problemem dla Europy, że spowoduje wzrost fundamentalizmu i terroryzmu oraz pogłębi konflikt między cywilizacją islamską a zachodnią. I tak się stało. Byłem w mniejszości, która nie zachłystywała się przemianami i nie porównywała Arabskiej Wiosny do tego, co wydarzyło się w Europie Wschodniej po 1989 roku. To są dwa różne światy.

Inne były też przyczyny obu tych wydarzeń.

W Europie postrzegano Arabską Wiosnę jako proces demokratyzacji. Faktyczną przyczyną jej wybuchu było jednak bezrobocie młodych, trudne warunki życia, przepaść między bogactwem elit władzy a nędzą przeciętnych obywateli. Z czasem w poszczególnych państwach dały także o sobie znać inne problemy wewnętrzne – autokratyzm przywódców, nepotyzm, korupcja, pogłębiające się róż-

nice w poziomie życia między krajami Unii Europejskiej a światem arabskim, jak również brak perspektywy rozwiązania nabrzmiałych problemów. Wzrastała też niechęć do Zachodu.

Z czego wynika ta niechęć?

Zachód narzuca światu arabskiemu swoje rozwiązania polityczne, społeczne i ekonomiczne. Nie twierdzę, że są one niesłuszne, uważam jednak, że ich wprowadzenie jest możliwe na określonym etapie rozwoju społecznego. Bezkrytyczne ich przyjmowanie koliduje z cywilizacją islamską. Ideolodzy muzułmańscy krytycznie odnoszą się do naszych wartości. Uważają, że ich rezultatem są patologie prowadzące do zmierzchu Zachodu.

Arabska Wiosna to nie monolit. Co sprawiło, że w jednych krajach, jak w Egipcie i Tunezji, obalono autorytarnych przywódców, podczas gdy w innych masowe protesty i antysystemowe ruchy społeczne nie miały szans powodzenia?

Świat arabski jest zróżnicowany pod wieloma względami. 85% tej społeczności to sunnici, pozostali – szyici. Są kraje bogate, które mają surowce – 70% światowych zasobów ropy naftowej i 40% gazu ziemnego – oraz biedne. Podział dochodu jest bardzo zróżnicowany: w Emiratach Arabskich wynosi np. 44 tys. dolarów PKB na głowę, a w Mauretanii – 1100. ➔



W poszczególnych państwach mamy różne systemy społeczno-polityczne: od monarchii konstytucyjnej w Maroku, po republikę w Tunezji; trudno zakwalifikować Libię. Kolejna różnica dotyczy edukacji. Tunezja ma najwięcej dobrze wykształconych ludzi, a Jemen – 60% analfabetów. Różna też droga doprowadziła kraje arabskie do uzyskania niepodległości – po II wojnie światowej trafiły one albo do zachodniej, albo rosyjskiej sfery wpływów. Różnic jest tak dużo, że pomimo podobnych cech, takich jak religia, język czy kultura, każdy z tych krajów jest inny.

Dlaczego niektóre państwa, takie jak Maroko czy Algieria, uniknęły rewolucji?

Maroko jest królestwem, ma parlament, do którego odbywają się wybory. Król Muhammad VI jest doktorem prawa, ma swoją wizję kraju. W przeddzień wybuchu Arabskiej Wiosny zapowiedział pakiet reform. Co więcej, zrealizował je i nie utracił kontroli nad państwem. W ten sposób wytracił opozycji argumenty. Algieria zaś przeżyła wojnę domową w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Zginęło wówczas ponad 100 tys. ludzi, 30 tys. uznano za zaginionych. Prezydent Abd al-Aziz Bouteflika wdrożył jednak w życie program pojednania narodowego. I w ten sposób zneutralizował fundamentalistów. Algierczycy to pamiętają, pozostał w nich silny lęk przed powtórką z historii.

Arabska Wiosna zaczęła się w styczniu 2011 roku od Tunezji. Do dziś była ona uważana za modelowy kraj sukcesu Arabskiej Wiosny. Czy słusznie?

Tunezja jest jedynym krajem, o którym można powiedzieć, że Arabska Wiosna posunęła go do przodu. Rezultatem są demokratyczne wybory i pewne cechy społeczeństwa obywatelskiego. Tunezyjczycy uwierzyli, że mogą kontrolować elity, przeciwstawić się negatywnym zjawiskom społecznym. Wybrali nowego prezydenta, bardzo doświadczonego polityka. Jest on gwarantem ewolucyjnych reform, stabilizacji i rozwiązywania wielu wewnętrznych problemów. Niemniej koszty ekonomiczne operacji Arabska Wiosna są wysokie. Należy życzyć Tunezyjczykom, aby przemiany były trwałym elementem systemu politycznego. Aby udało im się uniknąć błędów poprzednich elit krajów arabskich.

O jakich błędach Pan myśli?

Elity polityczne krajów arabskich wiedziały, że terminowe dostawy ropy, walka z fundamentalizmem i terroryzmem to cena, którą świat zachodni zapłaci za nieprzestrzeganie praw człowieka czy niewdrażanie systemów demokratycznych. Błędem USA i Europy było akceptowanie tej polityki. Należało popierać reżimy krajów arabskich, bo z większością mieliśmy dobre relacje, ale pod warunkiem, że będą one rozwiązywać konflikty wewnętrzne, konsekwentnie wdrażać struktury demokratyzujące i kształtujące społeczeństwa obywatelskie. Niezadowolenie społeczne było głównym czynnikiem umacniającym ugrupowania fundamentalistyczne. Pod przykrywką organizacji charytatywnych realizowały one zadania społeczne, wyręczając rządy. Docierały do przeciętnego obywatela, podejmowały inicjatywy edukacyjne, organizowały akcje opieki społecznej i zdrowotnej. Meczetów przekształcały w ośrodki kultury, wsparcia i opieki dla najbardziej potrzebujących. Rezulta-

*Nigdy nie uda się
laicyzacja
muzułmanów.
Możemy co najwyżej
sprawić, aby przyjęli
oni islam pierwotny,
który nie był
agresywny*

tem była aktywizacja sił fundamentalistycznych, kształtowanie nastrojów niechęci do Zachodu.

Czy wygrywający wybory islamisci są jedyną alternatywą dla rządów autorytarnych w Afryce Północnej?

Mam wrażenie, że niestety tak. Dzisiaj nie pozostaje nam nic innego, jak wspierać reżimy wojskowe, pomagając im we wprowadzaniu reform i wyrównywaniu różnic ekonomicznych między bogatym Zachodem a światem arabskim. Ten, kto opracuje i wdroży w życie plan Marshalla dla świata arabskiego, zostanie kandydatem do Nagrody Nobla.

Islam przeżywa renesans, nie tylko w krajach arabskich. Muzułmanie są zatem coraz bardziej widoczni w Europie, USA i Australii. Islam też staje się coraz bardziej radykalny. Pobożność często przekształca się w fanatyzm religijny. Islam powstał w VII wieku i jest jednocześnie i religią, i ideologią. Wielu muzułmanów twierdzi, że tylko powrót do źródeł jest gwarantem sukcesu, a problemem tych postępujących jest dostosowanie wartości islamu do wymogów XXI wieku. Co zrobić, aby zniwelować konflikt cywilizacyjny? Jak przekonać muzułmanów, że współpraca może być czynnikiem rozwojowym dla obu cywilizacji?

To są chyba pytania retoryczne.

Nie. Jednym z pierwszych myślicieli arabskich, którzy zastanawiali się nad kompromisem między wzorcami europejskimi a islamem, był Chajr ad-Din, który w połowie XIX wieku odbył podróż po Europie. Jego dzieło kontynuują liczni intelektualiści, np. Tariq Ramadan czy Amin Maalouf. Niestety ich wykładnie trafiają tylko do elit intelektualnych.

Rządy islamistów to skutek Arabskiej Wiosny. Jakże są inne?

Systemy polityczne poszczególnych krajów arabskich bardzo się różniły, ale nie dopuszczały do rozkwitu fundamenta-

lizmu lub też mocno go kontrolowały. Od wybuchu Arabskiej Wiosny nastąpiło osłabienie struktur poszczególnych państw. Rezultatem jest zwiększona liczba aktów terrorystycznych, wzrost fundamentalizmu, aktywizacja różnych struktur religijnych. Arabska Wiosna nie zlikwidowała starych problemów, dorzuciła zaś nowe. W większości krajów nastąpiło zahamowanie rozwoju ekonomicznego, wstrzymanie napływu obcego kapitału, doszło do spadku ich pozycji na arenie międzynarodowej. Rewolucja jest zmianą, ale niekoniecznie na lepsze. W tym wypadku okazała się czynnikiem hamującym ewolucyjny tryb rozwoju.

A Państwo Islamskie?

Jest ono quasi-państwem, jest strukturą terrorystyczną, samozwańczym kalifatem. Jego przedstawiciele głoszą konieczność powrotu do źródeł religii, do przestrzegania norm określonych przez Boga. Siły zbrojne Państwa Islamskiego liczą ponad 80 tys. bojowników. Dowódcy to oficerowie zbiegli z armii irackiej i syryjskiej, czeczeńskiej oraz różnych krajów arabskich. Państwo Islamskie rozkwitło po 2010 roku, gdy doszło do destabilizacji w krajach arabskich. Szefom służb tych państw sen z oczu spędza myśl, co się stanie z niedobitkami islamskich bojowników po stłamszeniu tej terrorystycznej struktury. W pierwszej kolejności mogą być zaatakowane kraje, które względnie dobrze uporały się z Arabską Wiosną – Tunezja, Algieria czy Maroko, a stąd to już krok do Europy.

Dlaczego NATO zdecydowało się interweniować w Libii, a w Syrii już nie?

Muammar Kaddafi był przywódcą ekscentrycznym, któremu udało się upokorzyć elity zachodnie. Choć w ostatnim okresie relacje Zachodu z Libią układały się poprawnie, to nikt nie był w stanie przewidzieć reakcji Kaddafiego. Jego śmierć nie była opłakiwana ani w Libii, ani w świecie arabskim, ani na Zachodzie. Libia była i pozostała ogromnym problemem. Podstawą interwencji NATO była uchwała Rady Bezpieczeństwa ONZ. Zlikwidowano Kaddafiego i kraj się rozpadł. Dziś mamy w Libii dwa rządy, kraj jest podzielony na regiony rządzone przez poszczególnych przywódców. Nie ma koncepcji, jak wyjść z tej sytuacji. Państwo Islamskie planuje aneksję terytorium Libii, co dla Europy miałyby skutki katastrofalne. Wstrzemięźliwość Zachodu wobec Syrii jest uwarunkowana lękiem, aby historia się nie powtórzyła, aby nie stało się to, co w Libii. Prezydent Asad jest nie do zaakceptowania, ale jego usunięcie to jeszcze gorsze rozwiązanie.

W Egipcie po Arabskiej Wiośnie najpierw zwyciężyło Bractwo Muzułmańskie, a potem w wyniku zamachu stanu władzę przejęła junta wojskowa pod przewodnictwem As-Sisiego. Czy historia Egiptu zatoczyła koło?

Faktycznie historia zatoczyła koło, co przy błędach popełnionych przez Zachód oraz Kair było nieuniknione. Egipt ma dla świata arabskiego znaczenie kluczowe. Jest największym, prawie 90-milionowym państwem. W przekonaniu Arabów bardzo dobrze zorganizowanym, z liczącymi się na świecie ośrodkami naukowymi. W „złotym wieku” Nasera – od lipca 1956 roku, czyli od nacjonalizacji Kanału Sueskiego, do czerwca 1970 roku, czyli do wojny sześciocdniowej – Arabom została przywrócona godność. Dlatego sytuacja w dzisiejszym Egipcie jest tak ważna także dla przemian społecznych w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Jest wiele symptomów świadczących o tym, że reformy prezydenta Abd al-Fattah as-Sisiego przyniosą pożądane skutki. Jako wojskowy ma wsparcie armii, co w Egipcie jest bardzo ważne.

wej – Arabom została przywrócona godność. Dlatego sytuacja w dzisiejszym Egipcie jest tak ważna także dla przemian społecznych w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Jest wiele symptomów świadczących o tym, że reformy prezydenta Abd al-Fattah as-Sisiego przyniosą pożądane skutki. Jako wojskowy ma wsparcie armii, co w Egipcie jest bardzo ważne.

Jaką rolę podczas Arabskiej Wiosny odgrywało wojsko?

Misja armii w krajach Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu jest szersza od tej w krajach europejskich. Zadania wojska wynikają m.in. z etapu rozwoju społeczeństwa, jego wykształcenia, świadomości oraz zdolności uczestnictwa w procesach demokratycznych. W krajach arabskich armia w porównaniu z innymi strukturami państwa jest najlepiej zorganizowana. Dysponuje nowoczesną kadrami. Szersze zadania armii nie są wymysłem generalicji, lecz potrzebą podyktowaną przez życie. Dlatego przewrót wojskowy często jest jedynym sposobem na uniknięcie przelewu krwi, wojny domowej. Nie wdając się w szczegóły, powiem tylko, że wojsko odgrywało w czasie Wiosny Arabskiej pozytywną rolę. Często jednak jest zmuszone do wyboru mniejszego zła.

Bez uporządkowania sytuacji w swoim najbliższym sąsiedztwie Europa nie będzie bezpieczna. Tymczasem nie dość, że w żadnym z krajów arabskich sytuacja się nie ustabilizowała, to dodatkowym problemem dla Europy stali się uchodźcy.

Fala uchodźców jest konsekwencją braku stabilności w regionie. Część osób zmierza do Europy, ale miliony pozostały w ościennych państwach – w Jordanii 800 tys., w Libanie 1,4 mln. Unia Europejska musi uszczelnić granice, a także oddzielić migrantów ekonomicznych od uchodźców. W Europie – oprócz Francji i Włoch – społeczeństwa są nieprzygotowane na przyjęcie uchodźców islamskich. Trzeba głośno mówić o tym, że nigdy nie uda się laicyzacja muzułmanów. Możemy co najwyżej sprawić, aby przyjęli oni islam pierwotny, który nie był agresywny.

Czy w obecnej sytuacji powinniśmy rozwijać współpracę z krajami arabskimi?

Zdecydowanie tak. Izolacja do niczego nie prowadzi. Im większe zbliżenie Zachodu do krajów arabskich, tym mniej tamta społeczność będzie się od nas różniła i tym większa będzie szansa na uniknięcie konfliktu. Jesteśmy na siebie skazani. Wzajemne relacje powinny być tak ułożone, aby korzyści odnosiły obie strony. Wymaga to obopólnego szacunku. Perspektywnym zadaniem jest budowa podstaw wspólnej nowej cywilizacji, z którą – bez względu na rasę, wyznanie czy narodowość – każdy się będzie utożsamiał.

Jak Pan uważa, czy jest to możliwe?

Historia potwierdziła, że tak. Mam na myśli dwunastowieczną Hiszpanię, czyli czasy przed rekonkwistą. ■

DR JANUSZ MROWIEC JEST AMBASADOREM
TYTULARNYM, WYKŁADOWCĄ AKADEMII
FINANSÓW I BIZNESU VISTULA.



Poligon na kretańskim półwyspie Akrotiri jest położony w taki sposób, że odpalane z niego rakiety lecą głównie na północ i północny wschód.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Turyści lądujący na lotnisku im. Ioannisa Daskalogiannisa koło Chanii na Krecie często obserwują wojskowe samoloty na sąsiadujących z cywilnymi płytach postojowych. Niektórzy wiedzą, że droga startowa służy jednocześnie portowi lotniczemu oraz 115 Skrzydłu Lotnictwa Bojowego greckich sił powietrznych z dwiema eskadrami F-16. Niewielu zapewne słyszało o amerykańskiej bazie morskiej Souda Bay na południe od lotniska, mimo że czasami w głębokiej zatoce zatrzymują się operujące w regionie lotniskowce. Gdyby tylko podróżujący zdawali

sobie sprawę, że podejście do lotniska znajduje się w obrębie poligonu rakietowego, gdzie regularnie odbywają się strzelania przeciwlotnicze, mogliby mieć obawy przed wsiadaniem na pokład samolotu. NATO Missile Firing Installation (NAMFI) jest jednym z najczęściej wykorzystywanych poligonów rakietowych na świecie.

Grecka niechęć do wpuszczania dziennikarzy na teren baz wojskowych i robienia zdjęć znajdujących się tam obiektów jest legendarna. Wielu spotterów lotniczych trafiło do aresztu i płaciło słone grzywny za próby łamania zakazu fotografowa-

MAREK ŚWIERCZYŃSKI, KRETA

Greckie strzelania

Jeden z najczęściej wykorzystywanych poligonów raketowych w Europie funkcjonuje kilka kilometrów od uczęszczanego wakacyjnego lotniska w Chanii i graniczy z pełnym promów, wycieczkowców i łodzi rybackich Morzem Egejskim.



nia. Tym większe było moje zaskoczenie, że do umówienia wizyty w NAMFI wystarczyło tylko kilka e-maili, wysyłanych bezpośrednio do oficera prasowego bazy. Być może pomogło to, że już wcześniej odwiedzałem raketowe ośrodki badawcze i testowe w Niemczech i Stanach Zjednoczonych, a może to, że instalacja, choć położona na greckiej Krecie i dowodzona przez greckiego generała, nie podlega siłom zbrojnym tego kraju, lecz NATO, i że działa częściowo jako baza wojskowa, a częściowo jako placówka usługowa. Jeśli chodzi o kwestie bezpieczeństwa, to wystarczyło podanie nu-

merów paszportu i dowodu osobistego oraz informacji, dla kogo pracuję. Oczekiwanie na zgodę trwało około tygodnia, a greccy gospodarze przedstawili do wyboru kilka terminów i obiecali pokazanie najważniejszych obiektów: sztabu, stanowisk ogniowych wraz z centrum kontroli strzelań i zaplecza koszarowego.

TRÓJNARODOWE „JOINT VENTURE”

„Jestem dowódcą, owszem, ale jestem i prezesem firmy”, mówi gen. dyw. Lazaros Skylakis, 54-letni dziś oficer, rozsia-



dając się w skórzanym fotelu. Wykształcony na Uniwersytecie Arystotelesa w Salonikach, miłośnik historii z dyplomem archeologa, nie wydaje się typowym artylerzystą, na co wskazywałyby jego dystynkcje. Nienaganną angielszczyzną tak tłumaczy rolę dowodzonej przez siebie jednostki: „Jesteśmy usługodawcą na potrzeby krajów założycieli, całego NATO, a nawet państw spoza sojuszu, które uzyskają zgodę Komitetu Wojskowego na przeprowadzenie ćwiczeń. Dysponujemy poligonem i jego pełnym zapleczem, a od niedawna także centrum ewaluacyjnym NATO. Pozwala ono nie tylko sprawdzić, ale i ocenić wyszkolenie pododdziałów raketowych”.

NAMFI w zeszłym roku obchodziło 50-lecie istnienia, ale to w ostatniej dekadzie nastąpiły zmiany, które sprawiły, że poligon przekształcił się w miejsce testowania i oceniania najbardziej potrzebnych zdolności bojowych sojuszu: obrony antybalistycznej, prowadzenia operacji połączonych i interoperacyjności sił koalicyjnych. Obecnie tylko emblemat NAMFI, z dobrze znaną zainteresowanym tematem sylwetką dwustopniowego systemu raketowego obrony powietrznej Nike-Hercules, przypomina, że kretańska instalacja pamięta czasy zimnej wojny.

NAMFI powołano do życia w 1964 roku w wyniku umowy międzyrządowej zawartej przez Republikę Federalną Niemiec, Holandię i Grecję. Do dziś te kraje mają uprzywilejowany status w użytkowaniu poligonu i korzystają z niego bezpłatnie w ramach ustalanego corocznie budżetu, który zresztą, jak na tak rozległą instalację, wcale nie wydaje się duży – wynosi 8 mln euro. Inne kraje NATO mogą przeprowadzać ćwiczenia odpłatnie, po uzgodnieniu z jego właścicielami, a kraje spoza sojuszu – po uprzedniej zgodzie władz wojskowych. Administracyjnie poligon podlega bezpośrednio Sztabowi Generalnemu Narodowych Sił Obronnych Grecji, lecz za kwestie taktyczne związane z ćwiczeniami raketowymi i ewaluacją odpowiada Naczelne Dowództwo Sojuszniczych Sił Europy (Supreme Headquarters Allied Powers Europe – SHAPE). Jego załogę stanowią żołnierze sił zbrojnych Grecji, przy czym pochodzą z wszystkich ich rodzajów. Optyczna przewaga lotników na terenie kwatery głównej bierze się z jej bezpośredniego sąsiedztwa ze sztabem 115 Skrzydła Lotnictwa Bojowego.

Bliskość portu lotniczego mogącego przyjmować największe transportowce oraz komercyjnego i wojskowego portu w pobliższej zatoce Suda sprawiają, że dostarczenie sprzętu drogą morską jest łatwe, a załogi mogą przylecieć wprost na ćwiczenia kilka dni przed nimi. W czasie mojej wizyty z NAMFI właśnie „związali się” Niemcy i Amerykanie, którzy we wrześniu i październiku przeprowadzali manewry „Rapid Arrow”. W koszarach natomiast już kręcili się Holendrzy, którzy za kilka dni mieli zacząć własne. Gen. Skylakisa od razu zapytałem o koszty, bo Polska za kilka lat będzie zainteresowana wzięciem udziału w sojuszniczych ćwiczeniach antyraketowych albo nawet sama zdecyduje się je przeprowadzić. Polski poligon koło Ustki pozwala na próby jedynie w bliskim zasięgu, więc na dalsze strzelania będziemy musieli szukać bardziej dogodnych lokalizacji. Generał utrzymuje, że kretańska instalacja jest cenowo bezkonkurencyjna. „Wszystko zależy od obszaru przestrzeni powietrznej, jaką musimy zamknąć na czas strzelań, i stopnia ich skomplikowania. Oczywiście strzelania antybalistyczne są najdroższe. Ale ogólnie koszty wynajęcia poligonu to od 20 do 50 tys. euro dziennie. Dodam, że pierwsze strzelanie dla nowego klienta



MAREK ŚWIERCZYŃSKI (3)

jest tańsze”, wyjaśnia. Nie musiał zaznaczać, że raczej nie ma problemu z pogodą.

KAŻDY MA SVOJE CELE

Poligon na kretańskim półwyspie Akrotiri jest położony w taki sposób, że odpalane z niego rakiety lecą głównie na północ i północny wschód. Zależnie od ich zasięgu i liczby jednocześnie zwalczanych na ćwiczeniach celów, istnieje potrzeba wyłączania z ruchu lotniczego i morskiego znacznych obszarów przestrzeni powietrznej i morza. Sztabowcy NAMFI podzielili Morze Egejskie i niebo nad nim – na północ od Krety – na trzy obszary: Alpha, Bravo i Charlie. Łącznie tworzą one prostokąt o podstawie 167 km i wysokości 87 km, sięgający na północ prawie do Santorini, a na wschodzie wychodzący kilkadziesiąt kilometrów poza Kretę.

Jak mówi gen. Skylakis, wszystkie trzy obszary rzadko trzeba wyłączać jednocześnie – tylko na ćwiczenia antybalistyczne i najbardziej wymagające lotnicze. Nawet jednak najbliższy obszar, Alpha, obejmuje swoim zasięgiem podejścia do dwóch cywilnych lotnisk Krety, w Chanii i Heraklionie. Dlatego kluczową kwestią jest dozór przestrzeni powietrznej. W NAMFI służy do tego aż pięć radarów Decca/Siemens AR-51, trzy w bezpośrednim sąsiedztwie poligonu (Stavros, Traopida, Drapano), jeden dalej – na wschodzie wyspy w pobliżu lotniska w Heraklionie (Vasiliko), i jeden umieszczony na wyspie Santorini. Obrotowe anteny radarów są zamknięte obecnie w kuliastych kopułach. AR-51 to modyfikacja powszechnych w zachodniej Europie radarów AR-5, używanych do kontroli przestrzeni powietrznej. Mają zasięg 60 Mm, czyli ponad 110 km.

Sercem NAMFI są stanowiska startowe systemów raketowych obrony powietrznej. Gdy odwiedzałem poligon, były jeszcze widoczne czarne od sadzy miejsca odpalenia niemieckich patriotów. Dla systemów średniego zasięgu jest przygotowanych siedem płaszczyzn startowych, samobieżne systemy SHORAD mogą zajmować dowolne miejsce na wyznaczonym obszarze, a operatorom systemów bliskiego zasięgu typu MANPADS pozwala się zajmować stanowiska ogniowe nawet poza ogrodzeniem poligonu od strony morza. Wszystko zależy od scenariusza ćwiczeń i wszystko jest możliwe, oczywiście z uwzględnieniem ograniczeń dotyczących bezpieczeństwa, mówią mi greccy gospodarze. „Niemcy przeprowadzili właśnie najbardziej intensywne strzelania od lat. Używali jednocześnie sześciu wyrzutni Patriot, zarówno PAC-2, jak i PAC-3. Wystrzelili w sumie 40 pocisków”, opowiada mjr Emmanoulis Frigidakis, szef operacji NAMFI.

Z głównej części poligonu nie widać znajdującego się w odległości około 5 km, za najwyższym na półwyspie Akrotiri



Gen. dyw. Lazaros Skylakis: „Jesteśmy usługodawcą na potrzeby krajów sojuszników, całego NATO, a nawet państw spoza sojuszu, które uzyskują zgodę Komitetu Wojskowego na przeprowadzenie ćwiczeń.”

wzniesieniem, stanowiska startowego dla dronów-celów. NAMFI nie zapewnia swoim klientom ćwiczebnych bezzałogowców, ale pośredniczy w kontaktach z komercyjnymi firmami, mającymi odpowiednie certyfikaty. Na liście zaakceptowanych przez poligon dostawców jest siedem firm, oferujących 15 rodzajów dronów, z których część jest magazynowana na miejscu, na potrzeby krajów głównych użytkowników. Certyfikacja celów musi uwzględniać unijne regulacje ochrony środowiska, dlatego np. jest zabronione używanie konstrukcji na paliwo ciekłe, mogące zanieczyścić wody Morza Egejskiego. Konsekwencją strzałów antybalistycznych jest nieużywanie powszechnie stosowanych jako cele w USA taktycznych pocisków balistycznych Lance, których paliwem jest silnie toksyczna hydrazyna, utleniana równie niebezpiecznym kwasem azotowym. Z oczywistych powodów to właśnie antybalistyczne strzelanie interesowały mnie najbardziej w rozmowie z gen. Skylakisem. Z trudem potrafiłem sobie wyobrazić użycie rakiet balistycznych jako celów dla patriotów nad ruchliwym akwenem i w pobliżu korytarzy pasażerskiego ruchu lotniczego. Generał wyjaśnił, że cele balistyczne dostarcza firma amerykańska, a ich konstrukcja składa się z raketowego boosteru na paliwo stałe i imitacji głowicy, wraz ze środkami pozoracyjnymi, umożliwiającą dobór charakterystyki jej odbicia radiolokacyjnego widocznego na radarze.

BALISTYCZNY ARCHIPELAG

Strzelania balistyczne na NAMFI są prowadzone... z sąsiedniego archipelagu. Na niewielkiej wyspce Makra, położonej na południowy wschód od Santorini, mieści się wyrzutnia celów, skomunikowana radiowo ze stanowiskami ogniowymi na Krecie. Od wyrzutni systemów antyrakietowych dzieli ją 160 km morza. Przechwycenia przy użyciu systemów Patriot mają miejsce – jak twierdzą Grecy – mniej więcej w połowie tego dystansu, na pułapie około 60 km. Gen. Skylakis zastrzega jednak, że właścicielami danych o scenariuszach ćwiczeń i wynikach testów są przeprowadzające je siły zbrojne, a on nie ma ani zgody, ani chęci, by szczegółowo o nich opowiadać. „Obrona antyrakietowa jest jednym z najściślej chronionych rodzajów zdolności obronnych”, uciną moją natarczywość. Oczywiście ze względu na pułap i odległość wyniki strzałów są widoczne tylko na ekranie radaru. W przypadku systemów bliskiego zasięgu, jak Stinger czy Roland, które są częstymi „gośćmi” w NAMFI – zniszczenie celów jest widoczne gołym okiem. Poligon ma w tym celu przygotowane dwa stanowiska obserwacyjne: jedno dla wojskowych VIP-ów, przypominające salę kinową, drugie dla fotografów profesjonalnych i amatorów, którzy przyjeżdżają obserwować ćwiczenia razem z rodzinnymi pododdziałami.

NAMFI to jednak nie tylko testowanie systemów naziemnej obrony powietrznej. Poligon jest przystosowany do wykonywania zadań ogniowych woda–woda, powierzchnia–woda, powietrze–woda, powietrze–powietrze, woda–powietrze oraz ćwiczeń z rozpoznania, interoperacyjności, wymiany danych itp. Testuje się na nim oprócz patriotów, stingerów i rolandów również takie systemy uzbrojenia, jak Hawk, Crotale, Tor-M1, AMRAAM/NASAMS, SM-2, Mica, Magic, Rapier, Mistral, Aster-15, Exocet, Hellfire i wiele innych. Greckie siły zbrojne miały unikatową możliwość przetestowania na NAMFI amerykańskiego systemu Patriot i rosyjskiego S-300. Strzelanie takie odbyło się w grudniu 2013 roku. Nie mogłem na koniec nie zapytać gen. Skylakisa o to, który z nich – jego zdaniem – okazał się lepszy. Odpowiedź była dyplomatyczna: „Sam system, nawet najlepszy, jest nic nie wart, jeśli nie towarzyszy mu odpowiednie zaplecze i nie obsługują go doskonale wyszkoleni żołnierze. Nie jest tajemnicą, że w wypadku S-300 jest problem z dostępem do części. Szkoleń też nie odbywamy tak często, jak byśmy chcieli, z przyczyn finansowych. Ale oba systemy, w rękach dobrze wyszkolonych załóg, są pewną bronią”.

NAJTAŃSZY HOTEL NA KRECIE

Gospodarze NAMFI nie byłiby sobą, gdyby nie wspomnieli, że ich poligon, prawdopodobnie jako jedyny, dysponuje własną plażą i świeżo wyremontowanymi koszarami, w których mieści się tysiąc żołnierzy. Śpią nie w wieloosobowych barakach, lecz w dwuosobowych pokojach o standardzie przyzwoitego hostelu. Dla oficerów przeznaczono eleganckie bungalowy z wygodnymi pokojami z łazienkami i kuchniami. Pobyt w takim wojskowym hotelu jest płatny, ale to najprawdopodobniej najtańsze zakwaterowanie tej klasy dostępne na wyspie: doba kosztuje 18 euro. Żołnierze mają do dyspozycji stołówkę, klub, kino i siłownię, która niebawem będzie rozbudowywana z uwagi na zwiększone zainteresowanie Amerykanów.

„Navy SEALs ćwiczą na potęgę i czasem brakuje miejsca”, tłumaczy mjr Frigidakis. „Zdarza się, że nasz obiekt koszarowy jest wypełniony w 98%, a wtedy na siłowni jest tłok”. Wypokreślonych młodych ludzi mówiących z amerykańskim akcentem można codziennie spotkać na uliczkach pobliskiej Chani, a rozkład lotów globemasterów widniejący na internetowej stronie Naval Support Activity Souda Bay świadczy, że to jedno z najczęściej odwiedzanych przez siły USA miejsc na Morzu Śródziemnym. Być może powinni tu zajrzeć i Polacy. ■

MAREK ŚWIERCZYŃSKI JEST STARSZYM ANALITYKIEM DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA W POLITYKA INSIGHT.

Zgodnie z zapowiedziami, które pojawiły się już na początku 2014 roku, w Hiszpanii rozpoczęła się kolejna wielka restrukturyzacja sił zbrojnych, powiązana z ograniczeniem wydatków na obronę. W jej wyniku ma być zmniejszona liczebność armii. Według oficjalnych informacji rządowych z 1 września 2015 roku w służbie czynnej pozostawało 122 tys. żołnierzy, z których 77,5 tys. wchodziło w skład wojsk lądowych. W hiszpańskich mediach podano, że w ciągu pięciu lat liczba wojskowych zostanie ograniczona do 70 tys.

Duże zmiany dokonają się właśnie w wojskach lądowych, gdzie zamiast dziesięciu brygad bojowych będzie ich osiem. Jednocześnie jednostki te czeka reorganizacja. Pomimo nowego nazewnictwa

operacyjne, usprawnienie procesów szkolenia i przygotowanie sił do misji zewnętrznych.

BRYGADA WIELOZADANIOWA

Szczegóły nowej struktury zawiera decyzja ministra obrony (DEF/1265/2015) z 29 czerwca 2015 roku. Po poprzedniej reorganizacji hiszpańskie wojska operacyjne zachowały dziesięć brygad. W zgrupowaniu sił ciężkich oprócz brygad dawniej DZ Brunete znalazły się brygada kawalerii i pułk kawalerii pancernej. Zgrupowanie sił lekkich (Fuerzas Ligeras) stworzono z czterech brygad (jedna spadochronowa) oraz Szefostwa Oddziałów Górskich. Jedna brygada lekkiej piechoty pozostała podporządkowana Dowództwu Wysp Kanaryjskich. Poza tym równowartość

TADEUSZ WRÓBEL

Droga do uniwersalności

Hiszpania postanowiła znowu zmniejszyć liczebność swoich wojsk lądowych.

stwa i dążenia do uniwersalności nie zniknie całkowicie podział na jednostki ciężkie i lekkie.

To już kolejna restrukturyzacja w ciągu dziesięciu lat. Poprzednią przeprowadzono w latach 2006–2009. Wtedy rozformowano m.in. jedyną dywizję zmechanizowaną (DZ), a jej brygady włączono do zgrupowania określonego jako siły ciężkie (Fuerzas Pesadas). W sumie zlikwidowano wówczas 33 jednostki wojskowe, w tym 20 batalionów. Równocześnie powstało 20 nowych jednostek. Nieskrywanym celem przemian w hiszpańskich wojskach lądowych było wówczas zmniejszenie ich liczebności. Jednak przedstawiciele resortu obrony podkreślają, że najgłębsza od 20 lat restrukturyzacja wynika nie tylko z powodów ekonomicznych. Wskazuje się na potrzeby



dwóch brygad stanowiły garnizony w Ceucie i Melilli, hiszpańskich enklawach na wybrzeżu Maroka.

W wyniku rozpoczętej reorganizacji rozformowane zostaną trzy z dziesięciu brygad. Znikną II Brygada Kawalerii „Castillejos” z Saragossy, V Brygada Lekkiej Piechoty „San Marcial” z Vitorii oraz Szefostwo Oddziałów Górskich z Jacy. Przetrwają zaś wszystkie wchodzące w ich skład pułki piechoty, artylerii i kawalerii. Takie rozwiązanie jest możliwe m.in. dlatego, że w Saragossie zostanie sformowana I Brygada „Aragón”. Tym samym w hiszpańskich wojskach lądowych będzie osiem brygad. Zrestrukturyzowaną jednostkę określono jako wielozadaniową. W publikacjach hiszpańskich pojawiają się dwie nazwy – brigada operativa polivalente lub brigada organica polivalente (BOP). Formacje te mają być liczniejsze (5 tys. żołnierzy) od obecnych, ale nie będą

jednakowe. Istotne różnice dotyczą zarówno ich struktur organizacyjnych, jak i uzbrojenia. BOP są uważane za załączek przyszłych połączonych sił operacyjnych, w których składzie znajdą się jednostki wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Zreorganizowane brygady mają być przygotowane do działań zarówno w konfliktach hybrydowych, asymetrycznych, jak i konwencjonalnych o różnych poziomach intensywności.

Dowództwo Aragónu powstanie na bazie sztabu brygady kawalerii. Jednostce zostanie podporządkowany 4 Pułk Lekkiej Kawalerii Pancernej „Pavia”, przeformowany w 4 Pułk Pancerny „Pavia”. Jego I/4 Grupa Lekkiej Kawalerii Pancernej „Húsares de la Princesa” zostanie z kolei pozbawiona przymiotnika „lekka”, bowiem będzie uzbrojona w czołgi Leopard 2A6 oraz kołowe wozy bojowe VEC (Vehículo de Exploración de Caballero) 6x6. Te ostatnie w przyszłości ma- ➔





W CZASACH OBOWIĄZKOWEJ SŁUŻBY WOJSKOWEJ HISZPAŃSKIE WOJSKA LĄDOWE LICZYŁY ĆWIERĆ MILIONA ŻOŁNIERZY

ją być zastąpione przez nową generację kołowych wozy bojowe VCR (Vehículo de Combate de Ruedas) 8x8. W Aragónie znajdzie się jeszcze „kawalerski” 20 Pułk Artylerii Polowej.

Grupy kawalerii pancernej będą też w strukturach dwóch obecnych brygad zmechanizowanych, które wraz z batalionami czołgów utworzą pułki pancerne. W tym przypadku załóżką dla nich będą szwadrony przeniesione z 12 Pułku Kawalerii Rozpoznawczej „Farnesio” z Valladolid, dotąd będącego w składzie sił ciężkich. Jednak sam pułk po restrukturyzacji przetrwa i zostanie podporządkowany VII Brygadzie „Galicia”.

Część batalionów piechoty lekkiej (m.in. dwa spadochronowe, określane ze względu na tradycję, podobnie jak jednostki Legii, jako bandery) i dwa zmechanizowane zostaną zreorganizowane w jednostki wyposażone w kołowe pojazdy opancerzone. Nową formację nazwano batalionem piechoty chronionej (batallón de infantería protegida – BIP). W przyszłości wszystkie mają dostać VCR. Według informacji sprzed kilku miesięcy, Hiszpanie postawili oferentom warunek, że pojazd musi być produkowany w ich kraju. Za faworyta przetargu uchodzi piranha V, gdyż firma General Dynamics European Land Systems jest obecna w Hiszpanii (w Madrycie ma główną siedzibę w Europie). Dostawy VCR mają się rozpocząć w 2018 roku. Zanim to nastąpi, BEP muszą zadowolić się starymi transporterami BMR 600 oraz nowszymi pojazdami opancerzonymi lekkimi Lince i minoodpornymi RG-31 Nyala. Reorganizowane w BIP jednostki zmechanizowane będą używać transporterów gąsienicowych M113. Niektóre bataliony piechoty lekkiej mają się stać jednostkami piechoty zmotoryzowanej (batallón de infantería motorizada – BIM).

Po zmianach w skład dawnych brygad zmechanizowanych wejdą po trzy bataliony piechoty (zmechanizowanej, ochronnej i zmotoryzowanej) oraz batalion czołgów i grupa kawalerii pancernej.

Nie ma informacji o tym, by została zmniejszona liczba batalionów czołgów (są cztery) czy też o przekazaniu jednego z dwóch z XII Brygady Pancernej „Guadarrama” do I Brygady „Aragón”. Zarówno ona, jak i Extremadura, Guzmán el Bueno i Guadarrama znajdują się w składzie Dywizji „San Marcial”.

Brygady Almogávares, Rey Alfonso XIII i Galicia zostaną podporządkowane Dywizji „Castillejos”. W każdej będą dwa BIP (tak samo będzie w brygadzie na Wyspach Kanaryjskich). Trzeci batalion piechoty zachowa charakter jednostki lekkiej. Dwie z nich będą miały pułk kawalerii z pojazdami kołowymi Centauro i VEC.

CIECIE WSPARCIA

Dużą zmianą jest wzrost znaczenia wojsk specjalnych. Dowództwo Operacji Specjalnych działa w ramach wojsk lądowych, są mu podporządkowane trzy grupy operacji specjalnych: Caballero Legionario Maderal de Oleaga XIX, Valencia III i Tercio del Ampurdán IV. Ogółem dowództwo liczy 800 ludzi. W mediach pojawiły się informacje o planach utworzenia czwartej grupy – Granada II (nazwą nawiązuje do grupy Granada-Santa Fe II, istniejącej w latach 1985–1998) oraz kompanii wsparcia działań specjalnych w niektórych pułkach piechoty. Poza tym ma powstać Dowództwo Połączone Operacji Specjalnych (Mando Conjunto de Operaciones Especiales) jako część Dowództwa Operacyjnego, oba zaś będą elementem Sztabu Generalnego Obrony.

Restrukturyzując wojska lądowe, Hiszpanie starają się oszczędzać jednostki bojowe. Tyle szczęścia nie mają jednak siły wsparcia. Zlikwidowany zostanie jeden z pułków podległych Dowództwu Artylerii Polowej. Jeszcze większe cięcia przewidziano w łączności – rozwiązanie aż trzech z pięciu pułków. Hiszpanie doszli do wniosku, że pozwala na to coraz nowocześniejszy sprzęt. Podobny los czeka dwa z pięciu pułków podległych Dowództwu Artylerii Przeciwlotniczej. Zlikwidowaniu ulegnie 71 Pułk z Madrytu i 81 Pułk z Marines. Obie jednostki mają w uzbrojeniu podwójne armaty przeciwlotnicze Oerlikon kalibru 35 mm. Madrycki pułk dysponuje jeszcze wyrzutniami rakiet Mistral, a ten z Marines – mobilnymi zestawami Roland. Możliwe, że część tego uzbrojenia będzie wykorzystana do wzmocnienia obrony przeciwlotniczej na szczeblu brygady. Wszak armaty pozostają groźną bronią dla śmigłowców i dronów.

► Pełna struktura hiszpańskich wojsk lądowych w internetowej wersji artykułu na portalu polska-zbrojna.pl



**Forum Bezpieczeństwa
Morskiego Państwa**

**14 stycznia 2016
Warszawa, Hotel Novotel Airport**

**szczegółowe informacje:
www.fbm.ztw.pl**



COLLEGE LIDERÓW

Z Januszem Bojarskim

o przygotowaniach do szczytu sojuszu północnoatlantyckiego w Warszawie i zadaniach Akademii Obrony NATO w Rzymie rozmawiają Magdalena Kowalska-Sendek i Tadeusz Wróbel.

Jest Pan pierwszym Polakiem, który stanął na czele najważniejszej natowskiej uczelni. Jaka rolę w sojuszu odgrywa NATO Defense College?

Podstawowym zadaniem Akademii Obrony NATO w Rzymie jest przygotowywanie oficerów, pracowników cywilnej administracji państwowej oraz dyplomatów do pracy w strukturach sojuszu północnoatlantyckiego. Niemal wszyscy nasi absolwenci zajmują stanowiska w NATO, Unii Europejskiej lub innych organizacjach międzynarodowych. Są ministrami obrony, szefami sztabów generalnych, doradcami i asystentami dowódców strategicznych, pracują w sztabach międzynarodowych, przygotowują ważne decyzje dotyczące operacji sojuszniczych, zajmują wysokie stanowiska w administracji rządowej i dyplomacji.

Jako główny ośrodek akademicki NATO oferujemy edukację na poziomie strategicznym. Prowadzimy studia i badania dotyczące zagadnień związanych z bezpieczeństwem międzynarodowym. Istotną dziedziną jest analiza współczesnych zagrożeń oraz perspektywy transformacji NATO. Utrzymujemy współpracę z podobnymi uczelniami na świecie, wspierając państwa partnerskie. Ostatnio np. rozwijamy program dla Ukrainy – wspieramy ich w reformie szkolnictwa wojskowego.

Jakie relacje łączą NDC z Kwaterą Główną NATO?

Szkola utrzymuje silne więzi z Komitetem Wojskowym NATO, a jego przewodniczący jest moim bezpośrednim przełożonym. Kieruje on także Akademicką Radą Doradczą NDC, która określa kierunki rozwoju uczelni oraz udziela rekomendacji odnośnie do programów edukacyjnych. Do moich obowiązków należy składanie rocznego meldunku z działalności uczelni w czasie posiedzenia Komitetu Wojskowego NATO. Z formalnego punktu widzenia moja praca jako komendanta jest oceniana i podlega akceptacji 28 przedstawicieli wojskowych państw sojuszu w Brukseli. Uczelnia utrzymuje kontakty z Międzynarodowym Sztabem Wojskowym, zwłaszcza

w kwestii aktualizacji programów nauczania oraz programów badawczych. Nasi absolwenci wkrótce trafią do pracy w strukturach międzynarodowych, musimy więc oferować im studia o tematyce pokrywającej się z aktualnymi problemami, którymi zajmuje się NATO.

Kto może zostać studentem NDC?

Organizujemy kursy dla wyższej kadry dowódczej, generałów dwu- i trzygwiazdkowych, ambasadorów z państw NATO oraz państw partnerskich. Uczestnikami naszych zajęć są również parlamentarzyści zasiadający w komisjach obrony. Mamy interesującą ofertę szkoleniową dla wysokich przedstawicieli administracji rządowej i wojska z państw Bliskiego Wschodu.

W jakim systemie kształcą się studenci? Czego uczą się podczas zajęć?

Organizujemy dwa sześciomiesięczne kursy, tzw. senior course, w ciągu roku. W każdej edycji uczestniczy około 80 osób. Zwracamy uwagę na skład poszczególnych grup, bo muszą się w nich znaleźć przedstawiciele sił zbrojnych poszczególnych krajów, ale również instytucji cywilnych NATO i państw partnerskich. Tworzymy zróżnicowane, również kulturowo, środowisko. Zachęcamy studentów do unikania poprawności politycznej i prezentowania wyłącznie stanowisk zgodnych z oficjalnym stanowiskiem ich państw. Budowanie konsensusu w takich grupach to czasami wielkie wyzwanie, ale to jedyny sposób na naukę tolerancji. Nasi oficerowie, pracując w strukturach NATO, zwłaszcza uczestnicząc w operacjach sojuszniczych, będą bardzo często spotykać się z takimi problemami. Na zakończenie każdego kursu organizujemy ćwiczenia reagowania kryzysowego. Studenci mają możliwość sprawdzić praktycznie, jak funkcjonują procedury reagowania kryzysowego, które obowiązują w NATO oraz innych organizacjach międzynarodowych.

Studia w NDC to nie tylko wykłady...

Z pewnością największą atrakcją naszego programu akademickiego są podróże studyjne, tzw. field studies. Obejmują one znaczną część naszego programu nauczania. Studenci odwiedzają państwa europejskie, Stany Zjednoczone, ale również inne kraje wybranego regionu świata. W grudniu wybieramy się na Bliski Wschód. Celem tych podróży jest zapoznanie się z polityką obronną i strategią bezpieczeństwa odwiedzanych krajów.

Od sześciu lat Akademia prowadzi także studia dotyczące Bliskiego Wschodu.

Decyzja o utworzeniu Wydziału Studiów Bliskiego Wschodu w NDC zapadła podczas szczytu NATO w 2008 roku w Bukareszcie. To oferta głównie dla krajów Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Dziesięcioletni kurs jest prowadzony w języku angielskim, francuskim i arabskim. To kurs unikatowy, pozwalający na spotkania przedstawicieli państw, które czasami mają duże problemy z utrzymaniem dialogu na poziomie politycznym lub normalnych stosunków dyplomatycznych.

Bliski Wschód i Afryka Północna sąsiadują z NATO, a czy u was są studenci z odległych regionów świata?

Oczywiście, np. z Pakistanu, Japonii, Korei Południowej, Australii, Jordanii. Kontynuujemy współpracę z uczelniami wojskowymi w Chinach. Mamy dużą swobodę w nawiązywaniu kontaktów z przedstawicielami innych państw. Często mówimy, że „nasza uczelnia jest otwartym oknem sojuszu północnoatlantyckiego na cały świat”. Jest w tym dużo prawdy, jeśli zwrócimy uwagę na to, że dzisiaj w uczelni mamy studentów reprezentujących prawie 50 państw. Jesteśmy prawdopodobnie jedyną uczelnią w państwach NATO, która kształci przedstawicieli tylu różnych kultur.

Absolwentów NDC można już liczyć w tysiącach?

W przyszłym roku uczelnia będzie obchodziła 65. rocznicę istnienia. To wystarczająco dużo czasu, by z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że przyjęta w NDC formuła kształcenia doskonale się sprawdza. Dotychczas kurs podstawowy ukończyło ponad 7 tys. osób.

W jakim stopniu uczelnia zaangażowała się w przygotowanie szczytu NATO, który odbędzie się w przyszłym roku w Warszawie?

Akademia Obrony NATO została włączona w cykl przygotowań do szczytu warszawskiego sojuszu. Wiosną zaczęliśmy od zorganizowania konferencji poświęconej problematyce wojny hybrydowej. W spotkaniu wzięło udział ponad 300 przedstawicieli niemal z całego świata. Uczestniczyli w nim eksperci z Ukrainy i Gruzji, Bliskiego Wschodu oraz struktur dowodzenia NATO. Ponadto uczelnia pracuje nad kilkoma projektami dotyczącymi agendy szczytu w Warszawie. Studenci zebrani w dwóch niezależnych od siebie grupach seminaryjnych przygotowują jej własną wersję, niezależną od prac prowadzonych w Komitecie →



WIZYTÓWKA

GEN. DYW. JANUSZ BOJARSKI



Jest od 25 lipca 2014 roku komendantem NATO Defense College w Rzymie. Wcześniej, od września 2010 roku do maja 2014 roku, był wojskowym przedstawicielem Polski przy NATO i Unii Europejskiej. W czasie długoletniej kariery wojskowej był m.in. szefem WSI, dyrektorem Departamentu Kadr MON oraz attaché obrony i lotniczym przy ambasadzie Polski w Waszyngtonie.

Wojskowym NATO w Brukseli. Tworzą własną koncepcję zagadnień, które powinny się znaleźć w agendzie szczytu. W końcu stycznia zakończymy projekty akademickie dotyczące koncepcji strategicznej NATO. Efekt naszej pracy przedstawimy podczas lutowej konferencji w Brukseli, w którą będzie zaangażowany Komitet Wojskowy NATO.

Co zatem powinno się znaleźć w agendzie szczytu?

Dużo uwagi w swoich debatach studenci poświęcają kwestiom związanym z artykułem 5 traktatu waszyngtońskiego. Ich zdaniem to właśnie zagadnienia dotyczące obrony kolektywnej powinny zdominować warszawski szczyt NATO. Państwa członkowskie sojuszu muszą się zastanowić nad rolą i efektywnością obecnej koncepcji strategicznej, zwłaszcza w aspekcie polityki odstraszania. W tworzonej przez nas agendzie szczytu powinna zostać poruszona problematyka nowych zagrożeń, m.in. wojny hybrydowej. Mocnym punktem w dyskusji w Warszawie powinna być także konieczność stworzenia nowej koncepcji strategicznej NATO. Być może ze względu na różnorodność zagrożeń będą potrzebne dwie odrębne strategie przeciwdziałania nowym wyzwaniom sojuszu.

Można się spodziewać, że państwa członkowskie sojuszu będą miały w tej kwestii różne opinie...

Niezależnie od rozbieżności, zgadzamy się z tym, że obecna koncepcja strategiczna powinna być zweryfikowana. W dokumencie mamy zapis, który mówi o małym zagrożeniu wystąpienia konfliktu o charakterze wojskowym. Wydarzenia z ostatnich miesięcy wyraźnie pokazują, że sytuacja znacząco się zmieniła. Sojusz podjął też konkretne działania, by przeciwdziałać militarnej agresji i udowodnić niezwykłą zdolność przystosowania się do nowych zagrożeń.

Łatwo jednak zauważyć, że kraje tworzące NATO inaczej postrzegają zagrożenia. Polacy widzą je przede wszystkim za wschodnią granicą. Dla krajów południowo-europejskich zagrożenie jest jednak identyfikowane głównie na Bliskim Wschodzie. Czy to może skomplikować stworzenie jednego, wspólnego dla wszystkich, dokumentu?

Różnorodność postrzegania zagrożeń w sojuszu jest sprawą naturalną. Dlatego pojawia się pytanie, czy NATO powinno mieć jedną czy dwie strategie działania. Osobne dokumenty dotyczące zagrożeń ze wschodu i z południa. Problemy, o których mówimy, są ważne chociażby ze względu na niebezpieczeństwa płynące z działalności Państwa Islamskiego i trudnej sytuacji na Bliskim Wschodzie. Wypracowanie wspólnego stanowiska i wspólnej strategii nie jest łatwe, jednakże taka sytu-

acja nie jest czymś zupełnie nowym dla NATO. Wierzę, że 28 państw, niezależnie od różnych interesów narodowych, potrafi stworzyć koncepcję, która byłaby dobra dla wszystkich. Proszę pamiętać, że sojusz w ostatnim roku udowodnił, że jest gotowy do działania. Mam na myśli budowanie środków bezpieczeństwa poprzez zwiększenie zdolności do prowadzenia szybkich operacji wojskowych – przygotowanie tzw. RAP-u [plan działań na rzecz gotowości – Readiness Action Plan], oraz utworzenie nowych struktur dowodzenia zdolnych do przyjęcia sił wzmocnienia w państwach Europy Środkowo-Wschodniej, w tym oczywiście w Polsce.

Czy wszystkie zagrożenia można przewidzieć?

Doświadczenia uczą, że nie. Pewne jest jednak to, że sojusz zidentyfikował już większość niebezpieczeństw i stara się na nie reagować, chociażby obecnością wojskową. Oznacza to, że zwiększamy zaangażowanie militarne w miejscach, w których to zagrożenie już występuje lub zaraz może się pojawić. Proszę pamiętać, że nie chodzi tu o sytuację, w której pancerna dywizja stanie na granicy jakiegoś państwa. Zagrożenia w dzisiejszych czasach pojawiają się znacznie wcześniej. To jest czasami trudne do zidentyfikowania, zwłaszcza gdy przyjrzymy się taktyce wojny hybrydowej.

Szczyt NATO to niejedyne wyzwanie dla rzymskiej akademii. Obejmując stanowisko, wymieniał Pan wśród swych celów dążenie do certyfikacji programów nauczania.

To rzeczywiście duże wyzwanie. W ubiegłym roku Międzynarodowy Sztab Wojskowy NATO przeprowadził kompleksowy przegląd celów NDC i zadań wykonywanych przez uczelnię. Powstał raport wskazujący, gdzie należy dokonać zmian. Państwa członkowskie sojuszu zdecydowały o zreformowaniu uczelni. Z mojego punktu widzenia najtrudniejsze jest stworzenie naszym studentom możliwości uzyskiwania kredytów akademickich pozwalających na otrzymywanie tytułów magisterskich. Realizacja tego projektu wymaga akredytacji naszych sześciomiesięcznych kursów przygotowujących do pracy w strukturach NATO zgodnie z wymogami „Procesu bolońskiego”. Nawiązaliśmy w tej sprawie bliską współpracę z King's College w Londynie oraz z Narodowym Uniwersytetem Obrony w Waszyngtonie. Po konsultacjach, które przeprowadziliśmy w ciągu ostatnich miesięcy, zamierzam przedstawić Komitetowi Wojskowemu NATO dwie opcje rozwiązania tego problemu. Jest to olbrzymie wyzwanie stojące przed całą uczelnią. Chciałbym, aby sprawa ta została załatwiona jeszcze w czasie mojej kadencji na stanowisku komendanta NDC, dlatego czeka nas bardzo dużo pracy. ■

KWARTALNIK
BELLONA

PRENUMERATA
ROCZNA:
4 WYDA-
NIA

ZAMÓW PRENUMERATĘ
NA 2016 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl

listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +48 261 840 400

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 100 zł do 15 stycznia 2016 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002



TOMASZ OTŁOWSKI

Taktyka zabijania

Najbliższe miesiące pokażą, czy tragedia w Paryżu stała się katalizatorem zmian w polityce głównych aktorów międzynarodowych wobec Państwa Islamskiego.

Krwawa, szokująco brutalna seria ataków terrorystycznych w Paryżu w piątkowy wieczór 13 listopada ponownie przypomniła Europejczykom, że wojujący, radykalny islam to nie tylko problem odległych geograficznie regionów świata. To jednak również przypomnienie o tym, że dalsze zwlekanie z faktycznym rozwiązaniem kwestii dotyczącej tzw. kalifatu i organizacji o nazwie Państwo Islamskie (IS) może się dla wolnego świata źle skończyć.

W odróżnieniu od wcześniejszych ataków terrorystycznych, przeprowadzonych pod szyldem IS w ostatnich kilkunastu mie-

siącach w Europie, mających w istocie charakter amatorski, ostatni zamach w stolicy Francji nosił wszelkie znamiona dobrze zaplanowanej akcji. Ta zaawansowana organizacyjnie i logistycznie operacja terrorystyczna została przygotowana i wykonana przez „zawodowców” – terrorystów o dużym poziomie wyszkolenia, doświadczenia i determinacji. To już nie były, podejmowane niemalże ad hoc, działania samotnych wilków lub małych grupiek ekstremistycznych – ludzi zafascynowanych ideologią dżihadu propagowaną przez IS, którzy postanowili czynem odpowiedzieć na wezwanie kalifa Ibrahima do walki



AFP PHOTO/JOEL SAGET/EAST NEWS

z niewiernymi. Analiza przebiegu ataków paryskich – będących w istocie jednym zamachem, choć rozłożonym na kilka równoczesnych, dramatycznych epizodów – nie pozostawia złudzeń: Państwo Islamskie zastosowało na ulicach stolicy Francji swoją najskuteczniejszą obecnie taktykę walki z pół bitewnych Syrii i Iraku. Taktykę polegającą na działaniu niewielkimi, najwyżej dziesięcioosobowymi grupami bojowymi, złożonymi z najbardziej doświadczonych militarnie i fanatycznych religijnie bojowników, doskonale uzbrojonych i bardzo często traktujących swe misje jako działania samobójcze.

Wyposażeni w nasobne ładunki wybuchowe (pasy szahida), ekstremiści tacy stają się prawdziwymi maszynami do zabijania i żywymi bombami, którym niestraszna jest perspektywa własnej śmierci i obce są wszelkie ludzkie uczucia. Grupy złożone z takich „kamikadze” sięgają dzisiaj spustoszenia na wszystkich frontach w Syrii i Iraku, na których walczą siły kalifatu, niezależnie od tego, czy znajdują się one akurat w ofensywie, czy też (ostatnio znacznie częściej) w obronie. To właśnie one sprawiają, że tak trudno – zarówno irackim szyitom, syryjskim siłom rządowym, jak i Kurdom w Iraku oraz Syrii – pokonać siły kalifatu, a każdy sukces musi być okupiony ciężkimi walkami i dużymi stratami.

Użycie takich regularnych grup uderzeniowych armii kalifatu w roli zamachowców w stolicy jednego z najważniejszych państw Europy to znak, że ich aktywność terrorystyczna na Zachodzie wchodzi w nowy etap, znacznie bardziej zaawansowany i niebezpieczny. Działania takich grup bardziej przypominają już bowiem akcje regularnej „partyzantki miejskiej” niż klasyczne operacje terrorystyczne, znane nam do tychczas.

Jakie to rodzi konsekwencje? W wymiarze najbardziej fundamentalnym, dotyczącym bezpieczeństwa państw i społeczeństw europejskich (a szerzej – zachodnich), niedobrym prognostykiem jest to, że przygotowania do tak zaawansowanej operacyjnie akcji terrorystycznej umknęły uwadze francuskich służb specjalnych, które nie zdołały wykryć przygotowań islamistów i zapobiec tragedii. A można mieć pewność, że organizatorzy paryskich ataków nie zaczęli planować ich tydzień czy dwa wcześniej.

Bardzo podobne do tych z Paryża zamachy w indyjskim Mumbaju w 2008 roku – firmowane przez Al-Kaidę, ale wykonane przez ekstremistów z pakistańskiej organizacji Laszkar-e-Taiba – były przygotowywane i planowane przez ponad rok i także nie ściągały uwagi służb żadnego z zainteresowanych państw. Fakt, że zamachowcom z Paryża udało się niezauważenie przygotować tak dużą akcję tuż pod nosem służb francuskich – należących wszak do jednych z najbardziej doświadczonych w Europie w zwalczaniu zagrożeń terrorystycznych w ogóle, a ze strony terroru islamskiego w szczególności – rodzi niezbyt optymistyczne wnioski co do faktycznego poziomu bezpieczeństwa krajów europejskich, w tym zwłaszcza Polski. A także organizacyjnych i logistycznych możliwości samych ekstremistów islamskich powiązanych z kalifatem. Jak wszystko na to wskazuje, operacyjne zdolności IS i jego komórek uplasowanych w poszczególnych państwach Europy Zachodniej rosną w szybkim tempie, co oznacza, że niestety można się spodziewać na Zachodzie kolejnych zamachów, podobnych swą skalą i charakterem do tych z Paryża.

EKSTREMISTYCZNY WYŚCIG

Zamach w stolicy Francji to także kolejny z licznych ostatnio dowodów na zasadność tezy, że Państwo Islamskie staje się niekwestionowanym liderem w wyścigu o dominującą pozycję w ruchu sunnickiego dżihadu, coraz wyraźniej deklasując Al-Kaidę. Rywalizacja między tymi dwoma głównymi nurtami islamskiego ekstremizmu sunnickiego niekoniecznie przyniesie jednak korzyści dla Zachodu – z każdym udanym atakiem dokonanych przez IS rośnie bowiem prawdopodobieństwo, że Al-Kaida też będzie chciała się „popisać” wła- ➔

sną spektakularną operacją terrorystyczną, co oznacza w istocie dalszy wzrost zagrożenia dla państw i społeczeństw zachodnich.

Skala zamachu w Paryżu – największego i najkrwawszego ataku terrorystycznego na Starym Kontynencie od ponad dekady – sprawia, że zmianie ulega także ogólna sytuacja w walce z islamskim ekstremizmem i terroryzmem. Na pierwsze miejsce wysuwa się tu oczywiście kwestia ograniczenia możliwości działania Państwa Islamskiego i likwidacja jego kalifatu na terenach Syrii i Iraku. Sytuacja strategiczna w regionie Lewantu sprawia tymczasem, że sukces tak skrojonej pod względem celów kampanii nie będzie możliwy bez zawarcia jakiejś formy taktycznego, doraźnego porozumienia z reżimem rządzącym wciąż w Syrii (lub raczej w tym, co z niej zostało po czterech latach wojny).

Bez wątpienia zbrodniczy i mający krew własnych obywateli na rękach rząd prezydenta Baszszara al-Asada coraz wyraźniej jawi się jako jeden z ważniejszych elementów regionalnej układanki sił, skutecznie powstrzymujących ekspansję Państwa Islamskiego. Ewentualny upadek władz w Damaszku wytworzyłby niebezpieczną próżnię, która z całą pewnością zostałaby szybko wypełniona przez kalifat – jako wciąż (pomimo koalicyjnych nalotów i walki na wielu frontach) najbardziej efektywną strukturą funkcjonującą na gruzach dawnej Syrii.

Czy zatem porozumienie z reżimem Al-Asada jest możliwe? Teoretycznie, jeśli Zachód (czyli USA i Europa) zdecyduje się na radykalną zmianę swej dotychczasowej polityki wobec kwestii syryjskiej, nie powinno być z tym problemów. Niestety, w praktyce jednak taka, niemalże całkowita zmiana strategii niesłaby ze sobą wiele konsekwencji ubocznych, trudnych (a nawet wręcz niemożliwych) do zaakceptowania dla wielu państw zachodnich. Takich, jak choćby konieczność reorientacji polityki wobec Iranu – największego dziś regionalnego sojusznika alawickiego rządu w Syrii, który wysłał już tysiące swych najlepszych żołnierzy do walki u boku syryjskich sił rządowych.

COŚ ZA COŚ

Faktycznej zmiany wymagałby także stosunek Zachodu do irańskich „proxies” (wojen zastępczych) w regionie, prowadzonych np. przez libański szyicki Hezbollah (dla przypomnienia: i UE, i USA uznają go za organizację terrorystyczną). Dzisiaj elitarne oddziały Partii Boga (ok. 10 tys. ludzi) walczą w Syrii po stronie sił rządowych, stanowiąc bardzo ważny element wsparcia reżimu Al-Asada, bez którego obecności powstrzymywanie IS byłoby w istocie niemożliwe. Trudno sobie wyobrazić, aby bojownicy Hezbollahu zniknęli nagle z pól bitewnych Syrii, aby nie narażać mocarstw zachodnich na moralny i polityczny dyskomfort. Z drugiej jednak strony jeszcze trudniej wyobrazić sobie sytuację, w której np. operatorzy sił specjalnych z państw zachodnich faktycznie współdziałają w polu z bojownikami Hezbollahu, wspólnie walcząc z kalifatem...

Jakby tego było mało, otwarcie się Zachodu na jakąś formę współdziałania z obecnym rządem Syrii musiałoby praktycz-

nie oznaczać również całkowity reset w jego relacjach z Rosją i to w każdym aspekcie wzajemnych relacji – od globalnej i regionalnej polityki międzynarodowej, przez kwestie ekonomiczne, po współpracę np. w eksploracji Kosmosu. Zresztą katalog życzeń wobec USA i Europy, czyli tego, co Moskwa chciałaby uzyskać w zamian za swój udział w szerokiej koalicji przeciwko IS, jest bardzo obszerny. Standardowo wymieniana swoboda działań Kremla na wschód od linii Bugu, zwłaszcza wobec Ukrainy, jest tylko niewielką jego częścią. Gdyby jednak Zachód – chcąc poprawić swoje bezpieczeństwo w związku z rosnącymi szybko zagrożeniami terrorystycznymi – na poważnie rozważał zawarcie z Rosją jakiegoś układu, który na czysto biznesowych zasadach określałby warunki takiej współpracy, byłoby to bardzo niebezpiecznym prognostykiem dla dalszego rozwoju sytuacji w naszej części świata. Skoro bowiem taki układ można zawrzeć w kontekście działań w dalekim Lewancie, kosztem np. bezpieczeństwa Ukrainy, to czemu kolejnym ustępstwem nie miałyby być bezpieczeństwo energetyczne państw Europy Środkowej, w tym Polski?

SCENARIUSZE NA PRZYSZŁOŚĆ

Nawet jednak i bez takich pesymistycznych scenariuszy perspektywy skutecznego zwalczenia zagrożenia ze strony Państwa Islamskiego rysują się mgliście. Kalifat skutecznie wykorzystuje sprzyjające mu realia geopolityczne, istniejące zarówno w samym regionie bliskowschodnim (konfrontacja szyicko-sunnicka i irańsko-saudyjska, napięcia na linii Turcja – Kurdowie itd.), jak i w skali ponadregionalnej. W tym ostatnim kontekście szczególnego znaczenia nabierają wciąż narastająca rywalizacja amerykańsko-rosyjska, coraz wyraźniejsze pęknięcie wewnątrz samej wspólnoty Zachodu (rozłam na linii USA – UE, wewnętrzne podziały społeczno-polityczne w Europie), a także ogólne słabnięcie oddziaływania zachodnich państw na bieg spraw światowych.

W takich niestabilnych i skomplikowanych geopolitycznie uwarunkowaniach islamskie państwo, powołane półtora roku temu w Lewancie przez IS, ma wbrew pozorom dużą swobodę działania. Na tyle dużą, że – jak widać – jest w stanie planować już i przeprowadzać duże operacje terrorystyczne w sercu Europy. Ta swoboda funkcjonowania IS istnieje nadal pomimo działań militarnych prowadzonych przeciwko niemu od dłuższego już czasu. W istocie bowiem ani koalicyjna operacja „Inherent Resolve” pod przywództwem USA, ani turecka kampania „Męczeńnik Yalçın”, ani rosyjskie zaangażowanie zbrojne w Lewancie nie przyczyniają się, jak na razie, do zmniejszenia możliwości i siły kalifatu, nie mówiąc o jego zniszczeniu.

Najbliższe miesiące pokażą zatem, czy tragedia w Paryżu stała się katalizatorem zmian w polityce głównych aktorów międzynarodowych wobec Państwa Islamskiego, czy też – jak już kilkakrotnie bywało – po okresie wzburzenia i wzmożonej retoryki wojennej na Zachodzie, sprawy globalnej wojny z terroryzmem powrócą jednak na dawne, utarte tory. Do następnego dużego zamachu. ■

**PAŃSTWO ISLAMSKIE
ZASTOSOWAŁO NA
ULICACH STOLICY
FRANCJI SWOJĄ
NAJSKUTECZNIEJSZĄ
OBECNIE TAKTYKĘ
WALKI Z PÓŁ
BITEWNYCH SYRII
I IRAKU**



KATARZYNA
GÓRAK-
-SOSNOWSKA

Granice reakcji

**ZACHODNIA INGERENCJA
MILITARNA NA BLISKIM
WSCHODZIE PRĘDZAJĄC
PÓŹNIEJ OBRACA SIĘ
PRZECIWKO ZACHODOWI**



DR HAB. KATARZYNA GÓRAK-SOSNOWSKA,
INSTYTUT FILOZOFII, SOCJOLOGII
I SOCJOLOGII EKONOMICZNEJ ORAZ
DZIEKANAT STUDIUM MAGISTERSKIEGO
SZKOŁY GŁÓWNEJ HANDLOWEJ
W WARSZAWIE

Wszyscy żyjemy od feralnego 13 listopada zamachem w Paryżu i jego konsekwencjami. Jesteśmy wstrząśnięci tym, co się wydarzyło. Solidaryzujemy się z paryżanami, a równocześnie zastanawiamy nad tym, jakie ta tragedia przyniesie zmiany. Liczymy się ograniczeniami wolności osobistych, czyli z ceną, jaką najpewniej będziemy musieli zapłacić za nasze bezpieczeństwo. Z nadzieją patrzymy na najnowszy, silniejszy atak sił francuskich i amerykańskich na pozycje Państwa Islamskiego. Uwagę naszą przykuwają strefa Schengen i zapowiedzi Francji, że rozprawi się z imamami głoszącymi w meczetach radykalne treści.

Czy zamach w Paryżu coś zmienił? Niewątpliwie tak. Odcisnął krwawe piętno na życiu kilkuset osób – zabitych i rannych, pozostawił trwały ślad w życiu ich najbliższych, a nami, zewnętrznymi obserwatorami, wstrząsnął. Ale czy przełoży się na coś więcej? Wątpię. Wynika to z co najmniej dwóch powodów.

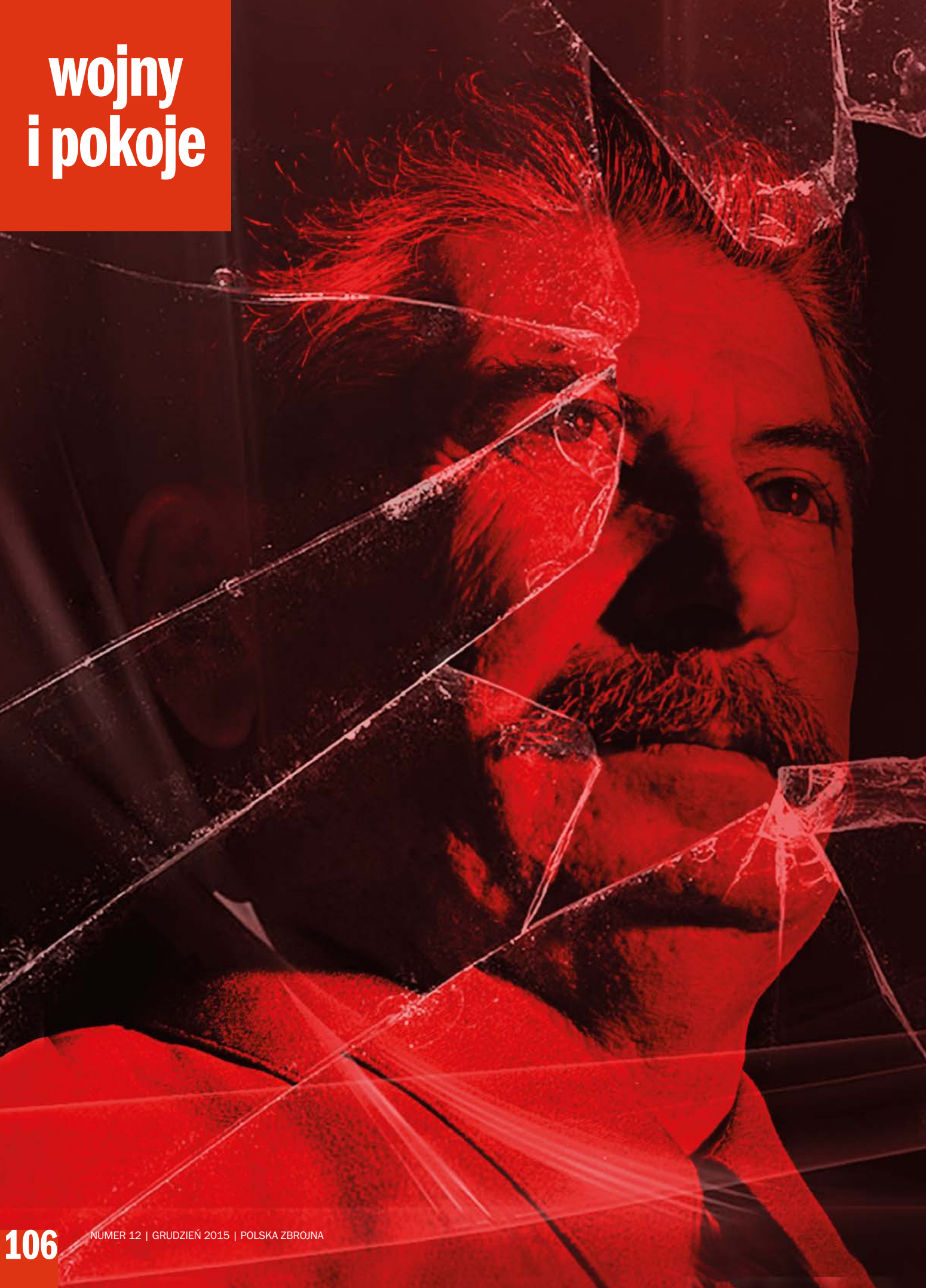
Pierwszym jest moc sprawcza. Nasze ingerencje militarne na Bliskim Wschodzie przynoszą zasadnicze zmiany i oplakane skutki. Gdyby nie amerykańska inwazja na Irak, być może nadal rządziłby Saddam Husajn, ale najpewniej nie doszłoby do powstania Państwa Islamskiego. Gdyby NATO nie wsparło rebeliantów walczących z Muammarem Kaddafim, być może i on nadal by sprawował władzę, a słowo „Libia” nie oznaczałoby wyłącznie miejsca na mapie. Gdyby siły zachodnie nie wspierały opozycji syryjskiej, być może uchowałby się Baszszar al-Asad i stawiał odpór ekstremistom motywowanym radykalnym islamem. Owszem, wszyscy trzej to zatwardziali dyktatorzy, ale przecież przez długie lata przyzymkaliśmy oko na to, co robią w swoich państwach. Warto także zupełnie pragmatycznie dodać, że żaden z nich nie wysyłał swoich bojowników, aby w Europie wysadzali się w powietrze.

W dużej mierze to nasza ingerencja wywróciła do góry nogami tamten porządek. Radykalne ugrupowania muzułmańskie z tego tytułu czerpią swoją siłę i legitymację do działań. Ale to, co mogą zrobić, to wyłącznie zaczepne działania „partyzanckie”, których celem jest wywołanie paniki i strachu. Co prawda zamachy z 11 września 2001 roku przełożyły się na zasadnicze zmiany w dziedzinie bezpieczeństwa wewnętrznego w Stanach Zjednoczonych, jednak znacznie większe skutki miała amerykańska reakcja poza granicami tego kraju – ukierunkowana na Afganistan, a potem na Irak.

Drugi powód ma charakter pragmatyczny. Uczymy się jednak poprzez doświadczenie. A to jednoznacznie pokazuje, że zachodnia ingerencja militarna na Bliskim Wschodzie prędzej czy później nie tylko obraca się przeciwko Zachodowi, lecz także przerasta wszelkie wyobrażalne negatywne skutki. W wypadku ingerencji lądowej na terenie samowłańczego kalifatu przewidywalną konsekwencją byłaby najpewniej kolejna czarna dziura – usunięcie Państwa Islamskiego, w miejsce którego prędzej czy później wyrosłoby coś jeszcze gorszego. Nic dziwnego, że nikt nie śpieszy się do wzięcia na swoje barki odpowiedzialności za ten kawałek Bliskiego Wschodu.

Nie inaczej będzie i w tym wypadku. O ile wszyscy, niezależnie od opcji politycznej czy ideologicznej, zgadzamy się, że sedno zachodniego problemu z ekstremizmem motywowanym religijnie znajduje się na Bliskim Wschodzie, o tyle nadal nikt nie ma pomysłu na jego rozwiązanie. Na razie wiemy jedynie, że dotychczasowe – stosowane przez kilkanaście ostatnich lat – rozwiązania się nie sprawdzają. Nie przybliżyło nas to jednak do wyjścia poza dualizm: islam – Zachód. Jedynym odczuwalnym w dalszej perspektywie skutkiem zamachu w Paryżu może być wygrana Frontu Narodowego we Francji.

wojny i pokoje



| XX WIEK |

JAKUB NAWROCKI

SZACH CZERWONEMU KRÓLOWI

Hitler przeżył ponad 40 zamachów. Co do Józefa Stalina, to wiadomo tylko o paru próbach zgładzenia tyrana.

Najwyżsi dygnitarze nazistowscy po klęsce wojsk niemieckich pod Stalingradem zaczęli rozważać możliwość likwidacji przywódcy Związku Radzieckiego. Wiedzieli, że cała władza państwowa spoczywa w jego rękach i to on praktycznie przewodzi koalicji alianckiej. Rozumieli, że po pozbyciu się dyktatora, w Rosji wybuchnie walka o władzę, a możliwość zawarcia separatystycznego pokoju z Wielką Brytanią oraz Stanami Zjednoczonymi będzie wtedy bardziej realna.

Pomysł ściśle tajnej operacji wywiadu III Rzeszy o kryptonimie „Szach czerwonemu królowi” powstał w październiku 1943 roku. Nazistowskie służby specjalne brały pod uwagę różne sposoby zabicia Stalina. Atak grup dywersyjnych czy komandosów został wykluczony. Zamachu mogła bowiem dokonać tylko osoba znajdująca się w bliskim otoczeniu despoty. Odpowiedniego do tej misji człowieka zaczęto poszukiwać wśród wziętych do niewoli byłych żołnierzy sowieckich.

Na przyszłego zabójcę wybrano byłego porucznika Armii Czerwonej – Piotra Szyłę. Niewiele dziś wiadomo o jego przeszłości. Pewne jest, że porzucił studia prawnicze i był poszukiwany przez policję za różne przestępstwa na tle finansowym. Ukrywając się, co najmniej dwa razy zmienił nazwisko, by stać się w końcu Piotrem Tawrinem.

W lipcu 1941 roku został zmobilizowany do Armii Czerwonej. Był dowódcą plutonu w 359 Dywizji Strzeleckiej 30 Armii. 31 maja 1942 roku zdezerterował i poddał się Niemcom. Zainteresowały się nim służby wywiadowcze III Rzeszy, widząc w Tawrinie potencjalnego agenta niemieckiego. Po bardzo dokładnej infiltracji w różnych obozach jenieckich na terenie Niemiec został w końcu wysłany do szkoły Abwehry w Austrii i na przełomie 1943 i 1944 roku przetransportowany na tereny dzisiejszej Łotwy. Oficjalnie Tawrina oddelegowano do 647 Grupy Policji Polowej w Kodymie pod Rygą, gdzie tak naprawdę mieścił się ośrodek szkolenia agentów przetrzucanych za radziecką linię frontu.

W wąskim gronie na szczytach władz nazistowskich szef wywiadu SS-Brigadeführer Walter Schellenberg zaproponował, by to Tawrin zamordował Stalina. Przedstawiono dwa warianty zamachu po przerzuceniu agenta za linię frontu. Pierwszy to akcja w trakcie jednego z nielicznych wystąpień radzieckiego wodza, na które Tawrin byłby wprowadzony przez działających w Moskwie agentów. Miałby zabić Stalina za pomocą broni palnej z zatrutymi nabojami – jednostrzałowym wiecznym piórem albo specjalnie skonstruowaną pancernownicą na bazie pancerfausta, odpalaną z ukrytej w ramieniu wyrzutni. Bardziej realna wydawała się akcja w trakcie przejazdu wodza z Kremla do osobistej dachy pod Moskwą, w Kuncewie. Niemieccy inżynierowie skonstruowali do tego zadania zdalnie sterowaną minę magnetyczną, która miała zniszczyć opancerzony wóz Stalina. Bronią posiłkową miała być wspomniana pancernownica, która – jak wynikało z przeprowadzonych testów – potrafiła przebić kilkucentymetrowy pancerz z odległości do 30 m.

AKCJA „ZEPPELIN”

Kiedy ostatecznie wybrano zamachowca, rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do misji. W ośrodku szkolącym agentów stworzono postać mjr. Koroliowa, oficera kontrwywiadu Smiersz przy 39 Armii. Żeby uwiarygodnić tę postać, oprócz idealnie podrobionych dokumentów, a nawet zebranych oryginalnych wycinków sowieckich gazet, spreparowano medale, odznaczenia i order Bohatera Związku Radzieckiego. Oficer miał jechać do Moskwy, żeby się wyleczyć z pofrontowych ran. Niemieccy lekarze dokonali odpowiednich zabiegów medycznych, by ciało Tawrina wyglądało jak okaleczone w walce. W przygotowaniach do tej operacji zwracano uwagę na szczegóły w takim stopniu, że nawet radziecki motocykl M-72, którym agent miał jechać do Moskwy, miał paliwo rosyjskiej produkcji.

Od strony taktycznej i psychologicznej rosyjskim oficerem zajął się najsłynniejszy komandos III Rzeszy – SS-Sturmabführer Otto Skorzeny. Bezpośrednim szefem operacji „Zeppelin” został SS-Obersturmbannführer Heinz Greif, a nadzorował ją i koordynował SS-Obersturmbannführer Otto Kraus.



Specjalnie
skonstruowana
rakietownica,
która miała
posłużyć do
zamachu
Tawrina na
Stalina



Piotr Tawrin w trakcie szkolenia w ośrodku dla agentów wysyłanych do
Rosji Radzieckiej

KIEDY OSTATECZNIE WYBRANO ZAMACHOWCA, ROZPOCZĘŁY SIĘ GORĄCZKOWE PRZYGOTOWA- NIA DO MISJI



Radzieccy żołnierze obok wraku samolotu, którym podróżował agent
Tawrin – Arado Ar 232

Co ciekawe, w 1944 roku Tawrin poznał swoją przyszłą żonę Sonię. Postawił niemieckim oficerom warunek, że na akcję może wyruszyć tylko z nią. Naziści się zgodzili i kobieta wcieliła się w postać ppor. Sziłowej. Przeszła kurs radiotelegrafistki i po dotarciu obojga agentów do Moskwy miała przekazywać Niemcom informacje.

Na początku czerwca 1944 roku wszystko było dopięte na ostatni guzik. Mjr Koroliow i ppor. Sziłowa mieli zostać przetransportowani na tereny Rosji Radzieckiej samolotem Arado Ar 232, należącym do Kampgeschwader 200 – jednostki do zadań specjalnych Luftwaffe. Pierwsza próba dotarcia w okolice Moskwy nie powiodła się ze względu na silny ostrzał radzieckich baterii przeciwlotniczych. Później maszyna musiała zawrócić z powodu awarii. Trzeci termin to była noc z 5 na 6 września 1944 roku. Kilka dni wcześniej za linią frontu zrzucono oddział spadochroniarzy, którzy mieli rozpoznać ewentualne lądowiska dla samolotu.

W ciemną noc sześciuosobowa załoga oraz dwaj niemieccy agenci odlecieli w kierunku Moskwy. Gdy się znaleźli nad linią frontu, wpadli pod silny ogień artylerii przeciwlotniczej Rosjan i Ar 232 został uszkodzony. Pilot postanowił zmienić lądowisko i skierował maszynę na zapasowe, w Karmanowie, około 90 km od Moskwy. Tam podczas lądowania samolot się zapalił i nie był w stanie wrócić na lotnisko macierzyste. Tawrinowie wyciągnęli z maszyny motocykl i ruszyli w kierunku szosy Smoleńsk – Moskwa. Załoga arada w dwóch grupach postanowiła przedzierać się do własnych linii frontu.

Przyszły zamachowiec i jego radiotelegrafistka byli już 45 km od Kremla, gdy pojawił się przed nimi szlaban kontroli drogowej. Zniecierpliwiony zbyt długą procedurą sprawdzania dokumentów mjr Koroliow zaczął pospieszać czerwonoarmistów, tłumacząc, że jedzie na motorze całą noc. Te słowa zwróciły uwagę szer. Iwana Szurkowa. Tej nocy padał ulewny deszcz, tymczasem motor był czysty, jakby niedawno dopiero ruszył. Drugi z żołnierzy poszedł do budki strażniczej, z której wrócił wraz byłym dowódcą Tawrina z 1942 roku. Ten zaś natychmiast go rozpoznał i Tawrinowie zostali aresztowani. Od razu przyznali się, że są niemieckimi agentami.





Sawielij Dmitrijew został rozstrzelany w 1950 roku.

WRÓG NUMER JEDEN

9 LISTOPADA 1942 ROKU NA PLACU CZERWONYM SAWIELIJ DMITRIJEW, DEZERTER Z ARMII CZERWONEJ, OSTRZELAŁ SAMOCHÓD WYJEŹDŻAJĄCY Z KREMLA.

Wydawało mu się, że jedzie nim Stalin – tymczasem w aucie znajdował się najbliższy współpracownik wodza, Anastas Mikojan. Nic mu się nie stało, ponieważ wszystkie pojazdy dygnitarzy sowieckich były silnie opancerzone. Dmitrijew działał samodzielnie i kierowała nim zemsta za los swój i żołnierzy radzieckich pod rządami Stalina. Został stracony w 1950 roku.

W ramach operacji „Szach czerwonemu królowi” Niemcy, oprócz akcji „Zeppelin”, wcześniej podjęły dwie próby zgładzenia Stalina. W listopadzie 1943 roku przygotowano akcję o kryptonimie „Długi skok”

– komandosi Otto Skorzenego zostali zrzućeni w Persji i mieli zgładzić dyktatora w trakcie konferencji teherańskiej. Akcja spaliła na panewce, ponieważ alianci, dzięki wywiadowi radiowemu i działalności podwójnych agentów, wiedzieli wcześniej o przybyciu zamachowców i wszystkich sześciu złapali w kotłę założonym w mieszkaniu kontaktowym.

W tym samym roku niemiecki wywiad przeszkolił i przygotował do przetrwania w okolicy Moskwy dwóch Rosjan, których personalia do dziś nie są znane. Wiadomo, że znali jednego z mechaników samochodowych pracujących w garażach

Stalina, którzy mieli pomóc założyć ładunek wybuchowy lub minę pod pojazdem wodza. Najprawdopodobniej agenci zostali przez NKWD schwytani i zgładzeni.

Również Joachim von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych III Rzeszy, zaproponował Hitlerowi plan zbrodniczej misji. Pod pretekstem omówienia ze Stalinem warunków ewentualnego rozejmu, przy użyciu pióra-pistoletu miał on strzelić do przywódcy ZSRR. Hitler jednak kategorycznie odmówił. Ponadto jest wątpliwe, czy w ogóle Stalin zgodziłby się na jakiegokolwiek pertraktacje.

Wkrótce dwójkę niedoszłych zamachowców przejęło NKWD. W bagażniku motocykla rosyjscy śledczy znaleźli prawie 430 tys. rubli, kilka sztuk broni palnej i cały sprzęt przygotowany do operacji „Zeppelin”. Po rozkręceniu na drobne części silnika i kosza dla pasażera NKWD znalazło jeszcze ponad 100 rodzajów stempli urzędniczych i wojskowych używanych w Związku Radzieckim i Armii Czerwonej, kilkadziesiąt medali, ładunki wybuchowe i kilkanaście par fałszywych dokumentów.

Tawrinowie, widząc beznadziejność sytuacji, postanowili podjąć współpracę z NKWD. Radziecka operacja pod kryptonimem „Mgła” miała na celu oszukiwanie niemieckich służb specjalnych – informowanie o sukcesywnie realizowanych przygotowaniach do zamachu na Stalina. Niemcy dopiero w 1945 roku zorientowali się, że są wprowadzani w błąd, a cała operacja się nie powiodła. Piotr i Sonia Tawrinowie jeszcze przez jakiś czas byli wykorzystywani przez NKWD, ale gdy stali się dla organów bezpieczeństwa zbędni, 1 lutego 1952 roku skazano ich za zdradę stanu na karę śmierci i stracono.

OPERACJA BEZ SZANS?

Fiasko tak starannie przygotowanej operacji nie było kwestią przypadku. Rosjanie wiedzieli o niemieckich planach i znali dokładnie personalia zamachowca (już wcześniej był w kartotekach NKWD jako osoba podejrzana o kolaborację z nazistami) oraz datę jego przylotu na teren Rosji. W najbliższym otoczeniu Führera znajdował się sowiecki agent o pseudonimie „Justus”. Do dziś nie wiadomo, kto to był. O całej operacji wiedziało parę osób: Schellenberg, Kaltenbrunner, Skorzeny, Himmler, Hitler i jego

sekretarz – Martin Borman. Wielu historyków uważa, że to ten ostatni był sowieckim agentem i mógł przekazywać Rosjanom najściślej strzeżone tajemnice III Rzeszy. Sam szef Abwehry Wilhelm Canaris w rozmowach z swoimi współpracownikami podkreślał, że Borman i jego ludzie są na usługach wywiadu radzieckiego. I to właśnie on w celu zidentyfikowania i złapania zamachowca sprowadził w rejon, gdzie miał lądować samolot, byłego dowódcę Tawrina z 1942 roku.

Niemiecki oddział zwiadowczy, którego zadaniem było sprawdzenie lądowiska, został schwytany przez NKWD i zmuszony do współpracy. Taki sam los spotkał całą załogę Ar 232, która nigdy nie dotarła do niemieckich linii. Tylko przypadek sprawił, że Tawrinowi udało się zbliżyć w okolicy Moskwy. Rosyjskie służby specjalne – pewne złapania zamachowca od razu jak tylko wylądował na ziemi, przygotowały oblęgę na głównym lotnisku, nie obstawiając zapasowego. Nie poinformowały jednak o całej operacji dowódców baterii przeciwlotniczych znajdujących się na linii frontu. Te zaś, gdy tylko usłyszały, a potem zauważyły niemiecki samolot zmierzający nad terytorium zajmowane przez Armię Czerwoną, otworzyły ogień w jego kierunku i uszkodziły jeden z silników, co spowodowało, że dowódca maszyny skierował ją na lotnisko zapasowe w okolicach Rżewa. Wszystkie patrole na szosie Smoleńsk – Moskwa wiedziały jednak o możliwości pojawienia się pary „niemieckich terrorystów” ubranych w mundury żołnierzy radzieckich.

Dziś, kiedy wiadomo, jak obsesyjnie Stalin bał się o swoje życie i jakie stosował środki zapobiegawcze, aby uniknąć zamachu, widać, że szanse na powodzenie tej operacji były bliskie zeru. ■



ANDRZEJ
FĄFARA

Rozejm pod choinką

BOŻONARODZENIOWE
I NOWOROCZNE
ROZEJMY OBJĘŁY OKOŁO
100 TYS. ŻOŁNIERZY
WALCZĄCYCH W II WOJNIE
ŚWIATOWEJ

Pierwsza wojna światowa zaczęła się w środku lata 1914 roku i wedle przewidywań obu stron miała nie trwać zbyt długo. Na pewno nie do Bożego Narodzenia. Tymczasem przyszedł grudzień, a żołnierze wciąż tkwili w okopach. W okolicach świąt doszło do licznych rozejmów, przeciwnicy wymieniali się prezentami, głównie winem i papierosami, śpiewali wspólnie kolędy.

Na odcinku frontu w pobliżu Armentières we Francji został nawet rozegrany mecz piłkarski, mimo iż pogoda nie sprzyjała takiej rozrywce – był spory mróz. Spotkanie przerwano z powodu przedziurawienia piłki, która wpadła na drut kolczasty. W tym momencie Niemcy prowadzili z Brytyjczykami 3:2.

To są powszechnie znane fakty, udokumentowane w pamiętnikach żołnierzy walczących po obu stronach. Lektura tych wspomnień wciąż wprawia mnie w zdumienie. Josef Wenzel, który służył w 16 Bawarskim Rezerwowym Pułku Piechoty (razem z młodym Adolfem Hitlerem), pisał w liście do rodziny: „Jeden [Brytyjczyk] podszedł do mnie, od razu uściśnął moją dłoń i przekazał mi kilka papierosów, drugi dał mi pamiętnik, trzeci podpisał się na pocztówce, czwarty zanotował swój adres w moim notesie. Jeden Anglik zagrał na harmonijce ustnej niemieckiego żołnierza, inni tańczyli, jeszcze inni dumnie paradowali w niemieckich hełmach”.

Proszę pamiętać, że I wojna światowa była najkrwawsza w dziejach. Ci bratający się żołnierze kilka dni wcześniej zabijali się bez opamiętania. Kilka dni później zresztą też. Zadziwiające są dla mnie nie te ludzkie odruchy, opisane przez Josefa Wenzla, lecz brak kontroli nad licznymi rozejmami ze strony wyższego dowództwa. Owo bożonarodzeniowe i noworoczne bratanie objęło, według historyków, około 100 tys. żołnierzy. Wyżsi oficerowie byli przeciwni rozejmom, uważali bowiem, że osłabiają one morale wojska. Wiadomo – przeciwnika trzeba nienawidzić, a nie obściskować się z nim i częstować go winem i papierosami. Niektórzy dowódcy byli za tym, żeby wszczynać śledztwa i karać bratających się, nawet śmiercią. Jakoś do tego nie doszło, ale w następnych latach rozejmy świąteczne i noworoczne stały się rzadkością. Na kanwie wydarzeń, o których tu mowa, powstał zresztą film „Boże Narodzenie” (tytuł oryginalny „Joyeux Noel” – wesółych świąt).

I jeszcze jedno ciekawe spostrzeżenie dotyczące niekontrolowanego bratania się żołnierzy podczas I wojny światowej. Te wszystkie incydenty miały miejsce na froncie zachodnim, który przebiegał przez tereny Francji i Belgii. Na froncie wschodnim nic takiego się nie zdarzało. Dlaczego? Historycy tłumaczą to w bardzo prosty sposób. Świąta w kalendarzu juliańskim (Rosja) przypadają o dwa tygodnie później niż w gregoriańskim (Austro-Węgry). ■



TADEUSZ WRÓBEL

Odyseja „Scorpiona”

Po półtoramiesięcznej żegludze szalupą ratunkową w kwietniu 1942 roku grupa alianckich lotników zbiegłych przed Japończykami z Jawy dotarła do Australii.

W pierwszych miesiącach wojny na Dalekim Wschodzie wojska alianckie poniosły wiele porażek w starciach z siłami zbrojnymi cesarstwa Japonii. W końcu lutego 1942 roku Japończycy kontrolowali już większość Azji Południowo-Wschodniej. Opór stawiały jeszcze izolowane oddziały amerykańsko-filipińskie na Luzonie i kilku innych wyspach, holenderska armia kolonialna kontrolowała zaś Jawę, najważniejszą strategicznie wyspę Holenderskich Indii Wschodnich. Jednak po zniszczeniu przez Japończyków alianckiej eskadry w walkach na Morzu Jawajskim jej upadek był kwestią czasu.

PORT NADZIEI

Wśród obrońców Jawy znajdowali się amerykańscy, australijscy i brytyjscy lotnicy. Jednym z najważniejszych lotnisk aliantów było Kalidjati w środkowej części wyspy, niedaleko strategicznego miasta Bandung i wybrzeża Morza Jawajskiego. W lutym 1942 roku rozmieszczono na nim m.in. dwa dywizjony bombowe Royal Air Force, latające na samolotach Bristol Blenheim Mk. IV. Podczas walk w drugiej połowie miesiąca poniosły one duże straty. Dowództwo brytyjskie podjęło decyzję, że ocalałe blenheimy 211 Dywizjonu oraz część załóg będą włączone do 84 Dywizjonu. Zbędni lotnicy i technicy otrzymali rozkaz ewakuacji z wyspy.

W nocy z 28 lutego na 1 marca 1942 roku żołnierze japońscy wylądowali w kilku miejscach na Jawie. Wrogowi udało się zaskoczyć aliantów, wysadzając jeden z desantów w rejonie Eretanwetan, niedaleko Kalidjati. Dysponujący czołgami i ciężarówkami Japończycy szybko pojawili się w pobliżu lotniska. Pomimo zacieklej obrony Kalidjati zostało zajęte. W japońskie ręce wpadło około 20 blenheimów, które nie zdążyły wystartować. Do niewoli dostała się większość personelu 84 Dywizjonu. Ci, którzy uniknęli tego losu, otrzymali rozkaz, by udać się do Cilacap (Tjilatjap) na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego, skąd mieli być ewakuowani. Po dotarciu na miejsce alianccy wojskowi dowiedzieli się, że w porcie nie ma ani jednego statku, którym można by opuścić wyspę. Australijczycy i Brytyjczycy zaczęli szukać sposobu wydostania się z pułapki.

Wojskowym udało się znaleźć stare dziewięciometrowe szalupy ratunkowe bez silników, tylko z żaglami. Teoretycznie w każdej mogło się zmieścić 30 ludzi. Jednak próba wyjścia z portu tak obciążonych jednostek holowanych przez motorówkę nie powiodła się i jedną z nich utraciono. Piloci postanowili, że do Australii popłynie ocalała szalupa z 12 wybranymi ludźmi, wśród których znaleźli się piloci, nawigatorzy oraz radio-

operatorzy-strzelcy pokładowi. Po dotarciu tam mieli oni zorganizować pomoc dla pozostałych.

Dowódcą wyprawy został Brytyjczyk, ppłk John Raymond Jeudwine. Oprócz niego w szalupie znalazło się jeszcze trzech oficerów RAF-u oraz oficer i siedmiu sierżantów z Royal Australian Air Force. Nawigatorem został ppor. Sydney Turner, a sternikiem por. Colin Streatfield. Szalupie nadano imię „Scorpion”, nawiązując do godła 84 Dywizjonu. „Obliczono, że najbliższym portem na australijskim wybrzeżu był Roeburns, odległy o 950 Mm, a nieco dalej Port Hedland i Onslow”, napisał w swym dzienniku Jeudwine. Wojskowi zakładali, że powinni tam dotrzeć w ciągu 16 dni, ale na wszelki wypadek wzięli zapasy na 30 dni żeglugi. Oprócz jedzenia i wody pitnej na „Scorpiona” załadowano sporo puszek amerykańskiego piwa oraz kilka butelek mocniejszych alkoholi. Szalupa wypłynęła z Cilacap (Tjilatjap) 7 marca 1942 roku, dzień przed oficjalną kapitulacją wojsk holenderskich na Jawie. Nie obyło się jednak bez kłopotów. Najpierw na pokładzie odkryto pasażera na gapę. Potem silny wiatr spowodował, że „Scorpion” nie mógł wyjść z zatoki na wioślach i trzeba było go wyholować.

47 DNI UCIECZKI

Wyprawa była przejawem niezwyklej determinacji, gdyż oprócz por. Streatfielda inni uczestnicy nie mieli jakiegokolwiek doświadczenia w żeglowaniu. Do nawigacji dysponowali sekstantem morskim oraz dwoma kompasami. Chronometr zastępował im jedyny działający zegarek. Lotnikom udało się zebrać trochę różnych map.

Do najgroźniejszego wydarzenia, które mogło zakończyć się dla zbiegów tragicznie, doszło już 9 marca 1942 roku. Otóż o godzinie 14.30 około mili od szalupy pojawił się japoński okręt podwodny I-56 (później zmieniono mu numer na I-156) i zbliżył się do niej na odległość około 100 m. Lotnicy alianccy widzieli, że japoński marynarz na kiosku obserwuje ich przez lornetkę, ale mogli tylko bezsilnie czekać na dalszy rozwój wypadków. Wróg mógł zniszczyć ich szalupę z działa pokładowego, wystrzelać z karabinu maszynowego czy też zadać im śmierć w bardziej okrutny sposób, ścinając głowy czy też wyrzucając do oceanu na pożarcie rekinom.

Tymczasem stała się rzecz niewyjaśniona. Japoński okręt opłynął szalupę, po czym oddalił się w kierunku wschodnim i zanurzył. Nigdy się nie dowiemy, dlaczego kmr por. Ohashi Katsuo oszczędził załogę „Scorpiona”, podczas gdy inni dowódcy cesarskiej floty mordowali rozbitków czy uciekinierów. Tajemnicę Japończyk zabrał ze sobą do grobu. Katsuo zginął



PIOTR KORCZYŃSKI

Generał wzywa Opatrzność

W trosce o dobro swoich żołnierzy nie zawahał się zwrócić nawet do najwyższego stwórcy.

Dowodzona przez gen. George'a Smitha Pattona 3 Armia zyskała sławę najbardziej skutecznej i szybkiej wielkiej jednostki alianckiej na froncie zachodnim. Sam generał jest uważany za jednego z najlepszych dowódców US Army w całej jej historii. Mówi się o nim, że był doskonałym żołnierzem, ale też ekscentrykiem o niezwykle trudnym charakterze. Wiadomo było na przykład, że wierzy w reinkarnację i uważa się m.in. za kolejne wcielenie średniowiecznego rycerza. I właśnie w czasie jednej ze swych kampanii, niczym wódz średniowiecznej armii, odwołał się bezpośrednio do Opatrzności.

W listopadzie 1944 roku 3 Armia dotarła do Zagłębia Saary. Patton chciał, by do końca grudnia jej czołgi zdobyły linię Zygfryda i przeprawy na Renie; zaplanował więc na 21 grudnia wielkie natarcie przełamujące w kierunku Renu w rejonie Saareguemines. Niestety, jego plany skomplikowało nagle załamanie pogody. Ludzie i maszyny dosłownie tonęły w morzu błota wezbranego przez gwałtowne deszcze. Generał uznał wtedy, że jedynie Bóg może wyciągnąć jego armię z bagien i przegnać czarne chmury (sprzyjające, jak sądził, jego największemu rywalowi na froncie... marsz. Bernardowi Montgomery'emu, z którym ścigał się do granic III Rzeszy od początku tej kampanii). 14 grudnia zanotował w swym dzienniku: „Pogoda była tak straszna, że poleciłem wszystkim kapelanom armii odprawiać modły o jej zmianę”.

Jak wspomina zastępca szefa sztabu 3 Armii, ppłk Paul D. Harkins, generał wezwał do swego gabinetu w sztabie w Nancy naczelnego kapelana 3 Armii płk. Jamesa Hugh O'Neill. Gdy kapłan stanął przed generałem, ten powiedział:

„Księżu kapelanie, chciałbym, aby ogłosił pan modlitwę o dobrą pogodę. Mam już tego dosyć, że żołnierze muszą walczyć nie tylko z Niemcami, ale z błotem i powodzią. Czy nie udałoby się przeciągnąć Boga na naszą stronę?”.

„Panie generale, do takich modłów potrzebny jest nielichy dywanik pod kolana”, odpowiedział kapłan.

„To mnie nie obchodzi, niechby nawet latający dywan”, ripostował Patton.

„Tak jest, panie generale. Pozwoli pan jednak powiedzieć, że wznoszenie modłów o dobrą pogodę dla zabijania bliźnich na ogół nie leży w zwyczajach ludzi mego zawodu”, wyraził wątpliwość płk O'Neill.

„Księżu kapelanie, czy udziela mi pan teraz lekcji teologii, czy też jest pan kapłanem 3 Armii? Życzę sobie takiej modlitwy!”.

NARA

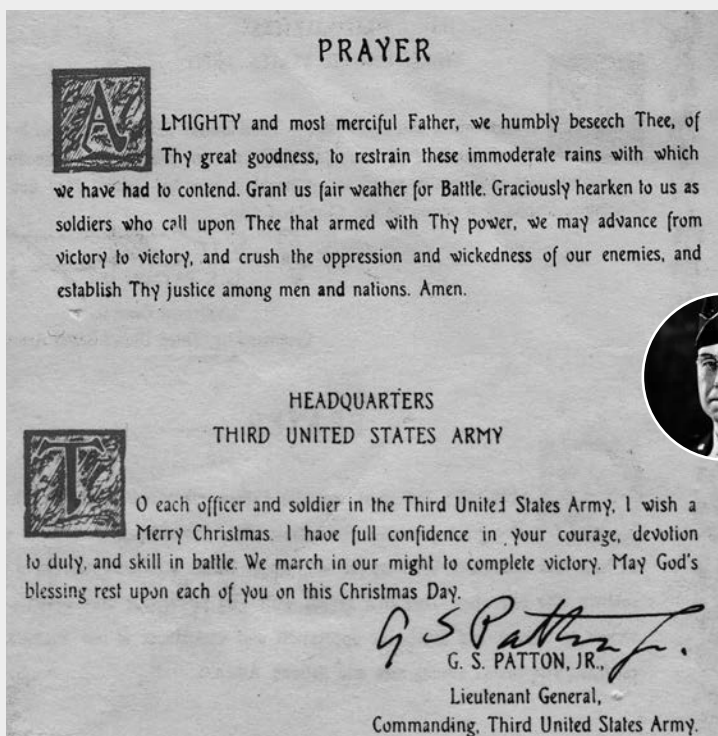
WIADOMO BYŁO, ŻE PATTON WIERZY W REINKARNACJĘ I UWAŻA SIĘ ZA KOLEJNE WCIELENIE ŚREDNIOWIECZNEGO RYCERZA

Odpowiedź mogła być tylko jedna: „Tak jest, panie generale”.

Gdy oficerowie wyszli z gabinetu dowódcy, kapelan powiedział do ppłk. Harkinsa: „Uff, jaki trudny człowiek! Czego on chce, jak pan myśli?”. Harkins odparł, że jest to zupełnie jasne – generał chce modlitwy, chce ją mieć natychmiast i chce ją rozesłać do swych żołnierzy. Płk O'Neill spełnił rozkaz dowódcy i na święta Bożego Narodzenia kompania topograficzna armii wydrukowała na małych kartonikach modlitwę, którą następnie rozdano żołnierzom. Jej tekst brzmiał: „Wszchemocny i miłosierny Ojczy, pokornie Cię błagamy, abyś w swej niezmierzonej dobroci zechciał powstrzymać nadmierne deszcze, z którymi musimy się zmagać. Ześlij nam ładną pogodę do bitwy. Łaskawie wysłuchaj nas, żołnierzy, którzy zwracamy się do Ciebie, abyśmy, zbrojni Twoją mocą, mogli posuwać się od zwycięstwa do zwycięstwa i unicestwiać ucisk i niegodziwość naszych wrogów, i ustanawiać Twą sprawiedliwość wśród ludzi i narodów. Amen”. Na drugiej stronie kartonika umieszczono życzenia bożonarodzeniowe gen. Pattona dla jego żołnierzy.

Wprawdzie ze względu na niemiecką ofensywę w Ardenach, którą, nawiasem mówiąc, gen. Patton jako jeden z nielicznych dowódców alianckich przeczuwał, z ataku 3 Armii pod Saaregumines zrezygnowano, ale na drugi dzień po wydaniu modlitwy, 23 grudnia, przejaśniło się i przez cały tydzień panowała piękna pogoda. Pomogło to aliantom przy wsparciu unieruchomionego wcześniej lotnictwa zahamować i złamać ofensywę wojsk pancernych feldmarszałka Gerda von Rundstedta.

Płk Harkins wspomina, że gdy pod koniec słonecznego tygodnia został wezwany do Pattona, zastał generała uśmiechniętego od ucha do ucha: „Do diabła – powiedział po przywitaniu – spójrz, co za pogoda. Ten O'Neill musiał się bardzo intensywnie modlić. Sprowadź go tutaj, chcę mu przypiąć medal”. Kapelan zawiązał u generała na drugi dzień. Patton na widok kapłana wyszedł z wyciągniętą ręką zza swego biurka



Kompania topograficzna armii wydrukowała na małych kartonikach modlitwę, którą następnie rozdano żołnierzom. Na drugiej stronie kartonika umieszczono życzenia bożonarodzeniowe gen. Pattona dla jego żołnierzy.

i powiedział: „Księżu kapelanie, jest pan najmilej widzianym człowiekiem w sztabie. Z pewnością łączą pana dobre stosunki z Bogiem i żołnierzami”. Następnie przypiął do piersi kapelana płk. O'Neill Brązową Gwiazdę.

„Wszyscy mu gratulowali i dziękowali – pisał ppłk Harkins – a potem z powrotem zabraliśmy się do zabijania Niemców... przy pięknej pogodzie”. Gen. George S. Patton ruszył ze swą 3 Armią do kolejnego zwycięskiego wyścigu w głąb III Rzeszy, którego stawką było obalenie Hitlera i przechytrzenie „Monty'ego”. ■

■ G.S. Patton, „Wojna jak ją poznałem”, tłum. E. Niemirska, Warszawa 1989.

Wielka wojna wykazała, że siły duchowe wojska przede wszystkim decydują o zwycięstwie. Podstawą armii jest bowiem dusza prostego żołnierza. A jakże ma się ona rozwijać, jak żołnierz nie umie czytać ani pisać? Kiedy nauczy się on dziejów Polski i pozna swój kraj ojczysty, jak nie w armii?”, pytał kpt. Mariusz Gawlikowski 12 grudnia 1922 roku w „Polsce Zbrojnej”.

Dlatego, jak podkreślał oficer, od oświaty, kultury i wychowania w wojsku zależy wartość bojowa i moralna naszej armii, a więc i nasz byt polityczny, i odporność uzbrojonego narodu. „Dlatego należy tym zagadnieniom dać właściwy priorytet i co ważne, tych trzech spraw nie można traktować odrębnie, wchodzą one bowiem w zakres pracy nauczycielskiej oficera i należy je ująć razem, jasno i systematycznie”.

OFICER CZY NAUCZYCIEL

Tęgo samego zdania był mjr Roman Tarnicki, który skupił się na potrzebach oświatowych armii. Jak pisał, już sejm wydał ustawę o powszechnym nauczaniu w wojsku mającą wyrugować analfabetyzm.

„Pozostaje jednak pytanie, kto tę oświatę w szeregach ma prowadzić? Na opłacanie nauczycieli skarb nasz nie ma środków, nikt zaś dla idei pracować nie będzie, obowiązek ten więc spadł na oficera. Jednak aby uczyć, trzeba mieć do tego fachowe umiejętności”, stwierdzał major.

Brakom tym zaradzono w siłach zbrojnych, otwierając kursy oświatowe dla młodszych oficerów. „Jest to jednak tylko półśrodek, gdyż bez ciała nauczycielskiego oświata w armii będzie wegetować. Sześciotygodniowy kurs jest



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

ANNA DĄBROWSKA

Oświata w koszarach

Podstawą armii jest dusza prostego żołnierza.

w praktyce tylko piękną ideą, trwa bowiem zbyt krótko, aby wdrożyć się w sztukę nauczania. Dlatego też ciągle poważna liczba żołnierzy jako niepiśmienni kończy służbę wojskową”, konstatował mjr Tarnicki.

Jak argumentował, jest wielu dzielnych oficerów, którym żadne przeszkolenie nie wszczepi zdolności nauczycielskich. „Z rozkoszą poprowadzą oni oddział w huraganowy nawet ogień, ale pedagogami nigdy nie będą. Do nauczania bowiem potrzeba powołania i daru tego na rozkaz wpoić się nie da”. Dlatego, jego zdaniem, służba na-

uczycielska winna mieć odrębną organizację.

ŻYCIE W KOSZARACH

Kpt. Gawlikowski zwracał też uwagę na potrzeby kulturalne żołnierzy. Tłuma- czył, że ich szary tryb życia wymaga pewnej przeciwwagi. „Obywatel służąc składa ojczyźnie swoje wygodę, czas i karierę. Przez to jednak żołnierz nie traci prawa do zaspokajania swoich potrzeb duchowych”.

Urządza się więc dla nich świetlice, biblioteki, czytelnie, bursy, warsztaty, kina, pogadanki, zawody i wycieczki.

PITAWAL

Zarobić na armii

Oszustwo przyniosło sierżantowi spory zarobek, a potem więzienie.

Sierz. Włodzimierz Sokołowski służył w armii od dawna. Był solidnym żołnierzem, oddanym pracy i swoim podwładnym, cenionym za pracowitość i wojskowe umiejętności.

On jednak w głębi duszy zawsze czuł, że armia nie do końca je docenia, podobnie jak jego poświęcenie. Z każdym rokiem żołnierz się umacniał w tym przekonaniu i kiedy wreszcie od-

szedł z wojska, wpadł na pomysł, jak może na armii zarobić.

Kiedy się zorientował, jaką estymą i poważaniem są obdarzani dawni weterani, postanowił to wykorzystać dla swojego oszustwa. Razem z bratem przygotował fałszywe dokumenty, z których wynikało, że sierżant jest pracownikiem dyrekcji Loterii Państwowej.

Z tym dokumentem pojawiał się w mazowieckich jednostkach wojskowych, żeby sprzedawać fałszywe losy na loterię fantową na rzecz weteranów

Wszystko to jest potrzebne, ponieważ nadmiar energii młodego żołnierza potrzebuje ujścia.

„Jeśli znajdzie dla nich upływ w koszarach, nie będzie szukał go poza nimi. A tylko tak długo, jak pozostaje w koszarach pod troskliwym okiem oficera wychowawczego, jego energia toczy się pożądanymi torami. Natomiast młody żołnierz poza koszarami wpada często- kroć w sidła demoralizacji, rozpusty, przestępczości, a może i wrogów, a do tego dopuścić nie możemy”.

Niestety, jak podkreślał oficer, z braku czasu nie wszystkie potrzeby kulturalne żołnierza znajdują swój oddźwięk. „Wymagają one ułożenia je w program, stałej pieczy nad nim i takiemu zadaniu podolać może tylko specjalny oficer”.

DUSZA ŻOŁNIERZA

Por. Tadeusz Omilewicz zaznaczał, że oba te działy są tylko częstkami wychowania żołnierza. „Wojsko jest bowiem instytucją wychowawczo-obywatelską o niezwykle doniosłym znaczeniu”. Musi mieć wobec tego cały program wychowawczy i konsekwentnie go realizować.

„Taki program już istnieje, ale jego jasność i celowość pozostawia wiele do życzenia. Wszystko co tego tematu dotyczy, rozstrzelane jest po regulaminach, rozkazach i instrukcjach, a trzeba by to zebrać w jedną książkę o wychowaniu”.

Porucznik wyliczał, że powinna ona zawierać dzieje wychowania, naukę o duszy żołnierza czyli psychologii żołnierskiej, ze specjalnym uwzględnieniem zjawisk duchowych w boju. Dzieło to powinno też zapoznawać ze wszystkimi czynnikami wychowania, np. filozoficznymi, politycznymi, społecznymi, materialnymi, moralnymi i religijnymi. Winno też zawierać naukę o kształtowa-

niu charakteru i stanowić podręcznik obowiązujący każdego oficera. „Przecież oficer nie jest niczym innym jak jednym z wychowawców narodu”.

Zdaniem mjr. Tarnickiego w armii trzeba więc powołać ludzi wykwalifikowanych do pielęgnowania zarówno oświaty, jak kultury i wychowania. Osoby, które się tym zajmą, muszą być dobrymi żołnierzami i dobrymi nauczycielami. Trzeba tu niezwykłej energii, cierpliwości, taktu, poświęcenia i inicjatywy.

Jak wyliczał major, na każdy pułk powinno się wyznaczyć jednego starszego oficera jako etatowego oficera oświatowego. To jemu będą podlegać oświata, kultura i wychowanie w pułku. Przy wyborze należy przede wszystkim uwzględnić zamiłowanie do służby i osobiste zdolności. „Dopiero wtedy odczuje on opiekę, którą nad nim wojsko roztacza, ukocha to wojsko, bo wyszedłszy z jego szeregów będzie światlejszy, całe swe życie pozostanie z serca żołnierzem i pomnoży w ten sposób zastępy obrońców ojczyzny. W przeciwnym razie służba wojskowa będzie bezduszną, a może nawet nienawidzoną, a wyszkolenie takiego zubożniałego żołnierza będzie bardzo utrudnione”, pisał oficer.

Jak podkreślał, państwo wiele zyska, mnożąc korpus oficerski. Odpadnie problem kradzieży i niszczenia dobra wojskowego, znikną koszty leczenia wenerycznego żołnierzy, a armia zyska warsztaty, biblioteki, orkiestry i teatry założone przez oficerów oświatowych.

„Żołnierze po opuszczeniu szeregów armii nie będą ciężarem dla państwa jako bezrobotni, ale staną się przedsiębiorczymi obywatelami, pogłębi się uświadomienie narodowe i najdłuższa nawet wojna nie osłabi odporności ducha tak przygotowanego żołnierza”.

powstania styczniowego. Wszędzie żołnierze chętnie je kupowali, tym bardziej, kiedy opowiadał im o smutnym losie starych wiarusów i konieczności wsparcia ich w niełatwej doli.

W tym samym czasie podoficer odwiózł też Stowarzyszenie Weteranów 1863 roku, prosząc o zebranie przedmiotów, które na tej loterii mogły być wystawione. Dawni żołnierze chętnie przekazywali mu różne pamiątki po walkach, obrazy, książki i pocztówki o tematyce wojskowej.

Wszystkie przedmioty, które tylko miały jakąkolwiek wartość, brat Sokołowski sprzedawał na targowisku lub w antykwiariatach w całej Polsce, zarabiając na nich kilkaset złotych.

Kiedy sierżant sprzedał już ponad tysiąc losów i dzięki swoim oszustwom zgromadził prawie 5 tys. zł, zniknął i ślad po nim zaginął. Jednak oszukani żołnierze i weterani zawiadomili żandarmerię, która rozpoczęła w tej sprawie intensywne śledztwo. Pół roku później ich wysiłek został nagrodzony.



GEN. BRYG. JAN KRUSZEWSKI, DOWÓDCA KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

Przed dziewięć laty pierwsze nasze oddziały szły na dalekie kresy wschodnie, gdzie bandy złoczyńców rabowały wsie, folwarki i miasteczka mordując spokojnych obywateli i szerząc zamieszanie i anarchię. Korpus Ochrony Pogranicza poszedł do walki z tym bandytyzmem i bezprawiem i walkę tę wygrał. Na pograniczu zapanował ład i porządek, a kresowy obywatel nabrał zaufania do siły państwa i jego armii.

Ogłoszenia retro



Sierżant i jego brat wpadli, kiedy próbowali powtórnie zorganizować podobne oszustwo, tym razem na terenie Wielkopolski. Zostali jednak zdezaszkowani przez żandarmów i osadzeni w areszcie.

Podczas rozprawy przed sądem wojskowym sierżant przyznał się do winy i wyraził skruchę, szczególnie za oszukiwanie wiekowych powstańców. Sąd wziął to pod uwagę i skazał Sokołowskiego tylko na sześć miesięcy więzienia oraz degradację.

TADEUSZ WRÓBEL

WIKING ADOLFA

Luftwaffe miała podczas II wojny światowej największe wówczas latające łodzie, sześciosilnikowe Bv 222.

Największym samolotem niemieckim w czasie II wojny światowej była latająca łódź Bv 222 firmy Blohm & Voss, nad którą prace podjęto w styczniu 1938 roku na zlecenie cywilnej linii lotniczej Lufthansa. Chciała ona mieć trzy samoloty, które mogłyby przewieźć 16 pasażerów na trasie Berlin – Nowy Jork i 24 osoby na krótszych dystansach. Jednak projektowi nie sprzyjało narastające napięcie polityczne. Z powodu przygotowań do wojny priorytetem Blohm & Voss była produkcja dla morskich eskadr samolotów patrolowych Luftwaffe już dopracowanej maszyny Bv 138 See Dragon (morski smok). Pomimo to prototyp sześciosilnikowego giganta był gotowy w sierpniu 1940 roku.

GIGANT VOGTA

7 września 1940 roku prototyp V1 wzbił się w powietrze jeszcze jako samolot cywilny. Oczywiście zapadła decyzja, że zamiast przewozić pasażerów, Bv 222 będzie wykorzystywany do celów wojskowych. Latająca łódź została pomalowana w barwy Luftwaffe i otrzymała oznaczenie kodowe CC+EQ. Nadano jej nazwę Viking.

Konstruktor Richard Vogt zaprojektował Bv 222 jako wolnonośny grzbietopłat o konstrukcji całkowicie metalowej. Postanowiono, że jej napęd będzie składał się z sześciu silników. Na początek wybrano Bramo 323 Fafnir o mocy 1200 KM.

Podczas testów latająca łódź osiągnęła maksymalną prędkość 385 km/h. Próby wykazały, że w kabinie można przetransportować 92 żołnierzy lub 72 rannych czy też chorych na noszach. Przewóz ładunków ułatwiało to, że samolot miał długą płaską podłogę i duże kwadratowe drzwi transportowe po prawej stronie kadłuba. Jako że Bv 222 zaprojektowano jako maszynę cywilną, nie miała ona początkowo uzbrojenia.

Pierwsze loty operacyjne V1 zaczął wykonywać latem 1941 roku na trasie pomiędzy Hamburgiem a Kirkenes na dalekiej północy Norwegii, w pobliżu granicy ze Związkiem Radzieckim. Podczas siedmiu lotów, od 10 lipca do 19 sierpnia 1941 roku, Bv 222 dostarczył 65 t ładunków i ewakuował 221 rannych. W tym czasie pokonał 30 tys. km. Po dokonaniu napraw i przeglądów V1 skierowano na śródziemnomorski teatr działań. Począwszy od 16 października 1941 roku, potężny samolot zaczął wykonywać loty z Pireusu koło Aten do Derry w Libii, przewożąc zaopatrzenie dla Afrika Korps. Do 6 listopada



Bv 222

Konstruktor Richard Vogt zaprojektował maszynę jako wolnonośny grzbietopłat o konstrukcji całkowicie metalowej.

1941 roku odbył ich 17, dostarczył w tym czasie 30 t zaopatrzenia i zabrał 551 rannych i chorych. Jako że latająca łódź nie była uzbrojona, eskortowały ją dwa ciężkie dwusilnikowe myśliwce Messerschmitt Bf 110.

W czasie, gdy V1 wykonywał swe pierwsze misje operacyjne, 7 sierpnia 1941 roku wzbił się w powietrze drugi egzemplarz Bv 222, a 28 listopada 1941 roku – V3. W sumie Blohm & Voss wyprodukował osiem łodzi latających Bv 222 oznaczonych jako maszyny prototypowe V1–V8. Ostatniej piątce nadało seryjne oznaczenia od C-09 do C-13.

ESKADRA TRANSPORTOWA

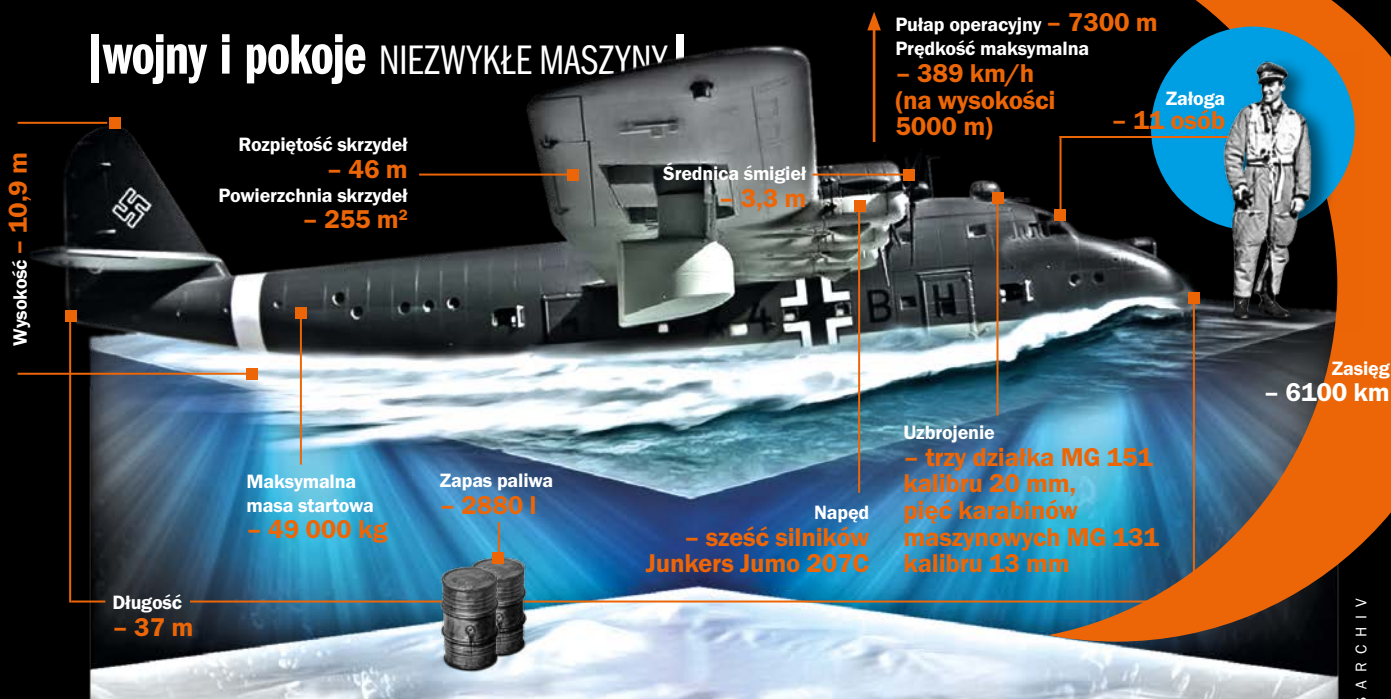
Po operacjach nad Morzem Śródziemnym V1 powrócił do Hamburga, gdzie zamontowano mu uzbrojenie. Otrzymał pięć karabinów maszynowych MG 81 kalibru 7,92 mm, z których jeden był z przodu kadłuba, a cztery na stanowiskach po bokach kadłuba. Do tego dodano dwie wieżyczki na grzbiecie z MG 131 kalibru 13 mm. W V2 dodano jeszcze dwie wieżyczki z podwójnymi MG 131 na skrzydłach, które mogły strzelać do tyłu. Strzelcy dostawali się do nich cylindrycznym tunelem o średnicy metra, wewnątrz skrzydła.

Z potężnych łodzi latających Niemcy sformowali eskadrę lotnictwa transportowego, Lufttransportstaffel 222 (LTS 222). W tym czasie V1 otrzymał nowe oznaczenie kodowe X4+AH. Do jednostki wysłanej nad Morze Śródziemne włączono jeszcze maszyny V2 i V3 (początkowo samolot miał tylko jeden karabin maszynowy z przodu kadłuba). Między 20 kwietnia a 26 października 1942 roku do służby weszły V4, V5, V6 i V8. Maszyny przewoziły zaopatrzenie z Włoch i Grecji dla niemieckich wojsk w Afryce Północnej. LTS 222 poniosła w tym czasie duże straty. 24 listopada 1942 roku brytyjski ciężki myśliwiec Bristol Beaufighter zestrzelił na południe od wyspy Pantelleria V6. Lecił on bez eskorty z Taranto do Trypolisu. 10 grudnia tegoż roku na tej samej trasie został strącony V8. Do tego w połowie lutego 1943 roku V1 w czasie lądowania w Pireusie uderzył w zatopiony wrak i zatonął.

1 kwietnia 1943 roku pierwszy lot odbył Bv 222 oznaczony jako V7. W tym egzemplarzu zamontowano dwusuwowe silniki wysokopiętne o tłokach przeciwbieżnych Jumo 207C o mocy 1000 KM. Samolot miał maksymalną masę startową 50 t i zasięg 6100 km. Niemcy zastosowali w nim silniki na olej napędowy, bo liczyli, że dzięki temu latające łodzie będą mogły



I wojny i pokoje NIEZWYKŁE MASZYN



Operacja „Schatzgräber”

Jesienią 1943 roku Niemcy założyli tajną stację meteorologiczną „Schatzgräber” (poszukiwacz skarbów) za kregiem polarnym, na wyspie Ziemia Aleksandry, w archipelagu Ziemia Franciszka Józefa. Pierwsze meldunki o pogodzie wysłano z niej 17 listopada. Problemy zaczęły się, gdy 30 maja 1944 roku dwaj członkowie personelu zastrzelili niedźwiedzia polarnego. Niemieccy żołnierze zjedli później jego mięso w formie tatarsa. Jeden z myśliwych, podoficer Werner Blankenburg, który spożył go najwięcej, po kilku

dniach zaczął uskarżać się na bóle nóg, dostał też wysokiej gorączki. W ciągu miesiąca zachorowało dziewięciu następnych żołnierzy. Objawy wskazywały na włośnicę. Zdrowy pozostał tylko sanitariusz Gerhard Hoffmann, który nie jadł tatarsa z niedźwiedzia, bo był wegetarianinem. I to on poinformował drogą radiową o sytuacji kryzysowej. Dowództwo postanowiło wysłać na ratunek dwa samoloty. Według planu Focke-Wulf Fw 200 Condor miał w pobliżu stacji zrzucić na spadochronie lekarza wraz z medyka-

mentami. Zabezpieczać zaś operację miał Bv 222 (V2). Dowódca condora, wiedząc o braku wystarczającego przeszkolenia spadochronowego lekarza, zdecydował się na lądowanie 7 lipca 1944 roku na wyspie. W trakcie tego manewru zostało uszkodzone podwozie samolotu. Niezbędne do naprawy części dostarczył V2, zrzucając je na spadochronach. 11 lipca 1944 roku przewoźniczo naprawiona maszyna wystartowała wraz z ewakuowaną załogą stacji pogodowej i szczęśliwie dotarła do Trondheim.

PK / DZIAŁ GRAFICZNY, BUNDESARCHIV

być tankowane z okrętów podwodnych, co wydłużył czas ich lotów patrolowych. Jednak testy przeprowadzone w rejonie Gdyni nie były udane.

NOWE ZADANIA

Na początku 1943 roku klęska wojsk niemiecko-włoskich w Afryce była kwestią czasu. Wielkie latające łodzie nie były już potrzebne nad Morzem Śródziemnym. Adm. Karl Dönitz przekonał Adolfa Hitlera, aby Bv 222 wyposażone w radar FuG 200 zaczęły wspierać działające na Atlantyku okręty podwodne, nakierowując je na wykryte alianckie konwoje. Dostał dwa samoloty, z których sformowano eskadrę rozpoznawczą (Aufklärungsstaffel See 222). 13 maja 1943 roku w Biscarrosse we francuskiej Akwitanii wylądowały zmodyfikowane latające łodzie V3 i V5. Ich czas działania nie był długi, gdyż po wykryciu obecności gigantów Hitlera w czerwcu 1943 roku francuską miejscowość zaatakowały cztery brytyjskie myśliwce de Havilland Mosquito i zniszczyły oba Bv 222 oraz jeden Bv 138.

Jednak 13 lipca 1943 roku Niemcy utworzyli grupę morską lotnictwa morskiego, 1 Seeaufklärungsgruppe 129 (1/SAGr.129). Do Biscarrosse wysłano najpierw V2 i V4. Regularne loty rozpoznawcze jednostka rozpoczęła we wrześniu 1943 roku. Do działań nad Atlantykiem skierowano też samoloty V7, C-09, C-010, C-011 i C-012 (budowę C-013 ukończono, ale nie został on użyty).

Załoga Bv 222 (V4) zestrzeliła 22 października 1943 roku należący do US Navy bombowiec PB4Y Liberator. Efekty współpracy latających gigantów z U-Bootami były mizerne. I tak Bv 222 naprowadził je 30 października 1943 roku na konwój w pobliżu Gibraltaru. Niemcom udało się zatopić jeden statek handlowy o tonażu około 3000 t, ale sami stracili okręt podwodny, drugi zaś został uszkodzony. Jedna niemiecka gigantyczna latająca łódź (C-010) 8 lutego 1944 roku padła łupem brytyjskiego mosquito niedaleko swej bazy. Ostatni lot patrolowy Bv 222 w rejonie Zatoki Biskajskiej miał miejsce 27 maja 1944 roku.

16 sierpnia 1944 roku 1/SAGr.129 została rozwiązana, po lądowaniu aliantów w Normandii w czerwcu. Ocalałe cztery Bv 222 przeniesiono do Norwegii i przydzielono do nowych jednostek. Jako ostatni został zniszczony w czasie wojny Bv 222 (C-09). Pociski z kanadyjskiego myśliwca Hawker Typhoon dosięgły go 24 kwietnia 1945 roku w Travemünde. Tam też pod koniec wojny zatopila swą maszynę załoga V7. Podobny los spotkał V4, która pod koniec wojny znajdowała się w Kolonii (dzielnica Holtenau). Dwie niemieckie łodzie latające V2 i C-012 wpadły w ręce Brytyjczyków w norweskim mieście Sørreisa, po czym przerzucono je do Trondheim. Amerykanie przejęli też samoloty C-011 i C-013. V2 Brytyjczycy zatopili między Fagerviką a wysepką Munkholmen. C-012 w 1947 roku, po testach, złomowali. Niejasne są natomiast losy maszyn przejętych przez Amerykanów.



WŁODZIMIERZ
KALETA

Wpadki z komputera

Pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku jedną z najbardziej popularnych form szkolenia operacyjno-taktycznego były ćwiczenia dowódczo-sztabowe – tańsze od tych z wojskami w polu i łatwiejsze w organizacji. W tym też mniej więcej czasie w wojsku nastała „moda” na komputeryzację wszelkiego rodzaju działań sztabowych. W czasie jednych z ćwiczeń zdecydowano, że do grupy oficerów szkolących się na stanowisku dowodzenia (SD) obrony powietrznej zostaną włączeni oficerowie pionu informatyki. Ci mieli już na swoim koncie kilka opracowanych programów operacyjnych i kalkulacyjnych. Postanowiono sprawdzić, jak działają one w praktyce.

W pierwszej kolejności skorzystano z programu pozwalającego określić możliwości odtwarzania przez zakłady naprawcze zdolności bojowych uszkodzonych samolotów. Scenariusz ćwiczeń zakładał działania w pierwszych dniach wojny, kiedy atakujący przeciwnik był najsilniejszy i straty w maszynach mogły być wyjątkowo duże. Stosownie do planu wprowadzano do komputera odpowiednie dane. Teraz informatycy mieli pole do popisu. Od efektów ich pracy zależało, czy informatyka na stałe zawita na stanowiskach dowodzenia.

No i się stało. Albo ktoś wprowadził złe dane, albo program był niedopracowany, w każdym razie z informacji komputerowych wynikało, że w piątym dniu wojny, mimo poniesionych strat i wciąż nie najlepszych możliwości remontowych, obrońcy dysponowali większą liczbą samolotów niż na początku. Co gorsza, wstydził się inżynier z szefostwa lotnictwa, który wysokim przełożonym zaprezentował te dane bez ich sprawdzenia. Następnie, oczywiście, oberwało się informatykom.

Na kolejnych ćwiczeniach informatycy siedzieli już sobie samotnie w kącie sali planowania, gdzie z nudów, skrycie, układali pasjanse albo robili wykresy biorytmów na potrzeby horoskopów. Wprowadzając swoją datę urodzenia, można było uzyskać trzy wykresy: sprawności umysłowej, fizycznej i psychicznej na kolejne miesiące. Kiedy ćwiczący się o tym dowiedzieli, chętnych chcących swój horoskop zgłaszało się coraz więcej. W kącie informatyków zrobiło się gwarno, głośno, wesoło i tłoczniej niż na SD.

Przypadkowo w pobliżu przechodził gen. Henryk P. W pierwszej chwili naskoczył na towarzystwo, ale po uzyskaniu wyjaśnień, zainteresował się horoskopem i poprosił o wykres dla siebie. Niestety biorytmy generała nie prezentowały się pozytywnie. Niepocieszające prognozy na kolejne tygodnie we wszystkich trzech sferach zdjęły uśmiech z jego twarzy.

Szef informatyków, widząc marsową minę przełożonego, zadeklarował, że na kolejne ćwiczenia „usprawni program” przez dodanie do opracowywania horoskopu odpowiednich wymogów dotyczących stopnia wojskowego osoby badanej, bo teraz maszyna jest głupia i nie rozróżnia wysokich szarż. Dowcip rozładował sytuację. „Dobrze, wtedy się do was zgłoszę”, odrzekł generał, odchodząc z uśmiechem na ustach i starannie drąc swój horoskop. ■

**Z DANYCH W KOMPETERZE
WYNIKAŁO, ŻE W PIĄTYM DNIU
WOJNY OBROŃCY MIELI
WIĘCEJ SAMOLOTÓW
NIŻ NA POCZĄTKU**



PŁEK W ST. SPOCZ. WŁODZIMIERZ KALETA
SŁUŻYŁ W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI
DESANTOWEJ.



Gdy się już wskoczyło
do wody, to tam,
na dole, był raj.
Przejrzystość wody
znakomita, pływające
ryby, spokój i cisza...

| WETERANI |

PAULINA GLIŃSKA

BAŁTYK DLA ODWAŻNYCH

Ranni i poszkodowani w służbie żołnierze wzięli udział w szkoleniu wrakowo-morskim w Morzu Bałtyckim. To pierwszy taki kurs w Polsce. „Był dla nas niemałym wyzwaniem”, zgodnie przyznają uczestnicy.



PRZEMYSŁAW WÓJTOWICZ

P

aździernik 2006 roku pamięta do dziś. Był wtedy na siódmej zmianie misji w Iraku. Feralnego dnia st. sierż. Mariusz Sawicki, jako strzelec pokładowy, brał udział w locie bojowym na śmigłowcu Mi-24 w okolicach As-Suwajra. Maszyna została ostrzelana z broni maszynowej. Kula przeszła 1,5 cm od jego kręgosłupa. Żołnierz doznał m.in. urazu klatki piersiowej, miał uszkodzoną wątrobę, pofalowane żebra. Do służby wrócił półtora roku po wypadku. „Ze względu na stan zdrowia pracuję za biurkiem. Ale cieszę się, że wciąż noszę mundur. Zawsze podkreślam, że w pierwszej kolejności jestem żołnierzem, a dopiero później weteranem”, mówi podoficer. Przyznaje, że brakuje mu aktywności fi-

zycznej, adrenaliny. Choć nadal narzeka na dolegliwości zdrowotne, zdecydował się na wymagający kurs wrakowo-morski w Morzu Bałtyckim.

Razem z Mariuszem Sawickim, który służy w 15 Brygadzie Zmechanizowanej w Giżycku na stanowisku podoficera sztabowego, nad Bałtyk pojechało dziewięciu innych uczestników. Większość z nich to ranni i poszkodowani na misjach poza granicami kraju, na co dzień służący w 1 Warszawskiej Brygadzie Pancernej, 15 Giżyckiej Brygadzie Zmechanizowanej i 6 Głogowskim Pułku Drogowo-Mostowym. W kursie wzięli też udział wdowa po kpt. Danielu Ambrozińskim, tragicznie zmarłym w 2009 roku podczas misji w Afganistanie, oraz st. szer. Jakub Michalak. Żołnierz służył jako mechanik-kierowca w 21 Bazie Lotnictwa



STOWARZYSZENIE PODWODNIKÓW

ŻOŁNIERZE PO RAZ KOLEJNY UDOWODNILI SOBIE, ŻE WSZYSTKO JEST DO ZROBIENIA

Taktycznego w Świdwinie. W 2014 roku jego służbę przekreślił tragiczny wypadek samochodowy, w wyniku którego lekarze musieli mu amputować nogę.

NIE DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Wrakowo-morskie szkolenie to pierwsza taka inicjatywa dla poszkodowanych w służbie żołnierzy. Jego pomysłodawcą i organizatorem było powstałe na początku roku Stowarzyszenie Podwodnik – Szkoła Ratownictwa, Sportów Wodnych i Obronnych. „Choć działamy krótko, to kontynuujemy działalność prowadzoną od wielu już lat w ramach innych organizacji”, mówi Zbigniew Skopiński, prezes Stowarzyszenia i instruktor. „Mamy doświadczenie w pracy z żołnierzami poszkodowanymi. To dla nich już dwukrotnie organizowaliśmy szkolenie pletwonurkowe w jeziorze Orzysz na Mazurach”.

O ile jednak dwie poprzednie edycje nurkowania w jeziorze były kierowane do osób początkujących, o tyle propozycję nurkowania w Bałtyku Stowarzyszenie przygotowało z myślą o tych, którzy ukończyli kurs pletwonurkowy CMAS na poziomie pierwszym (podstawowym) i zdobyli już uprawnienia. Nurkowanie morskie miało być dla żołnierzy następnym stopniem wtajemniczenia, a także, co podkreślają in-

struktorzy, kolejną inicjatywą propagującą ideę rehabilitacji przez sport. Nad zdrowiem i bezpieczeństwem uczestników podczas całego szkolenia czuwali prof. dr hab. Piotr Siermon-towski, specjalista chorób nurkowych i koordynator ds. szkoleń z medycyny nurkowej, oraz psycholog Elżbieta Zakrzewska.

„Cały kurs trwał pięć dni. Zaczęliśmy od teorii. Uczestnicy przypomnieli sobie techniki zanurzania i wynurzania, konfigurację sprzętu, zasady nawigacji. Poznali też nowe zagadnienia, związane z nurkowaniem morskim, jak np. wycinanie się z sieci rybackich”, tłumaczy Zbigniew Skopiński. Instruktor przyznaje, że ta umiejętność przy nurkowaniu w morzu ma niebagatelne znaczenie. Bo choć wraki odwiedzane przez nurków są coraz częściej regularnie oczyszczane z sieci przez organizatorów nurkowania i szyprów, to zagrożenie zaplątaniem się w nie jest wciąż bardzo duże. „Dlatego schodząc pod wodę, trzeba mieć ze sobą przynajmniej jeden przyrząd do cięcia”, mówi instruktor.

Praktyczne zajęcia odbywały się w Zatoce Gdańskiej, okolicach Jastarni i Helu. „Bałtyk zalicza się do ścisłej czołówki miejsc nurkowych na całym świecie. Ta część morza jest bowiem unikatowa pod względem liczby zalegających na dnie wraków”, mówi Joanna Skopińska, instruktor. Ale polskie mo- ➔



Woda na

Stowarzyszenie Podwodnik prowadzi badania naukowe dotyczące korzystnego wpływu nurkowania na leczenie PTSD oraz stan zdrowia osób z dysfunkcjami ruchowymi. Eksperti w sposób naukowy chcą udowodnić, że już samo działanie wody bardzo dobrze wpływa na regenerację organizmu i powoduje lepsze samopoczucie oraz zwiększenie odporności fizycznej i psychicznej. Pionierskie badania nad zjawiskiem chronaksji (współczynnik pobudliwości tkanek) przeprowadził dr inż. Andrzej Krzyszkowski – koordynator ds. naukowych Stowarzyszenia.

zdrowie

rze, jak przyznają organizatorzy, jest także niezwykle wymagającym dla nurków akwenem. „Trudno porównywać je z innymi. Zmienna widoczność oraz warunki atmosferyczne wymagają od nurka przygotowania, wiedzy i na pewno co najmniej podstawowych umiejętności nurkowych”, mówi instruktor z Podwodnika.

Na własnej skórze przekonali się o tym uczestnicy szkolenia, którzy każdego dnia na pokładzie statku „Atosza” wypływali w morze. „Nurkuję od 20 lat z małymi przerwami. Przyznaję, że tym razem łatwo nie było. »Atosza« nie jest jednostką dużą, więc dość mocno było czuć bujanie. Największe wrażenie robiła co rusz wyłaniająca się i chowająca w wodę drabinka statku”, mówi mł. chor. Przemysław Wójtowicz, pełnomocnik dowódcy 1 Brygady ds. rannych i poszkodowanych oraz członek zarządu Podwodnika. Nurkujących nie rozpieszczały też niska, zaledwie sześciostopniowa temperatura i wysoka fala. Choć było słonecznie, wiał silny wiatr, który w rejonach przejścia dochodził do nawet sześciu w skali Beauforta. „Na szczęście w miejscach gdzie nurkowaliśmy, osłoniętych przez zatokę, było już nieco lepiej”, mówi podoficer z Wesołej.

PODWODNY RAJ

Nurkowania w Bałtyku, w porównaniu z tymi w jeziorach, wymagają dużo więcej przygotowań. „Jedno zejście pod wodę trwa około pół godziny, a samo przygotowanie do niego trwało o wiele dłużej. Trzeba było zapakować się na jednostkę, dopłynąć do miejsca nurkowania, a potem włożyć skafander i dobrać wyposażenie. Na tym etapie potrzebowałem nieco pomocy kolegów. Musiałem włożyć ocieplacz, suchy skafander, który nie przepuszcza wody i umożliwia nurkowanie z protezą, kamizelkę ratunkowo-wypornościową, kaptur ocieplający, a także zabrać ze sobą całe wyposażenie: automat, konsole pomiarowe, maskę, rurkę”, opowiada st. szer. Michalak.

Pod wodę uczestnicy schodzili w towarzystwie instruktorów. „Najtrudniejszy był lęk przed tak dużym akwenem. Gdy nurkowaliśmy w jeziorze, warunki były zupełnie inne. Wiadomo było, gdzie jest drugi brzeg, jak głębokie jest jezioro, nie było fali. Przewagą morza była jednak lepsza widoczność i przejrzystość oraz temperatura wody, która tym razem była dużo wyższa od temperatury powietrza. Ale na samym statku warunki były znacznie trudniejsze, dlatego zejście pod wodę i wyjście z niej nie było przyjemne. Gdy się już jednak wskoczyło, to tam, na dole, był raj. Przejrzystość wody znakomita, pływające ryby, spokój i cisza”, mówi podoficer z 15 Brygady.

Uczestnicy odwiedzili wraki okrętów na płytszych wodach, przeznaczone dla osób, które dopiero zaczynają przygodę z nurkowaniem w morzu. Zeszli do jednego z popularniejszych, leżącego na głębokości 18 m wraku ścigacza okrętów podwodnych „Groźnego”, zatopionego przez marynarke wojenną w celach szkoleniowych. Byli też przy kutrze „Bryza”, który służył jako jednostka pomocnicza morskiego rodzaju sił zbrojnych.

W piątym dniu szkolenia uczestnicy wyruszyli w ostatni rejs na pokładzie „Atoszy”. Pod wodą, przy wraku przedwojennego niszczyciela „Wichra” wstawionego walką w kampanii wrześniowej 1939 roku, złożyli wieniec i zapalili znicz – lightstick. „Oddaliśmy w ten sposób hołd poległym marynarzom, kmdr. Stefanowi de Waldenowi i załodze okrętu”, mówi mł. chor. Wójtowicz.

Instruktorzy podkreślają, że mimo trudnych warunków, uczestnicy szkolenia poradzi sobie doskonale. „Pierwszego dnia wszyscy byli bardzo ostrożni, nie każdy dokładnie wiedział, jak się ma zachować i co robić. Potem było jednak coraz lepiej, a ostatnie nurkowanie było bardzo udane. Osobiście mam wiele satysfakcji, gdy widzę pozytywny wpływ tej aktywności fizycznej na ludzi”, mówi Zbigniew Skopiński.

Niektórzy, tak jak Kuba Michalak, połknęli nurkowego bakcyła: „Wkręciłem się i niezależnie czy w jeziorze, czy na morzu, bycie pod wodą sprawia mi ogromną przyjemność”. Żołnierz ma na swoim koncie już niemałe osiągnięcia w tej dziedzinie. W tym roku, oprócz zdobycia certyfikatu płetwonurka na poziomie P1, zrobił też trzy specjalności: nurkowanie w suchym skafandrze, nawigację oraz nurkowanie nocne. „Sporty wodne są jedną z moich pasji. Chciałbym osiągnąć jak najwięcej w tej dziedzinie, dlatego planuję też kurs podlodowy, a potem zdobycie certyfikatu na poziomie P2”, mówi Kuba. By go zdobyć, będzie musiał zaliczyć wiele podwodnych zadań, w tym np. wynurzenie się z 20 do 5 m na jednym wdechu albo zdejmowanie maski podczas nurkowania, wypróżnianie jej z wody i ponownie założenie.

NIE TYLKO NURKOWANIE

Po zakończeniu kursu każdy z uczestników otrzymał honorowany na całym świecie certyfikat „Płetwonurek wrakowo-morski CMAS”. „To oczywiście ma duże znaczenie, ale w wypadku tej grupy kursantów nie chodziło tylko o papier. Naszym celem była przede wszystkim rehabilitacja osób z urazami fizycznymi, somatycznymi czy tymi związanymi z PTSD. Ze swoich doświadczeń w pracy z osobami nie w pełni sprawnymi wiem, że w niczym nie ustępują oni zdrowym, że przełamują swoje ograniczenia i z powodzeniem robią rzeczy powszechnie uważane za ekstremalne”, mówi Zbigniew Skopiński.

Oprócz zdobycia nowych umiejętności i możliwości aktywnej rehabilitacji, sami uczestnicy dostrzegają jeszcze jeden, bardzo ważny aspekt takich przedsięwzięć – spotkanie w gronie podobnych sobie. „Syty głodnego nie zrozumie. Jesteśmy dla siebie najlepszymi psychologami i rozumiemy się bez słów. Jak ktoś nie ma nogi, to nie czekamy, aż poprosi o pomoc, lecz bierzemy go pod ramię”, kwituje st. sierż. Sawicki.

Kuba Michalak, choć nie został ranny na misji, wśród weteranów poszkodowanych czuł się jak wśród swoich. „Bardzo ważne było dla mnie spotkanie z tym środowiskiem. Od razu znalazłem nić porozumienia z chłopakami. Czułem ich wsparcie już od samego początku. Atmosfera takich spotkań jest nie do opisania, ale myślę, że dla wielu mogą być one bardzo pomocne”, zapewnia Kuba.

Żołnierze wiedzą, że po raz kolejny udowodnili sobie, że wszystko jest do zrobienia. „Niektórym osobom weteran może się kojarzyć z człowiekiem, który leży w łóżku i narzeka. Owszem, można siedzieć w domu i biadolić, ale czy warto? Zrobiliśmy rzecz, która nawet niektórym zdrowym wydaje się ponad ich siły. Zachęcamy więc do podejmowania wyzwań kolejnych weteranów, bo skoro nam się udało, to dlaczego ma się nie udać innym”, mówi st. sierż. Sawicki i dodaje, że takie inicjatywy pozwalają też zmierzyć się z samym sobą, sprawdzić swoje możliwości. „Dobrze jest wyjść do ludzi, nie zamykać się w sobie. Nawet jak czasem gdzieś zaboli, coś zapieczę, trzeba zaciśnąć zęby, wziąć się w garść i iść dalej”, mówi podoficer z „Piętnastki”. ■



ARCH. SEBASTIANA MARCZEWSKIEGO

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Skok na głęboką wodę

Gdy eksplozja miny w Afganistanie uszkodziła mu kręgosłup, wysokie góry zastąpił głębinami.

Pod koniec października 2015 roku mł. chor. Sebastian Marczewski, technik kompanii logistycznej 3 Batalionu Inżynieryjnego w Nisku, weteran poszkodowany, pobił rekord nurkowania wzdłuż najgłębszego jeziora w Polsce – Hańczy. Przepłynął je na głębokości około 60 m. Była to także próba generalna przed przyszłorocznym schodzeniem pod wodę. 28 lipca 2016 roku zaplanował pobicie kolejnego rekordu: chce przepłynąć po dnie Hańczy, na głębokości 105 m. Wyruszy z północnego brzegu jeziora na południowy, pokona blisko 5 km, korzystając z podwodnego skutera.

PO KORONĘ ZIEMI

Każdej swojej pasji Sebastian poświęca się bez pamięci. Najpierw był alpinizm. „Góry pociągały mnie od zawsze, a najbardziej dzikość przyrody i samotność. Dlatego zawsze wspinałem

się sam”, opowiada. Pierwszym szczytem, który zdobył w wieku 17 lat, były Trzy Korony w Pieninach. Potem przyszedł czas na Tatry. Kupił wówczas pierwsze raki oraz plecak i specjalistyczną odzież. Samotna wspinaczka to sport dość ekstremalny. Wysoko na lodowcach człowiek jest zdany tylko na siebie. Jednak, jak twierdzi Sebastian, samotne dotarcie na szczyt daje większą satysfakcję niż wejście z ekipą.

Zanim wypadek pokrzyżował mu plany, zdobył połowę Korony Ziemi. Dwukrotnie wszedł samotnie na Mont Blanc we Francji, zdobył Kilimandżaro w Tanzanii i najwyższy szczyt Kaukazu – Elbrus. Był także na Gerlachu oraz Kenii, które nie są zaliczane do Korony Ziemi.

„Jeśli góra pozwoli, człowiek wejdzie”, uważa Sebastian. Nie zawsze udaje się za pierwszym razem. „Pociągał mnie słowacki szczyt Gerlach. Nie ma tam szlaków i trzeba iść z prze- ➔

wodnikiem. Poszedłem sam. Nie udało się. Wróciłem z lepszym wyposażeniem, wziąłem więcej paliwa do topienia śniegu – trudno bowiem wysoko w góry zabierać zapas wody do picia. Pomogła mi też pogoda”, wspomina.

Planował wybrać się do Ameryki Południowej, by w Andach zmierzyć się z najwyższym szczytem tego kontynentu, Aconcagua. W realizacji tego planu przeszkodził wyjazd na misję do Afganistanu. Był rok 2009, pod dalekim Hindukuszem rozpoczynała służbę VI zmiana PKW.

KIERUNEK AFGANISTAN

„Wojsko od zawsze było moją pasją”, wspomina Sebastian. „Już w szkole podstawowej interesowałem się historią obronności naszego kraju i walkami polskich żołnierzy na polach bitew całego świata. Robiłem wszystko, aby zostać żołnierzem”. Udało się, skończył Szkołę Chorążych Wojsk Inżynieryjnych i Komunikacji we Wrocławiu o profilu chemicznym i rozpoczął służbę zawodową w jednostce wojskowej. Aby utrzymać dobrą formę, biegał 100 km tygodniowo, ćwiczył na siłowni, pływał i nurkował, jednorazowo potrafił zrobić 2 tys. brzuszków.

Uważał, że prawdziwy żołnierz powinien się sprawdzić w boju. Takim testem miał być wyjazd do Afganistanu. Sebastian trafił do niewielkiej bazy Giro położonej wysoko w górach. Jedzenie, wodę i paliwo dostarczali z powietrza Amerykanie. Precyzyjnie zrzucaли zaopatrzenie na powierzchnię 100 m², bo wśród ośnieżonych afgańskich szczytów samolot nie mógł wylądować.

Sebastian został dowódcą drużyny bojowej, czyli grupy, która podejmuje najcięższe działania, zawsze jest na pierwszej linii frontu. Żołnierze z bazy Giro nie tylko często wyjeżdżali na patrole, lecz także chodzili na nie pieszo, bo nie wszędzie mógł wjechać rosomak. „Zawsze uważałem, że dowódca musi robić więcej niż zwykły żołnierz, być pierwszy na polu walki i ostatni, który z niego schodzi”, opowiada Sebastian.

Wszystko zmieniło się 2 listopada 2009 roku, o godz. 6.30. „Ochranialiśmy konwój, który przywiózł nam żywność i wracał z Giro do Karabachu”, wspomina Sebastian. Ubezpieczał sapera sprawdzającego odcinek drogi, który wydał się im podejrzany. Zanim stracił przytomność, usłyszał eksplozję. Był kilka metrów od epicentrum wybuchu. Ładunek został prawdopodobnie odpalony drogą radiową. Pamięta, że gdy się ocknął, panowała totalna cisza, jakby czas się zatrzymał. Po chwili poczuł palący ból w plecach. W szpitalu w Ghazni, dokąd zabrał go śmigłowiec, okazało się, że miał w dwóch miejscach złamany kręgosłup. To cud, że nie doszło do przerwania rdzenia – orzekli lekarze. „Nie chciałem, aby mnie przewieziono do amerykańskiej bazy lotniczej w Niemczech. Po kilku tygodniach rehabilitacji w szpitalach w Bagram i Ghazni wróciłem do chłopaków, ale byłem już wykluczony z patroli”.

Wypadek w Afganistanie wyeliminował Sebastiana z grona alpinistów. Choć kalectwa nie widać, to uraz kręgosłupa jest bolesny, codziennie są potrzebne leki przeciwbólowe i rozkurczowe. Musiał zrezygnować z biegania, ćwiczeń na siłowni

i w wypraw w góry. Lekarz zalecił tylko pływanie. Z górskiej wspinaczki Sebastian przerzucił się zatem na nurkowanie. Do dziś pod wodą spędził około 2,5 tys. godzin.

Ma status weterana poszkodowanego i jest członkiem Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. Zaczął się angażować w programy pomocowe Stowarzyszenia. W ramach projektu „Wspierajmy weteranów” zorganizował akcję „Drzewo dla Franka”. Razem z Janem Koczarem, też weteranem poszkodowanym, jeździli do Franciszka Jurgielewicz, który na misji stracił nogę, aby pomóc mu przygotować drewno na opał na zimę. „Chcieliśmy pokazać, że pomagając innym, pomagamy równocześnie sobie samym”, podkreśla Sebastian.

„To świetnie wyszkolony żołnierz, był zdecydowany jako dowódca, uczynny jako kolega”, mówi st. sierż. Ryszard Kosowski z 4 Batalionu Inżynieryjnego w Głogowie, który służył z Sebastianem na VI zmianie PKW Afganistan. Podziela pasję kolegi, bo wie, że nurkowanie nie tylko korzystnie wpływa na rehabilitację weteranów poszkodowanych, lecz także jest rodzajem terapii – wycisza, pomaga w powrocie z misji, gdy żołnierzowi ciężko się odnaleźć.

REKORD W LIPCU

Sebastian jest instruktorem nurkowania, zdobył ponad 30 certyfikatów kilku federacji. Jest też nurkiem technicznym z najwyższymi uprawnieniami, jakie można zdobyć w Polsce. Obecnie przygotowuje się do przyszłorocznego bicia rekordu w jeziorze Hańcza, swoim ulubionym akwenie. Jak tłumaczy, już samo przebywanie 15 godzin pod wodą jest ogromnym wyzwaniem dla organizmu. Dlatego dużo ćwiczy, chodzi na basen i zdrowo się odżywia. W kwietniu spędzi miesiąc nad Hańczą, gdzie po kilka godzin dziennie będzie nurkował do głębokości 100 m, zanim 28 lipca spróbuje pokonać blisko pięciokilometrowy dystans po dnie jeziora. Będzie wówczas poruszał się z prędkością 50–60 m/min, dźwigając na sobie około 200 kg sprzętu, w tym kilka butli gazowych.

W biciu rekordu Sebastianowi pomaga wykwalifikowana kilkunastoosobowa ekipa, składająca się z lekarzy, nurków i osób odpowiedzialnych za stronę techniczną. Specjalistyczny, robiony na zamówienie, sprzęt zawdzięcza sponsorom. „Wspierają mnie także Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych oraz moi bezpośredni przełożeni”, dodaje Sebastian.

Nurkowe zamiłowanie pochwała jego dowódca kpt. Michał Zbroński. „Ta pasja nie przeszkadza mi w wykonywaniu służbowych obowiązków”, podkreśla kapitan. Mł. chor. Sebastian Marczewski jako technik kompanii logistycznej 3 Batalionu Inżynieryjnego w Nisku odpowiada za sprawność i przygotowanie sprzętu. „Dopingujemy go i mocno trzymamy kciuki za jego kolejne rekordy”, dodaje dowódca Sebastiana.

„Nie znam nikogo, kto lepiej od niego znałby jezioro Hańcza”, mówi Krzysztof Dołowy, jeden z najbardziej doświadczonych nurków w Polsce (uprawia ten sport od 40 lat) i członek ekipy technicznej, która czuwa nad bezpieczeństwem Sebastiana. Ocenia, że jest on dobrze przygotowany kondycyjnie, ma szeroką wiedzę, także medyczną, na temat tego sportu. I co nie mniej istotne – jest odważny. ■



ARCH. S. MARCZEWSKIEGO

Zanim wypadek pokrzyżował mu plany, zdobył połowę Korony Ziemi.



Barbórka

Kopalnia, w której pracuje Basia, przygotowuje się do uroczystej gali z okazji Barbórki. Jedną z głównych atrakcji ma być spotkanie z aktorem – Jakubem Skowerskim, bożyszczem wielbicieli telenowel. Tę dwójkę bohaterów, Basię i Jakuba, reprezentujących odległe światy, los zetknie ze sobą na dwa dni barbórkowego święta. Ich znajomość będzie ewoluowała od nie-

chęci – gdyż początkowo Basia nie darzy sympatią nadąsanego gwiazdora, a Jakub nie przepada za towarzystwem przeciętnie urodziwej i pyskatej dziewczyny – do zrozumienia i pojednania. W magiczną barbórkową noc ponoć wszystko może się wydarzyć. Życie jednak nie jest telenowelą, ale pozostaje nadzieją, że los zawsze może się odmienić, a szczęścia nie trzeba szukać daleko. I to jest właśnie przesłaniem tej magicznej opowieści.

3 grudnia, godz. 12.10

TVP
HISTORIA

Twierdza Dęblin

Film przedstawia historię i walory obronne dawnej twierdzy Iwgorodzkiej, znanej dziś jako Twierdza Dęblin. Autor opowiada o rozwiązaniach architektonicznych oraz ich przeznacze-

niu w kontekście sztuki fortyfikacyjnej i wymogów pola bitwy w XIX i XX wieku. W programie zostały wykorzystane materiały archiwalne ilustrujące działania wojenne w okresie I wojny światowej, w których twierdza odegrała istotną rolę.

5 grudnia, godz. 17.20

TVP
HISTORIA

Ostatnie dni Anny Boleyn

W Greenwich Palace, nieopodal Londynu, 2 maja 1536 roku po południu zjawiała się straż królewska i członkowie rady królewskiej. Przynieśli nakaz aresztowania królowej. Dwa tygodnie później, 19 maja 1536 roku, Annę Boleyn, drugą żonę króla Henryka VIII, wyprowadzono z Tower i ścięto jednym uderzeniem miecza.

Nigdy wcześniej królowej Anglii nie aresztowano i nie zgładzono. Król siedem lat czekał na ślub z Anną Boleyn, dla niej rozstał się z żoną, z którą żył 24 lata, zmienił religię w Anglii. Czy tragiczny los królowej to tylko wynik intrygi Thomasa Cromwella?

26 grudnia, godz. 1.05
27 grudnia, godz. 16.15

Podzielony kontynent

Premiera
w TVP Historia!

Historyczny thriller wojenny. Rok 1939, niemiecka ekspedycja bada region arktyczny (Spitsbergen). Zaledwie kilka dni po przybyciu na miejsce Niemcy atakują Polskę i wybuch II wojna światowa. Wyprawa jest niemiecka, ale na pokładzie statku badawczego znajduje się jeszcze kilka innych nacji, m.in. kapitanem jest Norweg. Część załogi to Rosjanie oraz Szwedzi i Brytyjczycy. Jeden z nich jest Żydem. Misja zostaje zawieszona, ponieważ ekspedycja nie wie, co w tej sytuacji ma robić. Wszyscy czekają, aż rządy wyjaśnią sytuację naukowców. Tymczasem na pokładzie atmosfera staje się coraz bardziej napięta i przypomina symbolicznie sytuację całej Europy. Niemiecki rząd nagle przysłał rozkaz, aby statek, przeznaczony do misji naukowej, storpedował i zatopił brytyjski okręt wojenny z 1200 żołnierzami na pokładzie.

6 grudnia, godz. 00.20

TVP
HISTORIA

Paryż. Szalone lata dwudzieste

To były wspaniałe czasy, olśniewające, genialne i beczelne. Lata dwudzieste ubiegłego wieku to w historii Paryża okres wyjątkowy. Miasto zatrząskuje za sobą wrota XIX wieku i z impetem wchodzi w nowe stulecie. Młodzi Francuzi za wszelką cenę próbują zapomnieć o koszmarze wielkiej wojny. Jedynym lekarstwem jest nieustanna feta, wiara w beztroski świat. Gorączkę, która ogarnęła wtedy stolicę Francji, oddaje jedno słowo „szaleństwo”. Szalone lata dwudzieste przynoszą prawdziwą rewolucję, zapoczątkowaną przez garstkę wizjonerów: artystów, uczonych, pisarzy, tancerzy, wynalazców, którzy drwili sobie z konwenansów i wciągnęli miasto w zawrotny taniec. Szalone lata dwudzieste to magiczny moment wciśnięty między dwie wojny. Krótka dekada, za to przeżyta pełną piersią.

Część I: 31 grudnia 2015 roku, godz. 23.20
Część II: 1 stycznia 2016 roku, godz. 23.20

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Polska flaga w Patagonii

To jeden z najtrudniejszych wyścigów świata. Jego trasę, liczącą nawet ponad tysiąc kilometrów, śmiałkowie muszą pokonać w dziesięć dni. Na ekstremalną wyprawę do Chile Polacy pojadą po raz pierwszy.



Rafał, Paweł, Krystian i Agnieszka do ekstremalnego wyzwania przygotowują się od kilkunastu miesięcy. Jeżdżą na rowerze, pływają kajakami, wspinają się i biegają. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że jeśli jeżdżą na rowerach, to przy złej pogodzie, jeśli pływają kajakami – to zwykle pod prąd, a jeśli biegają, to kilkadziesiąt kilometrów dziennie. Urozmaicone treningi mają ich przygotować do 12. edycji wyścigu Patagonian Expedition Race, uznawanego za jeden z najtrudniejszych na świecie. Podczas zawodów będą musieli pokonać kilkaset kilometrów

w dziesięć dni. Na razie bliższych detali co do przebiegu trasy nie znają, szczegółowe informacje organizatorzy przekażą im dopiero 24 godziny przed startem. Rafał, który jest kapitanem polskiej drużyny i byłym żołnierzem Jednostki Wojskowej GROM, przyznaje, że w czasie Patagonian Expedition Race są pewni tylko jednego – silnego wiatru. Polska ekipa jako Spirit of Poland rozpocznie wyzwanie w połowie lutego.

Ta wietrzna kraina leży w Ameryce Południowej, pomiędzy oceanami Atlantyckim a Spokojnym, na terenie Chile oraz Argentyny. Krajobraz Patagonii jest zdominowany przez Andy,

KOMENTARZ

NATALIA POSADZY



Wyścig w Patagonii to wyzwanie dla całej drużyny. Idealne dla gromowców, którzy byli szkoleni do ekstremalnych misji. To trudne zadanie, choć jestem przekonana, że każdy uczestnik zawodów ma za sobą niejednego ultramaraton czy triathlon. Żeby przygotować się do takiej rywalizacji na 100%, trzeba by trenować w środowisku, w którym ona się odbędzie. Nie zawsze jest to jednak możliwe. Na szczęście ludzie mają w sobie ukrytą siłę, która w ekstremalnych warunkach uaktywnia się i wtedy możemy wszystko! Jakiś czas temu inna grupa specjalistów przebiegła Polskę wzdłuż – od Bałtyku do Tatr. Dlatego wierzę w ekipę Spirit of Poland i mocno trzymam kciuki. Niech mottem dla nich będą słowa: „Kto ma odwagę, zwycięża”. I oni zwyciężą!

Natalia Posadzy jest biegaczką. Wielokrotnie startowała w maratonach, ale jej specjalnością jest bieganie po górach, czyli zawody typu ultra.

PATAGONIAN EXPEDITION RACE

lodowce, jeziora, wyspy i rzeki, które, płynąc przez wyżyny, uformowały głębokie wąwozy. „Klimat Patagonii najlepiej opisać jednym słowem, jest on po prostu nieprzewidywalny. Pogoda potrafi się zmienić z letniej na zimową w ciągu kilku godzin. Zdarzają się także ulewne deszcze. Jedyna stała to bardzo silny wiatr”, przyznaje Rafał.

Do Chile pojechał kilka miesięcy temu, by sprawdzić teren, w którym odbywają się zawody. Najcieplejsze miesiące to grudzień, styczeń i luty, a najzimniejsze – czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień. „Charakterystyczne dla Patagonii są także lasy, któ-

re rosną na zboczach gór. W czasie mojej wyprawy bardzo dużo chodziłem po lasach i nigdy, ani razu, nie trafiłem na miejsce zbliżone wyglądem do poprzedniego”, mówi kapitan polskiego zespołu. Zaznacza przy tym, że podczas rekonesansu wybierał najtrudniejsze szlaki albo miejsca zupełnie dzikie. „Te turystyczne są bardzo przyjemne, ale te dzikie to już całkiem inna bajka”, dodaje ze śmiechem. Co ciekawe, przemierzając chilijskie bezdroża, można praktycznie nie dotknąć stopą ziemi. Trzeba wspinać się na powalone drzewa, których gałęzie się płączą, tworząc dziwne konstrukcje. „Patagonia jest krainą tak →

bardzo niepoznaną, że niektóre z terenów nie mają jeszcze ustalonych nazw. Organizatorzy wyścigu muszą je więc wymyślać sami, by umieścić napisy na mapie trasy”, uzupełnia były operator GROM-u.

SPIRIT OF POLAND

„W GROM-ie służyłem od 1998 roku, a wcześniej pracowałem w Nadwiślańskich Jednostkach Wojskowych w batalionie antyterrorystycznym. Selekcję zaliczyłem za pierwszym razem”, mówi Rafał. Ma 43 lata. Długo służył w zespole bojowym, walczył w Iraku i Afganistanie. W ostatnim czasie zajmował się szkoleniem kolegów z jednostki, a specjalizował w skokach spadochronowych. Wykonał ich przeszło 2 tys. Jest także jednym z pierwszych żołnierzy w naszej armii, którzy desantowali się z aparaturą tlenową z wysokości 10 tys. m. „GROM to była moja pasja. Nie żałuję ani jednego dnia. Każdy był nowym wyzwaniem, nie było dwóch podobnych przeżyć”, wspomina. Dodaje także, że ze służby odszedł ze względów osobistych – chciał więcej czasu spędzać z rodziną.

Sportem interesował się od zawsze. Najpierw trenował kulturystykę, potem uprawiał triathlon. Startował także w zawodach typu Half Ironman, wielu maratonach, zdobył szczyt Mont Blanc. O wyścigu rozgrywanym w Patagonii słyszał już kilka lat temu, ale ze względu na obowiązki służbowe nie mógł w nim uczestniczyć. Gdy zdjął mundur specjalsa i znalazł spokojniejszą pracę, postanowił wrócić do swoich wcześniejszych marzeń o ekstremalnym rajdzie po Patagonii.

Zawody odbywające się w Chile są konkurencją drużynową. Do rywalizacji stają zespoły czteroosobowe (trzech mężczyzn i kobieta lub trzy kobiety i jeden mężczyzna), dlatego Rafał musiał jak najszybciej skompletować team. Postawił na ludzi, których dobrze zna. W drużynie znaleźli się byli operatorzy GROM-u, ratownik górski oraz pracownik wojska.

Pomysłem w pierwszej kolejności zainspirował „Navala”, byłego operatora jednostki. „Byliśmy w jednym zespole bojowym. Wiedziałem, że nie trzeba go ciągnąć za rękę do sportu. W Patagonii prawdopodobnie będziemy przekraczali granice swoich możliwości, a z nim robiliśmy to już wielokrotnie”, dodaje Rafał. „Naval” z GROM-em był związany przez 15 lat. Większość czasu spędził na misjach. Napisał też książkę „Przetrawić Belize”, o szkoleniu w dżungli. Jest organizatorem kilku wypraw trekkingowych w rejonie Annapurny w Himalajach.

Ze środowiska specjalsów wywodzi się także Krystian. Jest czynnym ratownikiem Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego oraz miłośnikiem ultramaratonów i biegania po górach. Z trzema facetami do Chile już za niespełna dwa miesiące wyruszy także kobieta. Agnieszka jest pracownikiem wojska, ma 30 lat. „To wielokrotna mistrzyni Wojska Polskiego w biegach na orientację. Jest twarda, nie boi się ani zimna, ani deszczu. Ma mocny charakter i pogodne usposobienie. Stanowi świetne uzupełnienie naszego zespołu”, zapewniają koledzy. To właśnie o nią panowie martwią się najbardziej. „Najpóźniej 48 godzin przed startem mogę wymienić jednego z zawodników z mojej drużyny. Ale najgorszy scenariusz to szukanie zastępstwa właśnie dla Agnieszki. Trudno byłoby znaleźć drugą taką zdeterminowaną babkę”, przyznaje Rafał.

PIEKIELNIE WYZWANIE

Patagonian Expedition Race 2016 jest jeszcze wielką tajemnicą. Zgodnie z regulaminem szczegółowe informacje na temat



Zespół Spirit of Poland od ponad roku przygotowuje się do startu w morderczym wyścigu. Początek już 16 lutego 2016 roku.

długości i przebiegu trasy zawodnicy dostają nie wcześniej niż dobę przed startem. Oznacza to, że do tego czasu nie wiedzą, ile kilometrów będą musieli pokonać, jak zaplanować siły i jakie zabrać jedzenie.

Wyścig w Chile jest organizowany z przerwami od 2004 roku. Biorą w nim udział drużyny z całego świata. Sportowcy uznają go za piekielnie trudny, ze względu na skomplikowaną trasę, morderczy dystans, niecodzienne ukształtowanie terenu i niepewność pogody. Choć zawody odbywają się latem, to zdarza się, że uczestnicy część trasy pokonują w słońcu, a część w śniegu. Na trasie są góry, lasy, tereny piaszczyste, fiordy, jeziora, rzeki i grzęzawiska. W takich warunkach ścigają się tylko najlepsi. „Często są to sportowcy, ludzie zakręceny na punkcie dyscyplin ekstremalnych, byli żołnierze, operatorzy wojsk specjalnych”, wyjaśnia Rafał. Zespoły, które walczą o najwyższe miejsca, przez pierwsze trzy dni działają po 20 godzin na dobę. Ale nie wszyscy docierają na metę. W 2013 roku wyścig skończyło jedynie 30% drużyn.

Najkrótsza dotychczas trasa wynosiła ponad 500 km, najdłuższa 1100 km. Część drogi zawodnicy muszą pokonać pieszo, część rowerem, część kajakiem. To, ile kilometrów trzeba będzie biec czy jechać rowerem, zależy od organizatorów wyścigu, to oni określają długość poszczególnych odcinków. Wyznaczają na trasie także kilkanaście różnych punktów, na których muszą meldować się zawodnicy. Ci zaś podczas całego wyścigu mogą posługiwać się jedynie kompasem, zabronione jest używanie GPS-u. Można z niego skorzystać tylko w sytuacjach alarmowych, gdy trzeba wezwać pomoc. W innym wypadku jest to równoznaczne z dyskwalifikacją z zawodów.

Do tej pory w zawodach uczestniczyli m.in. Amerykanie, Francuzi, Niemcy, Hiszpanie, Kanadyjczycy, Szwajcarzy, Turcy, Urugwajczycy, Argentyńczycy oraz Brytyjczycy. I to właśnie ci ostatni wygrywali te zawody cztery razy z rzędu. Co ciekawe, nagrodą po ekstremalnym wysiłku jest zimne piwo i satysfakcja. „W wyścigu w południowej Patagonii nie było nigdy drużyny z Polski. Startowali już np. Rosjanie i Czesi, a Polaków brakowało. Przeglądając w internecie stronę organizatora, zwróciłem uwagę na to, że pośród kilkunastu flag uczestników nie było tej polskiej. Chciałbym, aby już niedługo pojawił się tam biało-czerwony symbol. To jedna z moich głównych motywacji”, przyznaje Rafał. I dodaje, że wierzy w swój zespół, doświadczenie ludzi i mocne charaktery. „Tanio skóry nie sprzedamy”, zapowiada.

KOMENTARZ

PIOTR HERCOG



Byłem zdziwiony, że w Patagonian Race Expedition chce wystartować drużyna, która nigdy wcześniej nie brała udziału w „lżejszych” zawodach tego typu. Chłopaki i Agnieszka porywają się naprawdę na dużą rzecz. Dla biegaczy, osób lubiących tego typu zawody, Patagonia zawsze była czymś na samym szczycie skali trudności. Spotkałem się z drużyną i udzieliłem jej kilku rad, podzieliłem się swoimi doświadczeniami. Ważne, by stworzyli naprawdę mocny zespół, bo to jest w takich wyścigach najważniejsze. Myślę, że może im pomóc doświadczenie z wojsk specjalnych, na pewno uczono ich tam, jak sobie radzić w trudnych warunkach. Trzymam za nich kciuki!

Piotr Hercog jest zawodnikiem zespołu Salomon Suunto Team. Startuje w ultramaratonach górskich w Polsce i na świecie. Do niego należy najlepszy wynik w historii polskich startów w biegu wokół Mont Blanc.

Zespół Spirit of Poland trenuje od roku. Treningi podzielili na trzy etapy: wytrzymałościowy, szybkościowy i regeneracyjny. Przygotowywali się głównie w pojedynkę. „Każdy z nas ma swoje zobowiązania zawodowe i rodzinne. Ustalenie wspólnych ćwiczeń było wielkim wyzwaniem. Ale właśnie dlatego wybrałem do składu tych ludzi. Wiedziałem, że z pełną odpowiedzialnością podejść do zadania i będą się przygotowywać sami”, opisuje kapitan zespołu. Sam trenował do zawodów triathlonowych, Krystian wystartował w ultramaratonie, a Agnieszka w biegach na orientację.

Kilka miesięcy przed zawodami rozpoczęli wspólne treningi. Niedawno przejechali około 200 km na rowerze. Jeżdżą głównie pod Warszawą i trenują na stołecznej Agrykoli oraz w Puszczy Kampinoskiej. Korzystają z rowerów górskich MTB, które zostały odpowiednio dopasowane do ciała każdego z zawodników.

Najwięcej trudności sprawia zawodnikom przygotowanie do etapu kajakowego. „W GROM-ie nigdy nie płynąłem kajakiem!”, wyjaśnia jeden z uczestników wyścigu. Szkolenie rozpoczęli od zajęć w Jeziorze Dziekanowskim pod Warszawą. Później przenieśli się na Kanał Żerański. Fachowego wsparcia udziela żołnierzom trenerka z klubu sportowego Spójnia. „Początki były frustrujące. Nie mogliśmy się zgrać w dwuosobowych zespołach. Pływaliśmy od lewego do prawego brzegu”, opowiada zawodnik. Byli operatorzy wyjaśniają, że stosują technikę wiosłowania przeznaczoną dla długodystansowców. „Mimo że musimy pokonać kilka lub kilkanaście kilometrów w kajaku, to nie jest to spokojny rejs. Trzeba wiosłować szybko, a płynie się czasami pod prąd”, mówi Rafał.

Byli gromowcy przyznają, że po takim treningu bołą przede wszystkim nogi, a nie, jak można by przypuszczać, ręce. „Dzieje się tak dlatego, że gdy wkładamy wiosło do wody, to równocześnie nogą popychamy kajak do przodu. Tam w środku są podnóżki, o które opieramy stopy. Mięśnie pracują non stop”, mówi zawodnik. Najtrudniej płynąć pod prąd. W trakcie jednego z takich „wodnych” tre-

ningów, płynąc pod wiatr, kilometr pokonali w 20 minut. „To pokazuje, jak może być ciężko, kiedy np. będziemy musieli przepłynąć cieśninę Magellana”, mówi kapitan.

Pływanie kajakiem to jednak nie wszystko. Drużyna spotyka się także na basenie, gdzie się przygotowuje z zajęć ratowniczych. Zawodnicy ćwiczą procedury ratunkowe na wypadek wywrócenia kajaków. Ostatnie treningi z wiosłowania Spirit of Poland odbędą na Bałtyku.

DOBRY PLAN

Do Patagonii ekipa z Polski zabiera rowery, wiośła, kamizelki, kombinezony, systemy holownicze, sprzęt trekkingowy i osobisty do wspinaczki, a także jedzenie na dziesięć dni – batony energetyczne czy posiłki liofilizowane. Jedynie kajaki dostają od organizatora. Spirit biorą z sobą także odzież Goreteksową i wygodne, wodoodporne buty.

Czy się czegoś obawiają? „To ekscytująca sprawa i nie możemy się doczekać wyjazdu”, mówią. Ale kapitan drużyny przyznaje, że najbardziej obawia się kontuzji. „Niedyspozycja jednego z zawodników oznacza dyskwalifikację drużyny”, wyjaśnia. Zgodnie z zasadami zawodnicy nie mogą się rozdzielać na więcej niż 100 m. „Nie będziemy dopuszczać do takich różnic. Musimy trzymać się razem. Jak się idzie po pustkowiu, to bardzo łatwo stracić orientację i się zgubić”, mówi zawodnicy.

Najważniejsze jest dobre planowanie. Gdy już poznają szczegóły trasy, będą musieli przewidzieć liczbę przystanków na posiłki i odpoczynek.

Z Polski do Chile drużyna Spirit of Poland wystartuje 10 lutego. Trzy dni później będzie rejestracja uczestników. Potem wszyscy śmiałkowicie spotkają się jeszcze na sprawdzianie z technik wspinaczkowych i kajakowych. Będą musieli udowodnić organizatorom, że są dobrze przygotowani, a poziom ich umiejętności gwarantuje bezpieczne przeprowadzenie zawodów. 15 lutego, punktualnie o 15.00, wszyscy otrzymają mapę z wyznaczoną trasą. Start odbędzie się dzień później, czyli 16 lutego, tuż przed zachodem słońca. ■



MARCIN GÓRKA

Wigilia po grecku

Podwodniacy świętują, czyli jak na Krecie znaleźć korzeń selera.

Marynarze z ORP „Bielik” antyterrorystyczną operację NATO zakończyli świętami Bożego Narodzenia w mesie. 20 osób na kilku metrach kwadratów. Bez choinki, bez czerwonego barszczu, bez prezentów. Za to z myślami, że zaraz wracają do domu. I to był ich prezent pod choinkę.

Dzisiaj takich uroczystości już na okrętach podwodnych nie ma. Wysłuzone kobbeny, które nadal stanowią trzon polskiej floty podwodnej, z racji wieku i przebytych mil morskich, a także braku części zamiennych, w dalekie rejsy wypływają co najwyżej na parę dni. „Załogi spotykają się przed Wigilią, składają sobie życzenia, potem rozchodzą się do rodzin”, mówi rzecznik 3 Flotylli Okrętów kmdr por. Radosław Pioch. „Inna sprawa, że kiedy była jeszcze służba zasadnicza, spotkania wi-

gilijne odbywały się 24 grudnia. Na okrętach organizowano tradycyjną kolację, a rolę gospodarza zawsze odgrywał dowódca jednostki. Dopiero potem kadra wracała do domów i rodzin. Na okręcie zostawała tylko służba dyżurna i marynarze, którzy nie udali się na przepustki.

Tym razem było inaczej. ORP „Bielik” wychodził na antyterrorystyczną operację NATO „Active Endeavour” na Morzu Śródziemnym. Nie było szans na zapakowanie prowiantu na święta. Lodówki, wielkości tych, które mamy w domach, musiały zapewnić jedzenie na rejs dla całej 25-osobowej załogi „Bielika”. Kucharz i reszta zaokrętowanych wiedzieli, że trzeba będzie w Wigilię improwizować.

Marynarze tamtego rejsu na „Bieliku” rozpoczęli operację na początku listopada 2006 roku. A w zasadzie miesiąc wcze-

NAJWIĘKSZY KŁOPOT W PORCIE NA GRECKIEJ KRECIE BYŁ Z PRZYGOTOWANIEM RYBY PO GRECKU



ARCHIWUM 3 FO (2)

śniej, bo tyle czasu trzeba było na dojście jednostki z Gdyni na Morze Śródziemne. „Nasza średnia prędkość wynosiła około 6 w.”, opowiada kmdr ppor. Krzysztof Snarski, uczestnik tego rejsu, wówczas w stopniu kapitana marynarki na stanowisku oficera wachtowego, a dziś dowódca innego kobbeny – ORP „Kondor”. „Część drogi przebyliśmy w wynurzeniu, a część pod wodą”. Z dwóch powodów. Po pierwsze, w czasie pokoju na wodach terytorialnych okręt podwodny może iść tylko w wynurzeniu. Po drugie, dodatkowy balast sprawiłby, że moglibyśmy nie wynurzyć się już z powrotem na Bałtyku.

„Bałtyk jest morzem dość słodkim”, wyjaśnia kmdr Snarski. „Żeby nasz okręt zanurzył się w mocno zasolonym Morzu Śródziemnym, musieliśmy do żęzy zapakować dodatkowe 3 t balastu w postaci ołowianych kostek”. Pod wodę zeszli dopiero za Kanałem Kilońskim. I winszowali sobie. „Pogoda paskudna. Regularny sztorm. Kiedy się wynurzyliśmy i oficer wachtowy na pomoście chciał zapalić papierosa, udało mu się to dopiero z czwartym”, mówi Snarski. „Za każdym razem, kiedy fala przewalała się przez pokład, do środka po jego plecach wlewała się wanna wody”.

W zanurzeniu takiej pogody się nie odczuwa. Przy peryskopowej – trochę kiwa. Poniżej tej głębokości, gdzieś na 40 m, jest już totalny spokój. Na powierzchni wieje i ludzie na pokładach doświadczają morskiej choroby, a podwodniacy mogą nawet nie wiedzieć, co się nad nimi dzieje. Odrywają się od rzeczywistości na powierzchni i tracą poczucie czasu. Rytm dnia regulują wachty – cztery godziny służby, osiem odpoczynku... i tak w kółko. Wachty i posiłki są wydawane przez kuka w nor-

malnych porach dnia: śniadanie rano, kolacja wieczorem. To jedyny sposób, żeby na okręcie podwodnym wiedzieć, jak płynie czas naprawdę. Gdyby nie to, panowałby istny dzień świątka. Zwariować można.

A co się dzieje w ciągu tych ośmiu godzin wolnego? Oczywiście wolnego tylko teoretycznie, bo zawsze można zostać skierowanym do roboty albo dowódca może zarządzić alarm. Za zorganizowanie ludziom czasu odpowiada zastępca dowódcy. „Mieliliśmy konsolę, więc zorganizowałem turnieje w »FIFA«”, mówi ówczesny zastępca, a dziś dowódca „Bielika” kmdr por. Robert Rachwał. „No i oglądaliśmy filmy na wideo – wtedy obejrzeliliśmy wszystkie części »Jamesa Bonda«”. Ludziom trzeba dawać zajęcie, bo na tak małej powierzchni nie ma opcji, żeby nie dochodziło do sprzeczek, konfliktów”. Obrazowo kmdr Rachwał opisuje to tak: okręt ma prawie 50 m długości, do poruszania się zostaje około 30 m. Kubatura do oddychania wynosi 330 m³. To tyle, co dwa przedziały kolejowe. Tylko że jest tam nie 16, ale 25 osób.

ANTYTERRORYSTYCZNY PRZED PERYSKOPEM

Do operacji „Active Endeavour” oficjalnie przystąpili wraz z wyjściem z Kartagenu. I tak z początkiem listopada 2006 roku rozpoczął się antyterrorystyczny patrol „Bielika”. Antyterrorystyczny, bo „Active Endeavour” podjęto zaraz po zamachach na WTC w Nowym Jorku. „Teraz, kiedy istnieje problem uchodźców, ta operacja na Morzu Śródziemnym zyskała na znaczeniu i rozgłosie”, mówi ówczesny oficer nawigacyjny „Bielika” ppor. mar. Andrzej Kuliś (dziś w stopniu kapitana marynarki). „Ale i wtedy były tam poważne problemy. Statki z przemalowanymi nazwami i podmienionymi banderami przemycali broń i ludzi. Kwitł przemyt narkotyków”. Bo przemysłnicy używali nie starych krypt, lecz na pozór profesjonalnie wyglądających jednostek: tankowców czy kontenerowców, ale spod tzw. tanich bander, które miały przemalowane nazwy. Ich załogi zajmowały się tym procederem, bo już wcześniej zostały przyłapane na szmuglerce uciekinierów, kontrabandy czy broni. Okręty i siły powietrzne państw NATO miały im w tym przeszkodzić, m.in. nasz „Bielik”. „Cały czas byliśmy wówczas w zanurzeniu, z wyjątkiem tych chwil, gdy wychodziliśmy na chrapy [na chrapach okręt jest w zanurzeniu, a nad wodę oprócz peryskopu wystaje tylko szyb powietrzny], żeby przewietrzyć pokład i naładować diesle”, opowiada Kuliś. „Przez →



ORP „Bielik” brał udział w antyterrorystycznej operacji NATO „Active Endeavour” na Morzu Śródziemnym.

perskopol odbywała się ciągła obserwacja tego, co dzieje się na morzu i wypatrywanie podejrzanych jednostek”.

Codziennie rano dowódca „Bielika” otrzymywał ze sztabu operacji NATO listę podejrzanych jednostek, które mogły się pojawić w jego rejonie patrołowania. O wypatrzeniu każdej miał natychmiast meldować. Wtedy do akcji wkraczały lotnictwo i okręty nawodne. Te przesłuchiwały kapitana i załogę, a w razie konieczności – interweniowały. Zadaniem „Bielika” było zaś wykorzystanie tego, co umiał robić najlepiej jako okręt podwodny. Skryte podejście, obserwacja, sfotografowanie i meldunek. Takich raportów było dziennie kilkanaście, a nawet więcej. „Powiadamialiśmy dowództwo nie tylko o tych podejrzanych jednostkach z wykazu, lecz także o każdej, którą zauważyliśmy”, tłumaczy ppor. Kuliś. „Mogło się przecież zdarzyć, że okręt, który miał do tej pory »czystą« historię, znalazł się w miejscu, gdzie być nie powinien. Jego plan rejsu nie przewidywał, że będzie akurat tu i o tej porze. Szedł bowiem innym szlakiem i z inną niż deklarowana prędkością. A to już było podejrzane i należało to sprawdzić”.

ŻUREK WIGILIJNY

Po kilku tygodniach tak wyglądających patroli, parę dni przed świętami Bożego Narodzenia, weszli do portu na Krecie – baza greckiej marynarki wojennej mieściła się zaledwie 10 km od portu w Chanii. Przyszły paczki od rodzin, a w nich kartki z życzeniami, listy, opłatki. „Trochę nostalgicznie się zrobiło”, przyznaje kmr ppor. Snarski. „Ale i tak gdybym miał wybierać, gdzie spędzić Boże Narodzenie na misji, poza domem, to wybrałbym okręt podwodny. Bo te 25 osób na pokładzie stanowi rodzinę. Nie ma tu, tak jak na jednostkach nawodnych, takiego mocnego podziału na oficerów, podoficerów i marynarzy. Nie ma osobnych pokładów czy trapów dla poszczególnych grup. Tu, na tej małej powierzchni, wszyscy jesteśmy razem, właśnie jak rodzina. I dlatego Boże Narodzenie staje się na okręcie naprawdę rodzinne”. Tyle że do marynarzy pełniących misję na okręcie podwodnym nie docierają specjalne transporty z barszczem, kielbasą, pierogami i choinkami, tak jak do żołnierzy będących na operacji na Bałkanach czy w Iraku. Załoga wie, że jest zdana na siebie.

„Podzieliliśmy się robotą, żeby jakoś tę Wigilię po naszymu przygotować. Zgłosiłem się, że zrobię rybę po grecku. W końcu jesteśmy w Grecji, to jaki problem? Nie wiedziałem jednak, na co się decyduje”, śmieje się kmr ppor. Snarski. A przecież każdy wie, że w Grecji taka potrawa jak ryba po grecku nie istnieje. Choćby z tego powodu, że nie jada się tam selera w takiej postaci jak w Polsce. „Obszedłem wszystkie stragany i wa-

rzywniaki, żeby znaleźć korzeń selera”, mówi Snarski. „W końcu się dowiedziałem, że oni wykorzystują tylko nać. Kupowałem więc tę zieleninę pęczkami, żeby zdobyć chociaż trochę korzenia z końcówek liści”.

Co do czerwonego barszczu, to marynarze od razu wiedzieli, że mogą o nim zapomnieć, bo buraki były nie do zdobycia. Kupili za to ziemniaki, żeby je ugotować w mundurkach. Nie mieli też żadnych problemów ze składnikami na żurek. „I tak uzbierały się pomysły i składniki na 12 potraw”, opowiada kmr Rachwał. Miejsca w kuchni na kobbenie jest jednak niewiele i zmieszczą się tam zaledwie dwie osoby. Dlatego potrawy przygotowywali rotacyjnie, tak, żeby zdążyć przed kolacją wigilijną. Wszystko się udało.

Atmosferze świątecznej nie sprzyjało jednak otoczenie. Na choinkę nie mieli co liczyć, bo zajmowałaby za dużo miejsca. O śniegu też nie było mowy, bo temperatura na Krecie wynosiła wtedy około 20°C. A na dodatek święta polskich marynarzy wypadały o dwa tygodnie wcześniej niż w prawosławnej Grecji. Marynarze postawili jednak na swoim, że Wigilia będzie jak należy.

DUCH ŚWIAT

Po południu niemal wszyscy – a nie było obowiązku uczestniczenia w wigilijnym spotkaniu – zjawili się w mesie. Ubranych po cywilnemu 20 chłopów usiadło za stołem. Ściśnięci jeden przy drugim, bo mesa ma zaledwie parę metrów długości i stanowi wąski stół, dookoła którego znajdują się ławki. A na stole pojawiło się 12 potraw i opłatek. Uroczystość rozpoczął dowódca, bo to on inauguruje zwyczajowo każde ważne wydarzenie na okręcie. Dziś, po dziewięciu latach od tamtego rejsu, podwodniacy nie pamiętają już, co dokładnie mówił wtedy kmr por. Sławomir Wiśniewski. „Pewnie o tym, że przykro, iż nie jesteśmy w naszych domach, ale już niedługo tam wrócimy. I tego szczęśliwego powrotu nam życzył”, opowiada ppor. Andrzej Kuliś.

Zaspiewali kolędę, zjedli kolację i poszli na mszę, bo w Chanii znaleźli katolicki kościół. Przed świątynią stała wielka, ozdobiona lampkami i świecidełkami choinka. Marynarze poczuliby wtedy ducha świąt. Zdali sobie sprawę, że wkrótce dostaną największy prezent na Boże Narodzenie – wrócą do domu.

27 grudnia na Kretę przylecieli zmiennicy. Kolejne dwa dni bohaterowie tego tekstu zdawali okręt, po czym zapakowali się do dwóch samolotów Bryza. Z międzylądowaniami w Salonikach, Bukareszcie i Warszawie, po 12 godzinach lotu znaleźli się na Babich Dołach w Gdyni. Ze świadomością, że sylwester jest ich! Zaczynali urlop. ■



Błękitne hełmy na straży

Międzynarodowe siły pokojowe ONZ będą ochraniały zabytki.

Wyspecjalizowane jednostki UNESCO będą chronić obiekty z listy światowego dziedzictwa przed zniszczeniem m.in. w wyniku ataków terrorystycznych. Z taką inicjatywą wystąpił włoski minister kultury **Dario Franceschini**.

Jednym z takich miejsc są pozostałości starożytnego miasta Palmyra w Syrii wpisane na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Od maja te te-

reny są pod kontrolą tzw. Państwa Islamskiego, które niszczy znajdujące się tam budowle, według niego obrażające islam. Jak poinformowało UNESCO, dżihadysty zburzyli już palmyrski łuk triumfalny, jedną z pozostałości antycznego miasta z lat 193–211 n.e. Wcześniej tak samo postąpili z trzema grobowcami wieżowymi i dwiema świątyniami. AD



28 litrów

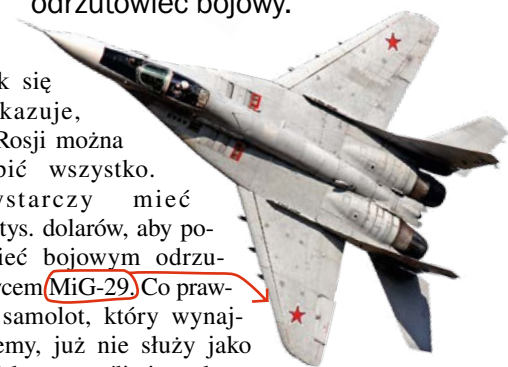
W Kielcach wojskowi świętowali, oddając krew.

Żołnierze z Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych w Kielcach w nietypowy sposób uczcili tegoroczne Święto Niepodległości. W przeddzień 11 listopada wspólnie z żołnierzami służby przygotowawczej i policjantami z Komendy Wojewódzkiej Policji w Kielcach uczestniczyli w akcji honorowego oddawania krwi. Dzięki ofiarności ponad 60 osób do miejscowej stacji krwiodawstwa trafiło jej 28 l, co pomoże odtworzyć zapasy zużyte latem, przede wszystkim na ratowanie ofiar wypadków komunikacyjnych. Nie była to pierwsza taka akcja na kieleckiej Bukówce. Od początku roku żołnierze i pracownicy Centrum oddali tam już 260 l krwi. AD

W stanie nieważkości

Chcesz polatać MiG-iem? Wynajmij sobie odrzutowiec bojowy.

Jak się okazuje, w Rosji można kupić wszystko. Wystarczy mieć 18 tys. dolarów, aby polecieć bojowym odrzutowcem **MiG-29**. Co prawda samolot, który wynajmiemy, już nie służy jako wojskowy myśliwiec, ale nadal można nim w 50 min wznieść się na poziom stratosfery. Jak podaje portal Bgr.com przy locie powyżej 20 tys. km przez kilka sekund znajdziemy się w stanie nieważkości. Do tego wśród atrakcji takiej wycieczki jest jeszcze prędkość naddźwiękowa oraz przeciążenia sięgające 9G. AD



W głąb umysłu

Armia amerykańska chce czytać w myślach żołnierzy.

Jak pisał wojskowy portal US Army, naukowcy pracujący dla armii amerykańskiej konstruują urządzenie, które na podstawie analizy fal mózgowych będzie w stanie określić, o czym człowiek myśli. W ramach programu MIND (Mission Impact Through Neurotechnology Design) przeprowadzono już pierwsze testy na żołnierzach. Ochotnikom podłączono do głowy elektrody od elektroencefalografu,

a następnie na ekranie monitora pokazywano im zdjęcia przedmiotów należących do pięciu kategorii: łódki, pandy, truskawki, motyle i świeczniki. Jak tłumaczy dr Anthony Ries, urządzenie analizowało, jak na poszczególne obrazy reaguje umysł człowieka i potem naukowcy byli w stanie stwierdzić, na który przedmiot żołnierz patrzy. W przyszłości pozwoli to opracować urządzenie znacznie skracające czas analizy zdjęć czy filmów pozyskiwanych przez armię. Mózg człowieka analizuje bowiem widziane obrazy bardzo szybko, często bez naszej świadomości. Wojskowi analitycy będą więc przeglądali materiały podłączeni do urządzenia, a komputer rozpozna, kiedy ich mózg zauważył coś ważnego lub podejrzanego. AD



FUNDACJA ZACHOWAĆ SKRZYDŁA

Centrum lotnictwa

W Poznaniu ma powstać obiekt poświęcony polskim skrzydłom.

Fundacja „Zachować Skrzydła” chce stworzyć w okolicy poznańskiej Ławicy centrum upamiętniające tradycje lotnictwa wielkopolskiego. Obiekt łą-

czyłby historię oraz najnowsze technologie. Można by w nim obejrzeć odrestaurowane przez żołnierzy i pracowników wojska z 31 Bazy Lotnictwa

Taktycznego w Krzesinach maszyny będące legendami polskiego lotnictwa. Do tej pory były one dostępne tylko w bazie. Pomysłodawcy projektu chcą, aby obiekt nawiązywał formą do warszawskiego Centrum Nauki Kopernik. Odbływałyby się w nim zajęcia edukacyjne, m.in. pokazy renowacji statków powietrznych, warsztaty budowy dronów czy zajęcia modelarskie. Przewidziano tam także tunel aerodynamiczny. AD

Pamięci żołnierzy wyklętych

Ukazała się pamiątkowa moneta z wizerunkiem płk. Pileckiego.

Numizmat wydany przez Fundację Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce ukazuje płk. Witolda Pileckiego, organizatora ruchu oporu w hitlerowskim obozie koncentracyjnym Auschwitz. Jest to już trzecia z serii monet Fundacji. Wcześniej prezentowały wizerunki Danuty Siedzikówny „Inki”, sanitariuszki 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, oraz płk. Łukasza Cieplińskiego „Pługa”, prezesa IV Komendy Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”.

Ta inicjatywa stanowi wsparcie w budowie Muzeum Żołnierzy Wyklętych, którego ekspozycja będzie prezentowała

pamiętki podziemia antykomunistycznego, w tym broń, dokumenty i fotografie. Numizmat z wizerunkiem Pileckiego został wydany, podobnie jak poprzednie, w trzech wersjach.

Każdy darczyńca, który ofiaruje na Muzeum co najmniej 10 zł, dostanie monetę miedzianą, za 15 zł – oksydowaną, a za minimum 100 zł – w czystym srebrze.

Seria z wizerunkami Żołnierzy Wyklętych będzie kontynuowana.

Jak zapowiada Fundacja, jeszcze w tym roku ukaże się kolejny numizmat, tym razem z gen. Aug-

ustem Emilem Fieldorfem „Nilem”, zastępcą komendanta głównego Armii Krajowej. AD



Charytatywne starcie

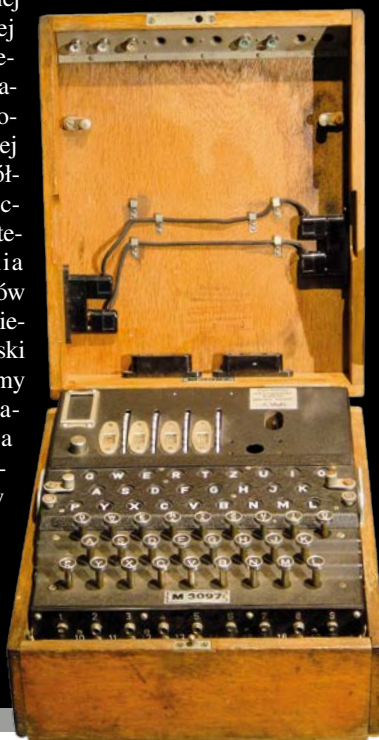
W „Familiadzie” zagrali dla weteranów polscy żołnierze.

Drużyny „KTO Rosomak”, złożona z żołnierzy 12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina, oraz „F-16 Jastrzębie”, z wojskowymi z 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego z Łasku, w Święto Niepodległości wzięły udział w specjalnym odcinku teleturnieju prowadzonego przez Karola Strasburgera. „Rosomakom” przewodził por. Przemysław Szreder, a „Jastrzębiom” kpt. Krzysztof Marciak. Po zaciętej walce zwyciężyli lotnicy. Żołnierze ustalili, że wygrane prawie 16 tys. zł przekażą dla Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. Jak poinformował na antenie Tomasz Kloc, prezes Stowarzyszenia, pieniądze zostaną przeznaczone na turnusy rehabilitacyjne dla poszkodowanych weteranów. MM

Tajemnice kryptologów

W Poznaniu powstanie Muzeum Enigmy.

O złamanych kodach Enigmy, marzeniach o uniwersalnej maszynie kryptoanalitycznej, a także o roli kryptologii we współczesnej cywilizacji cyfrowej dyskutowano na konferencji „Enigma – zwiastun cywilizacji cyfrowej”, zorganizowanej przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej. „Cała wiedza na temat rozszyfrowania Enigmy przez Polaków została ujawniona dopiero po wstąpieniu Polski do NATO. Chcielibyśmy przypomnieć, permanentnie pomijany na Zachodzie, wkład polskich kryptologów w zwycięstwo aliantów w II wojnie światowej”, mówi prof. Krzysztof Miszczak, dyrektor Fundacji.



Jak przyznał Dermot Turing, bratanek Alana Turinga, jednego z czołowych kryptologów w Rządowej Szkole

Kodów i Szyfrów w Bletchley, o polskim udziale w rozszyfrowaniu Enigmy dowiedział się dopiero w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Mariusz Wiśniewski, wiceprezydent Poznania, miasta, z którym byli związani polscy kryptolodzy (Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Żygalski), poinformował, że trwają prace nad utworzeniem Muzeum Enigmy. Na razie zespół fachowców opracuje koncepcję takiej placówki. MS ■



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Młodzież na warcie

Uczniowie będą mogli zastąpić żołnierzy jako pododdział reprezentacyjny.

Wojsko chce, aby młodzież klas mundurowych mogła, po odpowiednim przeszkoleniu, zastępować żołnierzy jako pododdział reprezentacyjny podczas uroczystości lokalnych. W porozumieniu z Dowództwem Garnizonu Warszawa ma zostać opracowany specjalny program szkolenia dla zainteresowanych szkół, obejmujący elementy musztry i wojskowego ceremoniału. Uczniowie byłiby szkoleni przez żołnierzy z pobliskich jednostek, a potem przechodziliby certyfikację pod okiem wojskowych z Batalionu Reprezentacyjnego Wojska Polskiego. Po zdaniu egzaminu będą mogli samodzielnie występować w czasie uroczystości jako pododdział reprezentacyjny.

Do takiej współpracy zgłosiło się już kilkadziesiąt placówek. Wśród nich także szkoły, które mają już formacje reprezentacyjne i chcą poddać je certyfikacji. Należy do nich CXXV Liceum Ogólnokształcące im. Waldemara Milewicza w Warszawie. Jego uczniowie wspólnie z Kompanią Reprezentacyjną Wojska Polskiego brali udział w głównych warszawskich obchodach Dnia Weterana oraz Dnia Niepodległości. PG ■

Szczątki bombowca

Elementy Liberatora z 1944 roku znaleziono w Warszawie.



Nurkowie marynarki wojennej w czasie szkolenia w warszawskim Jeziorze Kamionkowskim znaleźli zbiornik oleju z brytyjskiego samolotu Liberator, który rozbił się w warszawskim Parku Skaryszewskim w 1944 ro-

ku. Maszyna została zestrzelona przez Niemców w nocy z 13 na 14 sierpnia, kiedy leciała z zaopatrzeniem dla uczestników powstania warszawskiego. Z liczącej siedem osób załogi przeżył wówczas tylko strzelec pokładowy.

Jezioro Kamionkowskie jako ciekawe miejsce nurkowe wskazali marynarzom przedstawiciele Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni. To z niego w latach sześćdziesiątych XX wieku wydobyto pozostałości po oddziałach kampanii wrześniowej. Podczas pracy wojskowi nurkowie posługiwali się sonarami, zdalnie sterowanymi pojazdami podwodnymi i wykrywaczami metalu. W ćwiczeniach uczestniczyło 23 nurków z Ośrodka Szkolenia Nurków i Płetwonurków, brzegowej grupy ratunkowej Dywizjonu Okrętów Wsparcia 3 Flotyli Okrętów, grupy nurków mine-rów 13 Dywizjonu Trałowców oraz archeologów z Muzeum Marynarki Wojennej. MM ■

ANNA DĄBROWSKA

Kresowa kwatery

Polscy żołnierze września
1939 roku spoczęli na cmentarzu
na Ukrainie.

W połowie września 1939 roku wojska armii „Małopolska” pod dowództwem gen. Kazimierza Sosnkowskiego ruszyły spod Przemyśla na odcięcie do oblężonego przez Niemców Lwowa. Generał planował przebić się w Lasach Janowskich przez oddziały niemieckie atakujące Lwów od zachodu i w ten sposób dotrzeć do miasta.

STRAŻNICY PAMIĘCI

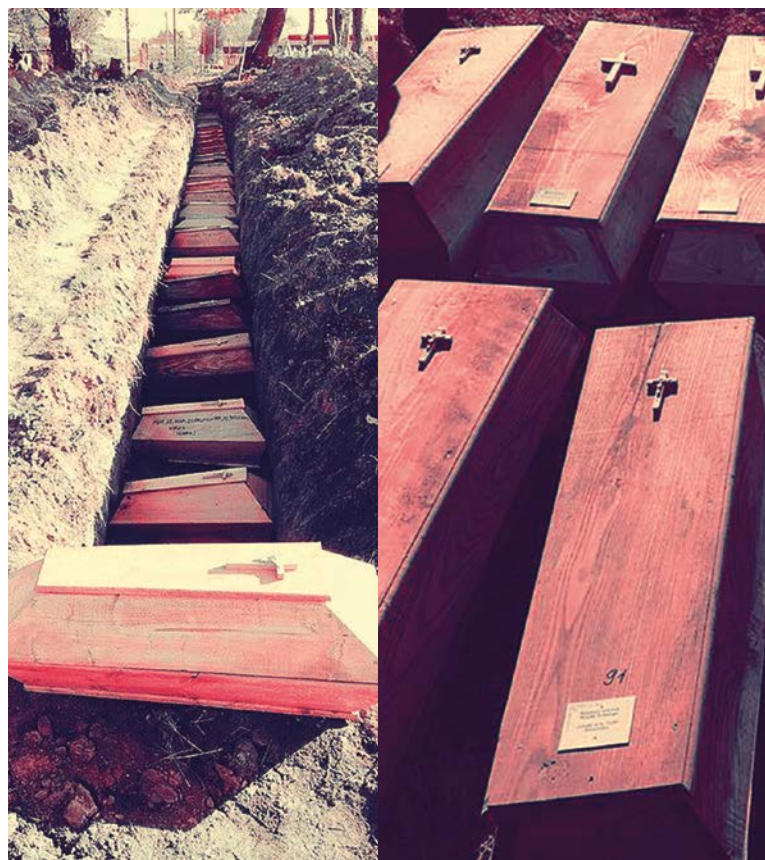
W trwających od 15 do 16 września walkach Polakom udało się odeprzeć ataki przeważających sił niemieckich, potem jednak nasze główne siły zostały okrążone w okolicach Jaworowa. Do Lwowa udało się przebić tylko nielicznym grupkom żołnierzy, reszta oddziałów została rozbita. Po kapitulacji Lwowa przed Armią Czerwoną 22 września gen. Sosnkowski nakazał swym żołnierzom rozproszenie się i przebijanie w kierunku granicy z Węgrami.

Według szacunków historyków, podczas tych wrześniowych walk na terenie obecnej Ukrainy Zachodniej, między Przemyślem a Lwowem, w okolicach Mościsk, Sambora, Jaworowa i Janowa, zginęło około 1,5 tys. polskich żołnierzy.

Poległych chowano na wiejskich cmentarzykach oraz w tymczasowych mogiłach rozsianych po polach i lasach. Naprędce wykonane zbiorowe groby oznaczano często tylko drewnianymi krzyżami, które po latach niszczały, a miejsca pochówku zarosły i zostały zapomniane.

Od dwóch lat dzięki projektowi „Strażnicy narodowej pamięci”, realizowanemu przez polską Fundację „Wolność i Demokracja”, jest prowadzona akcja poszukiwania grobów i ekshumacji polskich żołnierzy z okolic Lwowa.

„Naszym celem jest lokalizacja oraz inwentaryzacja miejsc pochówku żołnierzy kampanii wrześniowej. Chcemy je odnaleźć, ekshumować naszych żołnierzy, a następnie godnie ich pochować”, mówi Olga Semeniuk, koordynator projektu w Fundacji. Jest on prowadzony we współpracy z Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa (ROPWiM) oraz polskim konsulem we Lwowie, a współfinansuje go Ministerstwo Spraw Zagranicznych. „Odnalezienie mogił polskich żołnierzy pozwoli uzupełnić listę miejsc ważnych z punktu widzenia martyrologii Polaków na Kresach”, wyjaśnia na stronie Fundacji jej prezes Michał Dworczyk. Jak dodaje, w granicach obecnej Pol-



ski praktycznie wszystkie znane wrześniowe pobojuiska i mogiły zostały już uporządkowane, teraz trzeba zająć się grobami na terenie Ukrainy. „Ziemie Kresów kryją szczątki wielu naszych rodaków, których odnalezienie i godne pochowanie jest obowiązkiem współczesnych Polaków”.

OD ARCHIWUM DO EKSHUMACJI

Poszukiwania są prowadzone w kilku etapach. Jak tłumaczą w Fundacji, w pierwszej kolejności była zrobiona kwerenda archiwalna, m.in. w Centralnej Bibliotece Wojskowej w Warszawie oraz Instytucie Polskim i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie. Dzięki znalezionym tam dokumentom wytypowano potencjalne miejsca pochówku wokół miejscowości, w których toczyły się walki.

Następnie na podstawie zebranych danych wolontariusze Fundacji przeprowadzili wizje lokalne i rozmawiali z najstarszymi mieszkańcami, pamiętającymi jeszcze wrześniowe boje pod Lwowem. To pozwoliło zidentyfikować kilkanaście prawdopodobnych miejsc spoczynku żołnierzy. Potem przyszedł czas na prace terenowe – wykopy sondażowe i ekshumacje prowadzone wspólnie z archeologami ukraińskimi.

Jak dotychczas Fundacji udało się zlokalizować około 30 nieznanych grobów polskich żołnierzy, gdzie w zbiorowych mogiłach leży blisko 300 poległych. W czasie dwóch lat pracy ekshumowano stamtąd 111 ciał. „Odbłyły się dwie edycje projektu i będziemy aplikować do MSZ-tu o środki na kolejną, trzecią edycję, jest jeszcze bowiem wiele pracy do zrobienia”, zapewnia Olga Semeniuk.

PO 76 LATACH SZCZĄTKI POLSKICH ŻOŁNIERZY POLEGŁYCH W WALCE Z NIEMCAMI SPOCZĘŁY NA CMENTARZU

Największa ekshumacja była przeprowadzona we wsiach Dobrostan i Wola Dobrostańska. W masowym grobie znaleziono tam szczątki 44 żołnierzy, prawdopodobnie z 38 Dywizji Piechoty Rezerwowej, która, walcząc w tym rejonie, prawie całkowicie się wykrwawiła i przestała istnieć. Podczas prac wydobyto też maski przeciwgazowe, hełmy, ładownice, monety i medaliki.

Poszukiwaniami grobów poległych żołnierzy zajmują się wolontariusze związani z Fundacją. „Są to głównie studenci z całej Polski, m.in. z Warszawy, Krakowa i Wrocławia, z takich kierunków, jak historia, kulturoznawstwo, archeologia czy dziennikarstwo”, wylicza koordynatorka.

Jak dodaje, w dwóch edycjach projektu wzięło dotąd udział łącznie około 40 osób. Pomagają im przedstawiciele środo-

wisk polskich na Ukrainie: studenci, harcerze, a także ukraińscy archeolodzy oraz specjaliści ROPWiM.

Fundacja uważa, że ponieważ w projekcie uczestniczy wielu młodych ludzi, to ma on też aspekt wychowawczy i edukacyjny. „Pozwala im nie tylko poznać historię i tradycję Kresów Wschodnich, lecz także umożliwia nawiązywanie kontaktów i dobrych relacji z zaangażowanymi w prace rówieśnikami ze środowisk ukraińskich oraz z lokalnych społeczności polskich”, podkreślają przedstawiciele Fundacji.

POLSKIE MOGIŁY

Wydobyte podczas ekshumacji szczątki żołnierzy były dotąd przechowywane w polskich kościółkach w okolicach Lwowa. Prawie dwa lata trwały rozmowy polsko-ukraińskie dotyczące utworzenia kwatery wojskowej i uzyskania zgody na pogrzeb żołnierzy.

Początkowo pod uwagę brano cmentarz w Malechowie koło Lwowa, zdecydowano się jednak na polski rzymskokatolicki w Mościskach. Miejsowość znajduje się 17 km od granicy z Polską i około 30 km od Przemyśla.

Po 76 latach, na początku listopada tego roku, szczątki 111 polskich żołnierzy, poległych w 1939 roku w walce z Niemcami o Lwów, spoczęły na cmentarzu. Nad każdą trumną ustawiono brzoźowy krzyż, a mszę w kościele diecezjalnym odprawił metropolita lwowski ks. arcybp Mieczysław Mokrzycki.

W pogrzebie uczestniczyli Maciej Jankowski, wiceminister obrony narodowej, polscy i ukraińscy parlamentarzyści oraz przedstawiciele polskich środowisk kresowych. Asystę zapewnili żołnierze z pododdziału reprezentacyjnego Wojska Polskiego i rekonstruktorzy w polskich mundurach z 1939 roku.

„Jesteśmy dumni, że możemy dopełnić godnego pochówku żołnierzy, którzy szli na odsiecz Lwowa”, napisał Marek Kuchciński, wicemarszałek Sejmu, w liście odczytanym podczas uroczystości. „Macie już swoje miejsce pod krzyżem, śpijcie teraz spokojnie”, dodał Andrzej Kunert, sekretarz ROPWiM.

W POSZUKIWANIU NIEŚMIERTELNIKA

Niestety, jak podają w Fundacji, tylko niewielka część spośród ekshumowanych żołnierzy miała nieśmiertelniki – wojskowe znaki, dzięki którym można zidentyfikować ciała. Spośród przeszło 100 szczątków tylko przy dwudziestu kilku znaleziono blaszki z danymi, z czego większość była nie do odczytania.

Na razie udało się zidentyfikować trzy osoby: mjr. Bernarda Korabiowskiego, strzelca Tadeusza Zmelonka i szer. Józefa Gwoździańskiego. Dwóch pierwszych żołnierzy pochowano w Mościskach, a w pogrzebie uczestniczyły ich rodziny. Bliscy szeregowego zdecydowali, że spocznie on w Polsce w grobowcu rodzinnym.

Docelowo, jak mówił na cmentarzu w Mościskach Dworczyk, powstanie tam największa na terenach obecnej Ukrainy kwatera żołnierzy września 1939 roku. Według planów ROPWiM, ma w niej spocząć około 500 żołnierzy.

Jak podkreślał Andrzej Kunert, nie przypadkiem wybrano na kwaterę wojenną cmentarz w Mościskach. „Chcieliśmy, aby nasi żołnierze spoczęli w godnym miejscu, dającym gwarancję opieki miejscowych mieszkańców. Tutaj jest rejon dużego skupiska Polaków, którzy w przyszłości będą odpowiedzialni o groby naszych poległych”.

FUNDACJA WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

| POŻEGNANIA |

Z głębokim smutkiem i żalem
zawiadamy, że odszedł od nas
szer. Michał Pawlicha,
żołnierz 10 Brygady Kawalerii Pancernej ze Świątoszowa.

Łączymy się w żałobie
z Rodziną i Bliskimi,
składamy wyrazy najszczerzego współczucia.

Dowódca oraz żołnierze i pracownicy wojska
11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej

Panu mjr. Januszowi Gochowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają szef zarządu oraz żołnierze i pracownicy wojska
Zarządu Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych
Inspektoratu Wojsk Lądowych
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci naszego pracownika

Pana Władysława Chojniarza.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie

składają szef, żołnierze i pracownicy wojska
4 Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego Sił Powietrznych
w Warszawie.

Panu st. sierż.
Waldemarowi Lernacińskiemu

oraz Jego Rodzinie

słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają szef rejonu, żołnierze i pracownicy wojska
4 Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego Sił Powietrznych
w Warszawie.

Panu st. sierż.
Waldemarowi Lernacińskiemu

wyrazy szczerzego żalu, głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Ojca

składa środowisko podoficerskie 4 Rejonu Wsparcia
Teleinformatycznego Sił Powietrznych w Warszawie.

Zastępcy szefa Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych,
szefowi sztabu,

Panu generałowi brygady
Ryszardowi Szczepińskiemu,

szczerze i serdeczne wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składa dowódca 2 Regionalnej Bazy Logistycznej
w Warszawie wraz z kadrą i pracownikami wojska.

Panu gen. bryg.
Ryszardowi Szczepińskiemu,

zastępcy szefa Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych
– szefowi sztabu,

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składa szef Inspektoratu Wsparcia SZ
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerzego współczucia

Panu ppłk. Krzysztofowi Nowakowi
z powodu śmierci

Ojca

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy wojska
2 Regionalnej Bazy Logistycznej w Warszawie.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

| POŻEGNANIA |

Panu ppłk. Markowi Tomczykowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy
109 Szpitala Wojskowego z Przychodnią SP ZOZ
w Szczecinie.

Szefowi Biura Hydrograficznego Marynarki Wojennej

Panu komandorowi
Andrzejowi Kowalskiemu

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy wojska
Biura Hydrograficznego Marynarki Wojennej.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

Pani Beacie Oczkowicz

– podsekretarz stanu w MON,

oraz Rodzinie

z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze, strażacy oraz pracownicy
Wojskowej Ochrony Przeciwpowodziowej.

Płk. dr. Jarosławowi Kraszewskiemu

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

szczerze wyrazy współczucia i kondolencje
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy
Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii
Inspektoratu Wojsk Lądowych Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu gen. bryg.

Ryszardowi Szczepińskiemu

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy wojska
4 Regionalnej Bazy Logistycznej we Wrocławiu.

Płk. dr. Jarosławowi Kraszewskiemu

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Matki

składa inspektor wojsk lądowych
gen. dyw. Janusz Bronowicz z kadrami
i pracownikami Inspektoratu Wojsk Lądowych
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Rodzinie i Najbliższym
śp. st. chor. sztab. w st. spocz.
Edwarda Trzcńskiego

szczerze wyrazy żalu i współczucia
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
w Krakowie.

Panu płk. Jarosławowi Kraszewskiemu

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

Rodzinie i Najbliższym
śp. mgr Ewy Fojcik
szczerze wyrazy żalu i współczucia
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
w Krakowie.

składają szef Zarządu Wojsk Aeromobilnych
i Zmotoryzowanych Inspektoratu Wojsk Lądowych
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych
oraz kadra i pracownicy wojska.

| POŻEGNANIA |

„Śmierć nie jest kresem naszego istnienia.
Żyjemy w naszych dzieciach i następnych pokoleniach.
Albowiem to dalej my, a nasze ciała to tylko zwiędłe
liście na drzewie życia”.

Albert Einstein

Panu płk. dr. Jarosławowi Kraszewskiemu,

szeffowi Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii
Inspektoratu Wojsk Lądowych,

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencję
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca 11 Mazurskiego Pułku Artylerii
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska.

Sierż. Piotrowi Stężyckiemu

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają szef Oddziału Zabezpieczenia
Żandarmerii Wojskowej.

Sierż. Piotrowi Stężyckiemu

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają koledzy z Oddziału Zabezpieczenia
Żandarmerii Wojskowej.

„Śmierć stawia nas w obliczu bezsilności, która nas
obezwładnia i zabiera w nieznane. A kiedy pojawia się,
kradnąc ukochaną osobę, przesyła serce bólem
i odznacza w nim swoje piętno, które przypomina nam
stałe, jacy jesteśmy wobec niej bezradni”.

Panu płk. dr. Jarosławowi Kraszewskiemu,

szeffowi Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii
Inspektoratu Wojsk Lądowych,

oraz Jego Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencję
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
5 Lubuskiego Pułku Artylerii.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerę współczucia

Panu ppłk Krzysztofowi Nowakowi

z powodu śmierci

Ojca

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy wojska
2 Regionalnej Bazy Logistycznej w Warszawie.

Rodzinie i Bliskim

zmarłego tragicznie

sierż. Michała Pawlichy

z 10 Brygady Kawalerii Pancernej

wyrazy szczerę współczucia i głębokiego żalu
składają dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych
wraz z kadrą i pracownikami
Dowództwa Generalnego RSZ.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

płk. w st. spocz. Sergiusza Cieleśa,

szefa Zespołu Informatyki Pomorskiego Okręgu
Wojskowego w latach 1968–1986,

komatanta II wojny światowej, uczestnika walk o Berlin.

Wyrazy żalu i współczucia
pograżonej w żałobie

Żonie, Rodzinie i Bliskim

składają komendant, kadra oraz pracownicy
Zespołu Zarządzania Wsparciem Teleinformatycznym
w Bydgoszczy.

Panu płk. dr. Jarosławowi Kraszewskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca oraz żołnierze i pracownicy
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

Panu płk. dr. Jarosławowi Kraszewskiemu

serdeczne wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają artylerzyści i raketowcy z Warszawskiego
Oddziału Stowarzyszenia Polskich Artylerzystów
oraz Koła nr 8 ZŻWP.

| POŻEGNANIA |

„Śmierć stawia nas w obliczu bezsilności, która obezwładnia i zabiera w nieznane. A kiedy pojawia się, kradnąc ukochaną osobę, przeszywa serce bólem i odznacza w nim swoje piętno, które przypomina nam stale, jacy jesteśmy wobec niej bezradni”.

Wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Żony i Matki

**płk. w st. spocz. dr. hab. med.
Stanisławowi Ilnickiemu**

oraz

mjr. lek. Piotrowi Ilnickiemu
składają pracownicy Kliniki Psychiatrii,
Stresu Bojowego i Psychotraumatologii CSK MON
Wojskowego Instytutu Medycznego.

Panu ppłk. Tomaszowi Olszewskiemu

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają szef Delegatury Departamentu Kontroli
we Wrocławiu oraz koleżanki i koledzy.

Panu ppłk. Andrzejowi Kowalczykowi

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Teścia

składają szef oraz koleżanki i koledzy
z Centrum Koordynacyjnego
Szefa Sztabu Generalnego WP.

**Panu generałowi brygady doktorowi
Ryszardowi Szczepińskiemu,**
zastępcy szefa Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych
– szefowi sztabu,
wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy wojska Centrum
Szkolenia Logistyki w Grudziądzu.

Panu st. sierż. Sebastianowi Misiaszek,

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, kadra zawodowa
oraz pracownik wojska
Placówki Żandarmerii Wojskowej w Grudziądzu.

„Umarłych wieczność dotąd trwa,
dokąd pamięcią się im płaci”.

**Panu gen. bryg. w st. spocz.
Antoniemu Skibińskiemu**

wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Żony

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
5 Lubuskiego Pułku Artylerii w Sulechowie.



Pamiętamy

st. szer. Dariusz Wagner

6 grudnia 2009 r. | EUFOR Bośnia i Hercegowina

ppłk Zbigniew Wydrych

11 grudnia 1999 r. | KFOR Kosowo

plut. Krzysztof Wysocki

12 grudnia 2005 r. | UNDOF Syria

st. chor. Paweł Jelonek

15 grudnia 2004 r. | PKW Irak

mjr Jacek Kostecki

15 grudnia 2004 r. | PKW Irak

chor. Karol Szlązak

15 grudnia 2004 r. | PKW Irak

kpr. Michał Kołek

19 grudnia 2009 r. | PKW Afganistan

mł. chor. Piotr Ciesielski

21 grudnia 2011 r. | PKW Afganistan

| POŻEGNANIA |

Pani Beacie Oczkowicz,
podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej,
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Mamy
składają żołnierze i pracownicy
Wojskowego Dozoru Technicznego.

Panu st. chor. Tomaszowi Boryczce
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Taty
składają żołnierze i pracownicy Mazowieckiego
Oddziału Żandarmerii Wojskowej.

**Panu gen. bryg. w st. spocz.
Antoniemu Skibińskiemu**
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Małżonki
składa dowódca Garnizonu Wrocław
gen. bryg. Wojciech Lewicki.

Rodzinie oraz Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

sierżanta Michała Pawlichy
składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy wojska
10 Brygady Kawalerii Pancernej.

Najbliższej Rodzinie
wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Pani Jolanty Boreckiej
składają współpracownicy
z Departamentu Polityki Zbrojeniowej.

Rodzinie i Najbliższym
najszczerze wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci

sierżanta Michała Pawlichy
składają dowódca i żołnierze 1 Batalionu Czołgów
10 Brygady Kawalerii Pancernej.

Wyrazy głębokiego współczucia
i z serca płynące kondolencje

Pani Beacie Oczkowicz,
podsekretarzowi stanu
w Ministerstwie Obrony Narodowej,
z powodu śmierci
Mamy
w obliczu tej bolesnej straty
składają kierownictwo, kadra i pracownicy
Departamentu Kadr Ministerstwa Obrony Narodowej.

„Życie to czas, w którym szukamy Boga.
Śmierć to czas, w którym Go znajdujemy.
Wieczność to czas, w którym Go posiadamy”.
św. Franciszek Salezy

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

ppłk. Wiesława Mazurka,
szefa Wydziału Księgowości
pełniącego służbę w latach 2007–2015
w Dowództwie Operacyjnym Rodzajów Sił Zbrojnych.

Pani Hannie Dering
oraz jej Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca
składają kadra i pracownicy wojska
Szefostwa Eksploatacji Sprzętu Inżynieryjnego i OPBMR
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Wyrazy żalu i współczucia
Rodzinie i Bliskim
składają dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
gen. broni Marek Tomaszewski
wraz z kadrą kierowniczą i pracownikami wojska
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

|POŻEGNANIA|

Pani Beacie Oczkowicz,
podsekretarz stanu w MON,
wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają szef oraz żołnierze i pracownicy wojska
Wojskowej Inspekcji Gospodarki Energetycznej.

Panu st. chor. sztab.
Cezaremu Kasprzakowi

oraz Jego Najbliższym

wyrazy szczerzego współczucia, głębokiego żalu,
wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy wojska Wydziału
Zabezpieczenia Logistycznego CSWInż.iChem.
we Wrocławiu.

Podsekretarzowi stanu w Ministerstwie Obrony
Narodowej

Pani Beacie Oczkowicz

oraz Jej Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy
Sekretariatu Podsekretarza Stanu w MON.

Szczere wyrazy współczucia
oraz wsparcia w trudnych chwilach po śmierci

Ojca

Panu chorążemu
Zbigniewowi Zakrzewskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim

składają

dowódca, kadra i pracownicy wojska
Centrum Operacji Morskich – Dowództwa Komponentu
Morskiego.

Panu płk. dr.

Jarosławowi Kraszewskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje z powodu śmierci

Matki

składa inspektor wraz żołnierzami
i pracownikami wojska
Inspektoratu Wojsk Lądowych DGRSZ.

Panu pułkownikowi
Mariuszowi Zubikowi

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają szef oraz koledzy i koleżanki
z Zarządu Rozpoznania i Walki Elektronicznej – J2
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.



Pamiętamy

sierż. Łukasz Krawiec

21 grudnia 2011 r. | PKW Afganistan

sierż. Marcin Szczurowski

21 grudnia 2011 r. | PKW Afganistan

sierż. Marek Tomala

21 grudnia 2011 r. | PKW Afganistan

sierż. Krystian Banach

21 grudnia 2011 r. | PKW Afganistan

kpr. Gerard Wasielewski

22 grudnia 2003 r. | PKW Irak

sierż. Zbigniew Biskup

22 grudnia 2011 r. | PKW Afganistan

chor. Stefan Sekuła

24 grudnia 1992 r. | UNTAC Kambodża



Z A M K I

Na wapiennej skale

To jedne z bardziej malowniczych polskich ruin.

Był grudzień 1587 roku. Pod mury zamku w Olsztynie koło Częstochowy podeszły wojska pretendującego do polskiej korony austriackiego arcyksięcia Maksymiliana Habsburga. Oblężonej twierdzy broniła załoga burgrabiego Kacpra Karlińskiego. Książę postanowił zdobyć zamek podstępem. Jego żołnierze pochwycili kilkuletniego syna Karlińskiego i zagrozili burgrabiemu, że jeśli nie podda

zamku, jego potomek znajdzie się na pierwszej linii ognia. Mimo to Karliński dalej bronił twierdzy. W końcu wojska austriackie odstąpiły. Wśród poległych pod murami znaleziono jednak ciało dziecka. Do dziś podobno można tutaj usłyszeć jego płacz.

Zamek Olsztyn zresztą niełatwo było zdobyć. Wzniesiono go na wzgórzu wśród wapiennych skał na początku XIV wieku, w miejscu wcześniejszego

grodu drewnianego. W latach 1349–1359 został rozbudowany z inicjatywy Kazimierza Wielkiego w jedną z najsilniejszych twierdz na pograniczu, a jej zadaniem była ochrona polskich ziem przed najazdami z Czech i Śląska. Warownia składała się wówczas z ponad 20-metrowego stołpu i domu mieszkalnego otoczonych murem. W wieży, będącej jednocześnie wiezieniem, ostatnie chwile spędził Maćko Borkowic, woje-

K S I A Ż K A

Łupy wojenne

Dziesiątek tysięcy dzieł sztuki, które utraciliśmy w czasie zawieruchy drugowojennej, poszukujemy od lat. W domach aukcyjnych, bibliotekach, muzeach i prywatnych zbiorach na całym świecie coraz częściej pojawiają się manuskrypty, rzeźby, obrazy, chorągwie czy pamiątkowe przedmioty z naszych zbiorów. Kiedy uda się namierzyć utracone

skarby, za wszelką cenę staramy się je odzyskać. I tak w tym roku do kraju wróciły obrazy Pietera Muliera „Spokojne morze przy skalistym brzegu” i Jacoba Jordaensa „Święty Iwo, patron prawników” oraz pontyfikał płocki. I ciągle mamy nadzieję, że tak, jak możemy znów podziwiać „Pomarańczarkę” Aleksandra Gierymskiego czy „Madonnę pod jodłami” Lucasa Cranacha Starszego, tak wkrótce dowiemy się, co się stało z „Portretem młodzieńca” Rafaela. Szansa odzyskania utraconych dóbr kultury jest w wypadku strat poniesionych w czasie

II wojny światowej niewielka. Polskę złupiły jednak nie tylko wojska hitlerowskie czy radzieckie komanda trofiejczyków. Przez wieki nasze ziemie pustoszyły oddziały szwedzkie, moskiewskie, czeskie, krzyżackie, tatarskie, pruskie, kozackie, saskie czy austriackie. W wyniku działań wojennych bezpowrotnie straciliśmy wiele dzieł sztuki, bo najeźdźcy spalili lub zniszczyli to, czego nie udało się im ukraść. Jerzy Besala w książce „Grabież skarbów Polski” zabiera nas w ten świat zaginionych skarbów już od panowania pierwszych Piastów aż po czasy saskie.

→ Vademecum

Olsztyn to duża wieś leżąca w północnej części województwa śląskiego i Jury Krakowsko-Częstochowskiej, około 10 km od Częstochowy. Zmotoryzowani zatrzymają się na jednym z kilku płatnych parkingów, choć latem zdarza się, że brakuje na nich miejsca. Do Olsztyna można też dojechać wygodnie autobusem podmiejskim lub PKS-em z Częstochowy. Zamek jest udostępniony do zwiedzania codziennie od godz. 9.00 rano do wieczora. Wstęp kosztuje 3,5 zł, a wejście na platformę widokową na baszcie starościńskiej – 2,5 zł. W Olsztynie nocleg znajdziemy w kilku gospodarstwach agroturystycznych.

woda poznański. Kazimierz Wielki skazał go na śmierć głodową za dowodzenie konfederacją przeciw królowi w 1352 roku. Podobno Maćko konał aż 40 dni, dostając dziennie jedynie kubek wody.

Pod koniec XIV wieku zamek stał się własnością Władysława Jagiełły, a potem siedzibą starostów, którzy systematycznie zmieniali jego wygląd. Stołp zyskał ceglana nadbudowę, a główny dom mieszkalny powiększył się do trzech pięter. Dostawiono też masywną czworoboczną basztę obserwacyjną, zwaną starościńską lub sołtysią, wykorzystując w przyziemiu obszerną skalną pieczarę. W połowie XVI wieku twierdza nabrała cech renesansowych i składała się z dwóch przedzamczy, zamku dolnego, środkowego oraz górnego.

Wielkim walorem tej monografii jest to, że autor nie tylko opisuje kolejne konflikty zbrojne, w wyniku których traciliśmy insygnia koronacyjne, dokumenty, dzieła sztuki, a nawet relikwie. Historyk publicysta pokazuje mechanizm wojenny, którego nieodłącznym elementem było zdobywanie łupów. Dotyczy to także nas, bez względu na to, czy byliśmy ofiarą, czy agresorem. Besala pokazuje też, jak skradzione nam skarby przyczyniły się do rozwoju cywilizacji agresorów. Twierdzi na przykład, że Szwecja dzięki temu, że wywiozła od nas całe biblioteki,

Olsztyn jest unikatowym przykładem warowni typu jaskiniowego, ponieważ przy jej budowie wykorzystano naturalne pieczary wydrążone w wapiennych skałach. Magazynowano tam żywność i amunicję. Podobno pod całym wzgórzem zamkowym istnieje rozgałęziona sieć tuneli, a podziemny korytarz łączy budowlę z klasztorem na Jasnej Górze.

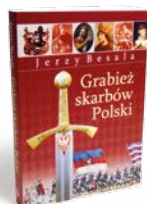
Okres świetności zamku zakończyło zdobycie go i częściowe zniszczenie w 1655 roku przez Szwedów. Od tego czasu popadał w ruinę do tego stopnia, że w latach dwudziestych XVIII wieku, za zgodą starosty Jerzego Lubomirskiego, rozebrano duże fragmenty murów. Uzyskany w ten sposób kamień posłużył do odbudowy spalonego kościoła w Olsztynie i budynków gospodarczych we wsi.

Do dziś z warowni zachowały się fragmenty murów obronnych i budynków gospodarczych, obie wieże: cylindryczna i czworoboczna, część piwnic oraz odkryte w latach sześćdziesiątych XX wieku w czasie badań archeologicznych ślady dymarek, czyli pierwotnych pieców hutniczych.

Pod koniec XX wieku ruiny stały się tłem wielkich międzynarodowych pokazów sztucznych ogni i laserów. Olsztyński zamek, dzięki jednym z bardziej malowniczych ruin w Polsce, był też plenerem dla wielu filmów. Kręcono tu m.in. serial „Czarne chmury”, „Rękopis znaleziony w Saragossie” i „Demony wojny”. Dziś warownia należy do lokalnej wspólnoty gruntowej, która w 2002 roku przeprowadziła tutaj prace konserwacyjne i udostępniła obiekt do zwiedzania.

ANNA DĄBROWSKA

zmniejszyła dystans kulturowy, jaki do XVII wieku dzielił ją od innych państw europejskich. A gdyby nie wiedza pochodząca z zagrabionych w Rzeczypospolitej woluminów, to „nie doczekałaby się w przyszłości Olofa Rudbecka, Andersa Celsiusa, Linneusza, Carla Wilhelma von Scheele, Alfreda Nobla...”.



ANETA WIŚNIEWSKA

Jerzy Besala,
„Grabież skarbów Polski”,
Bellona, 2015



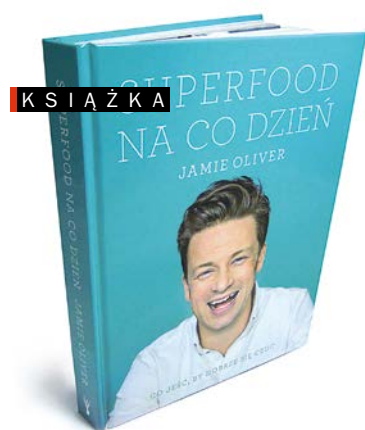
Panicz na Dzikim Zachodzie

Ogromne zmartwienie miał pewien awanturnik, który siał postrach wśród rdzennych i napływowych mieszkańców Ameryki. Choć wyprawił na tamten świat dziesiątki ludzi, nie zainteresował się nim dotąd wymiar sprawiedliwości. Marzy mu się, żeby zobaczyć swój portret na liście gończym z pokaźną kwotą pod spodem. Jeśli się to nie ziści, jego „praca” straci sens. W takim brutalnym świecie ludzi Dzikiego Zachodu nagle pojawia się postać jak z innej bajki. Wymuskany chłopak z dobrego domu samotnie przemierza prerię w poszukiwaniu swej ukochanej. I gdyby na jego drodze nie stanął tajemniczy nieznajomy (w tej roli znakomity Michael Fassbender), jego wycieczka szybko by się skończyła, i to niekoniecznie szczęśliwie. Mężczyzna wręcz narzuca młodzieńcowi swoją opiekę, za którą żąda zapłaty. Nie jest on ani altruistą, ani drobnym złodziejaszkiem. Okazuje się, że to samotny wilk, który odłączył się od bandy łowcy głów. Do czego jest mu potrzebny chłopak w kolejnym polowaniu na nagrodę?

Film Johna Macleana jest pełen sprzeczności – brutalność miesza się w nim z delikatnością, sceny komiczne z dramatycznymi, obrazy pełne krwi z cudownymi krajobrazami. Dzięki temu nie powstała prosta historyjka o dobrych i złych ludziach, lecz obraz trochę przewrotny, trochę niedopowiedziany, nawiązujący w stylistyce do filmów braci Coen lub Jarmusha. Największym atutem „Slow West” są jednak fantastyczne zdjęcia – można wyjąć poszczególne kadry, żeby stanowiły samostne obrazy.

ANETA WIŚNIEWSKA

„Slow West”, reż. John Maclean



Zdrowie według Jamiego

To już kolejna propozycja kucharza, twórcy potraw, który inspiruje ludzi na całym świecie. Do jego restauracji Fifteen ustawiają się kolejki chętnych, żeby skosztować stworzonych przez niego potraw. Jamiego Olivera miłośnicy jedzenia i gotowania znają także z Kuchni+, gdzie w swoich programach przekonuje, że w 30 minut można przygotować kilkudaniowy posiłek. I zyskuje pewnie tyluż samo entuzjastów, co odbiorców sceptycznie do tego pomysłu nastawionych.

Jak podkreśla autor, „nadrzędną ideą tej książki jest pomoc w dokonywaniu właściwych wyborów w zakresie odżywiania się – przez większość czasu”. To też konsekwencja rozmów z dietetykami, lekarzami, specjalistami od zdrowego żywienia.

Czytelnik znajdzie tu przepisy na śniadania, obiady i kolacje, które oprócz tego, że są zbilansowane pod względem kalorycznym, to przy okazji nie spustoszą jego portfela (z tym że chodzi tu raczej, jak miemam, o portfel Brytyjczyka...).

Inspiracje kulinarne pochodzą z miejsc powszechnie słynących ze zdrowej kuchni i zdrowych ludzi. Zatem podstawą dań proponowanych przez Olivera są wszelkiej maści orzechy, nasiona, ale też awokado, czarna fasola, komosa ryżowa i wiele, wiele innych.

Jak to u Jamiego – jest kolorowo, smacznie, trochę nonszalancko i z dystansem do całej tej kuchni. Wielki plus za absolutnie smakowite zdjęcia. ■

KATARZYNA PIETRASZEK

Jamie Oliver, „Superfood na co dzień. Co jeść, by dobrze się czuć”, Insignis, 2015



Portret marszałka

Życiorys Żymierskiego jest znakomitym pretekstem do pokazania meandrow naszej historii.

W czasie spotkania na Kremlu polskich komunistów z Józefem Stalinem dyskutowano o sowieckiej pomocy dla naszego wojska w czasie II wojny światowej. W pewnym momencie Michał Żymierski zwrócił się z prośbą do radzieckiego wodza w imieniu Polskiej Partii Robotniczej, aby na konferencji trzech mocarstw bronił praw Pol-

ski do zachodniej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Stalin się obruszył: „Cooo?! Nysa Łużycka?! Nawet gen. Sikorski tego nie żądał”. Żymierski długo go przekonywał, aż w końcu usłyszał: „Nu charaszo. Uwidzim”. Po tym pierwszym sukcesie Polak próbował przekonać Stalina do naszych praw do Szczecina. Ta piękna historyjka po-

KSIĄŻKA

Futro, pierścionek i 700-letnia Tora

Oficerowie SS ogołocili warszawskie domy najpierw z rodzinnych historii, małych radości, wielkich emocji, przyjemności, a w końcu... z życia.

Jeśli któryś z moich SS-manów weźmie choćby szpilkę z żydowskiego mienia, skażę go na śmierć”, miał powiedzieć Himmler do Franza Konrada, kiedy w 1943 roku odwiedził Warszawę, aby sprawdzić pracę robotników, którymi tamten zarządzał. I oficjalnie ów oficer SS prowadził magazyny, w których były składowane rzeczy zrabowane

przez nazistów z mieszkań co bogatszych warszawskich rodzin żydowskich, które albo tłoczyły się na Umschlagplatz, albo już nie żyły, albo też odbywały podróż życia do jednego z nazistowskich obozów zagłady. Nie bez powodu był nazywany „królem getta”.

Nieoficjalnie i ten, i inni oficerowie SS część „konfiskowanych cennych

kazywałyby, jak nieugiętym, odważnym i wpływowym człowiekiem był przyszły marszałek Polski. Tyle że jest ona nieprawdziwa – została opublikowana na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku w „Życiu Literackim”. Przez lata w biograficznych książkach i artykułach o Michale Żymierskim było tyle samo tego typu wymyślonych legend, ile białych plam. W latach siedemdziesiątych władze PRL-u chciały bowiem wykorzystać tę barwną postać do celów ideologiczno-propagandowych. Zlecono zatem Wojskowemu Instytutowi Historycznemu napisanie biografii marszałka. Z tym zadaniem zmierzili się m.in. Stanisław Rzepski, Mieczysław Wrzosek, Janusz Dubrawski, Bolesław Dolata czy Leszek Grot. Wykonanie go było o tyle karkołomne, że historycy nie mieli swobodnego dostępu do materiałów źródłowych. Co więcej, nie wszystkie fakty z bogatego życiorysu Żymierskiego nadawały się do przytoczenia w hagiograficznym dziele. Zabroniono nawet podania tak podstawowej informacji, jak prawdziwe nazwisko bohatera. Jego zmiana wynikała bowiem ze skandalu obyczajowego, który wstrząsnął przedwojennym Krakowem. Nie mówiąc już o takich kompromitujących sprawach jak chociażby późniejszy proces za korupcję.

Biografia Żymierskiego, która ostatnio pojawiła się na rynku wydawniczym, nie ma nic wspólnego z ówczesnym warsztatem badawczym, jaki hi-

storykom narzucili politycy. Jest to znakomicie napisana, a jeszcze lepiej udokumentowana monografia. Bogaty materiał źródłowy, na jaki powołują się autorzy, sprawia, że powstała praca kompletna. Z jej kolejnych stronnic wyłania się obraz człowieka, który każdą sytuację, nawet najbardziej niekorzystną, potrafi przekuć w swój sukces. Nie oznacza to wcale, że był geniuszem strategii. Bywał po prostu sprytny, zaradny, czasami bezwzględny, co wielokrotnie wykorzystywał w swojej karierze wojskowej. Po lekturze tej biografii trudno jest Żymierskiego lubić czy podziwiać, i to wcale nie za sprawą ocen autorów, bo ci starają się być bezstronni – pokazują fakty, a ocenę zostawiają czytelnikowi. Poznajemy jednak postać niezwykle interesującą. Jego życiorys jest znakomitą pretekstem do pokazania meandrów naszej historii – zarówno z okresu międzywojennego, jak i czasów PRL-u.

Prof. Jerzy Poksiński przez lata prowadził badania nad tym tematem, lecz pracę nagle przerwała jego śmierć w 2000 roku. Dziewięć lat później narodził się pomysł dokończenia biografii. Kontynuacji dzieła profesora podjął się Jarosław Pałka. Z sukcesem.

ANETA WIŚNIEWSKA

Jarosław Pałka, Jerzy Poksiński, „Michał Żymierski. 1890–1989”, IPN, 2015



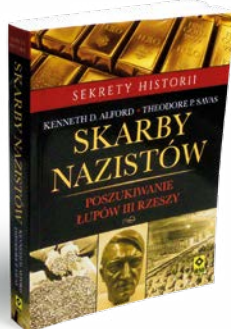
przedmiotów” przywłaszczali sobie i ciężarówkami wywozili do Niemiec lub Austrii z nadzieją, że łupy zapewnią im dostatnie życie po zakończeniu wojny.

Nieważne, czy były to ubrania, rodowe srebra, kolekcje znaczków, porcelana, instrumenty muzyczne, czy egzemplarze 700-letniej Tory. Konrad ogolił warszawskie domy z rodzinnych historii, małych radości, wielkich emocji, przyjemności i w końcu... z życia. A jest on tylko jednym z niechlubnych przykładów. Takich jak on było w strukturach SS wielu, o czym świadczą karty tej książki.

„Skarby nazistów. Poszukiwanie łupów III Rzeszy” jest pozycją gruntownie udokumentowaną. Autorzy poświę-

cili z pewnością wiele czasu na przekopanie archiwów, ale, jak piszą Kenneth D. Alford i Theodore P. Savas, poszukiwanie łupów III Rzeszy to zadanie karkołomne. Nikt tak naprawdę nie wie, jakie tajemnice skrywają alpejskie krainy.

KATARZYNA PIETRASZEK



Kenneth D. Alford, Theodore P. Savas, „Skarby nazistów. Poszukiwanie łupów III Rzeszy”, Wydawnictwo RM, 2015

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA

im. Marszałka Józefa Piłsudskiego

	BIBLIOTEKA CYFROWA
	BIBLIOGRAFIE
	UDOSTĘPNIANIE
BAZY DANYCH	
	INFORMACJA NAUKOWA
PLAKATY	
WYSTAWY	
KONFERENCJE	

www.cbw.pl



EWA KORSAK

WYSTAWA

Portrecista weteranów

Czterdzieści fotografii okaleczonych żołnierzy, brytyjskich weteranów misji w Iraku i Afganistanie, zaprezentował w Toruniu Bryan Adams, wokalista, autor tekstów i fotograf.

Wystawę zorganizowaną w ramach bydgoskiego festiwalu Cammerimage można oglądać w Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu do końca stycznia 2016 roku. Bryan Adams zaprezentował na niej dwa cykle zdjęć: „Obnażeni – portrety gwiazd”, zdjęcia robione wyłącznie na potrzeby magazynów, i „Okaleczeni. Świadek wojny” – fotografie brytyjskich żołnierzy, weteranów misji w Afganistanie i Iraku. Ten ostatni cykl powstawał cztery lata, od 2008 do 2012 roku, we współpracy z brytyjską dziennikarką Caroline Froggatt z ITN (Independent Television News), którą poznał, gdy robiła reportaż o kobietach i mężczy-

znach żołnierzach okaleczonych przez wojnę. Album ze zdjęciami ukazał się w 2013 roku. Polska jest jedynym krajem w Europie Środkowo-Wschodniej, w którym artysta zdecydował się pokazać swoje prace. 16 listopada Adams osobiście otworzył wystawę w toruńskim Centrum Sztuki Współczesnej. Podkreślał, że zdjęcia weteranów to hołd dla odwagi i hartu ducha żołnierzy, a wojna nie jest rozwiązaniem problemów. Artysta o swoich zdjęciach opowiadał podczas konferencji prasowej. Tłumaczył m.in., dlaczego na wystawie zestawiał ze sobą zdjęcia gwiazd i żołnierzy. „Pokazuję portrety ludzi, których fotografowałem. Nie dzieję

dzisiaj zdjęć na te robione gwiazdom oraz te robione »zwykłym« ludziorom. Przedstawiam wam moje prace portrecisty”, mówił Adams. Opowiadał również o tym, jak pracował z weteranami. „Przychodzili do studia, piliśmy herbatę i braliśmy się do roboty. Jeśli chodzi o ich otwartość, zwykle nie było z tym problemów. Pokazywałem im zdjęcia ich kolegów, które zrobiłem wcześniej, i mówiłem: Zobacz, on już to zrobił, popatrz jak wyszło. To ich ośmielało”.

Artysta mówił, że do dzisiaj ma kontakt z niektórymi z żołnierzy. „Jeden z nich postawił niedawno swoje pierwsze kroki w protezach”.

Bryan Adams sprzedał ponad 65 mln płyt, wydał 14 solowych albumów. Fotografowaniem zajął się kilkanaście lat temu. Jest założycielem magazynu o modzie „Zoo Magazine”, w którym publikował m.in. swoje zdjęcia. ■

EWA KORSAK

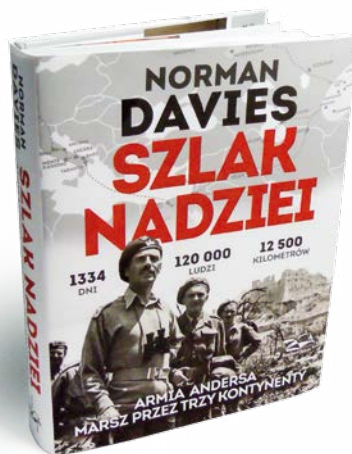
„Obnażeni – portrety gwiazd”, „Okaleczeni. Świadek wojny”, Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu. Wystawa czynna do końca stycznia 2016 roku.

Szlakiem Andersa

Norman Davis wraz z fotografem Januszem Rosikoniem wyruszyli śladami polskich żołnierzy.

Ten album jest opowieścią o ważnym fragmencie naszej historii: o losach polskich żołnierzy, którzy w 1941 roku utworzyli Polskie Siły Zbrojne w ZSRR. Drogę, jaką przeszli od radzieckich łagrów do zachodniej Europy, autor nazwał „szlakiem nadziei”, i tak też zatytułował książkę. Na blisko 600 stronach Norman Davis opowiedział o wędrowce 120 tys. żołnierzy armii gen. Andersa oraz towarzyszących im cywilach (dzieciach, kobietach i starcach), którzy przez 1334 dni pokonali 12,5 tys. km.

Opowieść rozpoczyna się we wrześniu 1939 roku. Autor wyjaśnia, jak setki tysięcy Polaków trafiły na Syberię. W kolejnych rozdziałach (jest ich 20) przedstawia etapy ich wędrówki: przez pustynie Azji Centralnej i Bliskiego Wschodu, do Włoch, aż po Szkocję, gdzie polskie oddziały zostały rozformowane. Podczas prac nad książką Norman Davis wraz z fotografem Januszem Rosikonem wyruszyli śladem armii Andersa. Odwiedzili m.in. Rosję, Iran, Izrael, Włochy, zbierając relacje świadków oraz niepublikowane materiały archiwalne. Dzięki tej podróży książkę wzbogaciły współczesne zdję-



Norman Davies, „Szlak nadziei. Armia Andersa. Marsz przez trzy kontynenty”, Wydawnictwo Rosikon Press, 2015

cia, które można porównać z obrazami z przeszłości.

„Szlak nadziei” jest bogato ilustrowany zdjęciami archiwalnymi, dokumentami i mapami. Wiele fotografii zostało nadesłanych na platformę www.armia-andersa.pl w odpowiedzi na zamieszczony w internecie apel. Książka ukazała się dzięki współpracy dwu oficyn: wydawcą jest Rosikon Press, a wyłącznym dystrybutorem: Znak.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Co żołnierz je

Nie grochówka, lecz kasza powinna być tradycyjną potrawą żołnierzy, bo przez wieki była podstawą ich menu. I nie tylko wojaków. Gościła na stołach i biedaków, i bogaczy. W czasie uczt na przykład, którą Bolesław Chrobry wydał na cześć Ottona III, na stołach, oprócz pieczonych mięs, pojawiła się właśnie kasza. Inny król, Kazimierz Wielki, cenil sobie zaś kaszę po królewsku, czyli gryczaną z białkiem. Jan III Sobieski przyczynił się natomiast do tego, że zmieniliśmy nasze menu. Polski król po bitwie pod Wiedniem dostał od austriackiego cesarza sadzonkę pewnej rośliny ozdobnej. Okazało się, że były to ziemniaki, które wkrótce na dobre zagościły na naszych stołach. Po latach niełaski znów zaczęliśmy jednak doceniać smakowe i odżywcze walory kaszy. Nie tylko coraz częściej przygotowujemy potrawy z naszych tradycyjnych odmian, lecz także odkrywamy te z innych regionów świata. Jeśli zatem nie wiesz, co to jest quinoa czy amarantus albo szukasz pomysłów na dania z gryczaną lub pęczakiem, sięgnij po książkę kucharską „Kipi kasza”. Mule na kuskusie lub pierogi z kaszą jaglaną i papają według tych przepisów zadowolą najwybredniejszego smakosza. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Paweł Łukasik, Grzegorz Targosz, „Kipi kasza”, Samo Sedno, 2015

Wojna oczami kapłana

Czy w świecie pełnym zła człowiek potrafi znaleźć chwilę na refleksję?

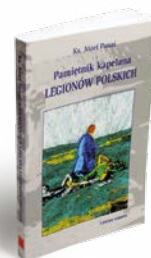
Zanim Józef Panaś stał się oficerem i legionistą, był już księdzem. Gdy wybuchła wielka wojna światowa, powstały liczne polskie formacje wojskowe walczące pod egidą państw za-

borców. Duchowny, niesiony uczuciami patriotycznymi, wstąpił do II Brygady Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego, z którymi przeszedł cały szlak bojowy – od Karpat przez Besarabię i Wołyń. Wędrówka zakończyła się w 1918 roku po internowaniu legionistów w związku z tzw. kryzysem przysięgowym.

„Pamiętnik kapelana Legionów Polskich” to niezwykle interesujące relacje naocznego świadka walk o niepodległość Polski. Ksiądz, jak tylko mógł, starał się nieść pomoc i wsparcie żołnierzom walczącym i umierającym na wojnie. Zapiski Pansia są o tyle bogate, że urozmaicają je opisy nie tylko

walk oręża legionowego, lecz także mentalności i zachowań zwykłych ludzi spotykanych na szlaku bojowym legionów – przedstawicieli różnych kultur, tradycji, religii i narodowości. Jest to obowiązkowa lektura dla każdego miłośnika historii walk i dziejów oręża niepodległościowego Legionów Polskich Piłsudskiego. ■

JAKUB NAWROCKI



Józef Panaś, „Pamiętnik kapelana Legionów Polskich”, Wydawnictwo Cztery Strony, 2015

JERZY
EISLER

Nurt partyzancki

**W BELGRADZIE DAŻONO
USILNIE DO ZBUDOWANIA
JEDNOLITEGO NARODU
JUGOSŁOWIAŃSKIEGO, CZEMU
MIAŁY SPRZYJAĆ
M.IN. TWORZONE FILMY**

Powstały w 1976 roku obraz Zdravko Velimiroviča pt. „Wzgórza Zelengory” przynależą do popularnego w swoim czasie w kinie jugosłowiańskim nurtu filmu partyzanckiego. Cechą charakterystyczną tego typu produkcji był m.in. znaczny – jak na finansowe możliwości państw rządzonych przez komunistów – rozmach inscenizacyjny. Dzięki zaangażowaniu w zdjęcia setek, a czasem nawet tysięcy żołnierzy, mnóstwa koni oraz dziesiątków egzemplarzy historycznego sprzętu bojowego uzyskiwano nie rzadko imponujące efekty. Nie inaczej jest w wypadku wspomnianego filmu, gdzie w niektórych ujęciach widać równocześnie 12 samolotów „ostrzeliwujących i bombardujących pozycje partyzanckie”. Jednocześnie, dzięki pracy pirotechników i kaskaderów, sceny batalistyczne w tego typu dziełach niemal zawsze robią na widzach wrażenie. Również we „Wzgórzach Zelengory” właśnie takie sekwencje są głównym atutem.

Warto przypomnieć, że w wojennych produkcjach filmowych realizowanych w Jugosławii w czasach, gdy jej dożywołnym prezydentem był marsz. Josip Broz-Tito, chętnie angażowano popularnych zagranicznych aktorów, a niekiedy nawet gwiazdy międzynarodowego kina. Najwięcej wystąpiło ich w przypominanym przeze mnie na tych łamach w październiku ubiegłego roku monumentalnym obrazie „Bitwa nad Neretwą”. Pod tym względem „Wzgórza Zelengory” nie prezentują się aż tak okazale, ale i tym razem u boku bodaj najpopularniejszego jugosłowiańskiego aktora Baty Zivojinoviča zagraли Siergiej Bondarczuk oraz Josephine Chaplin.

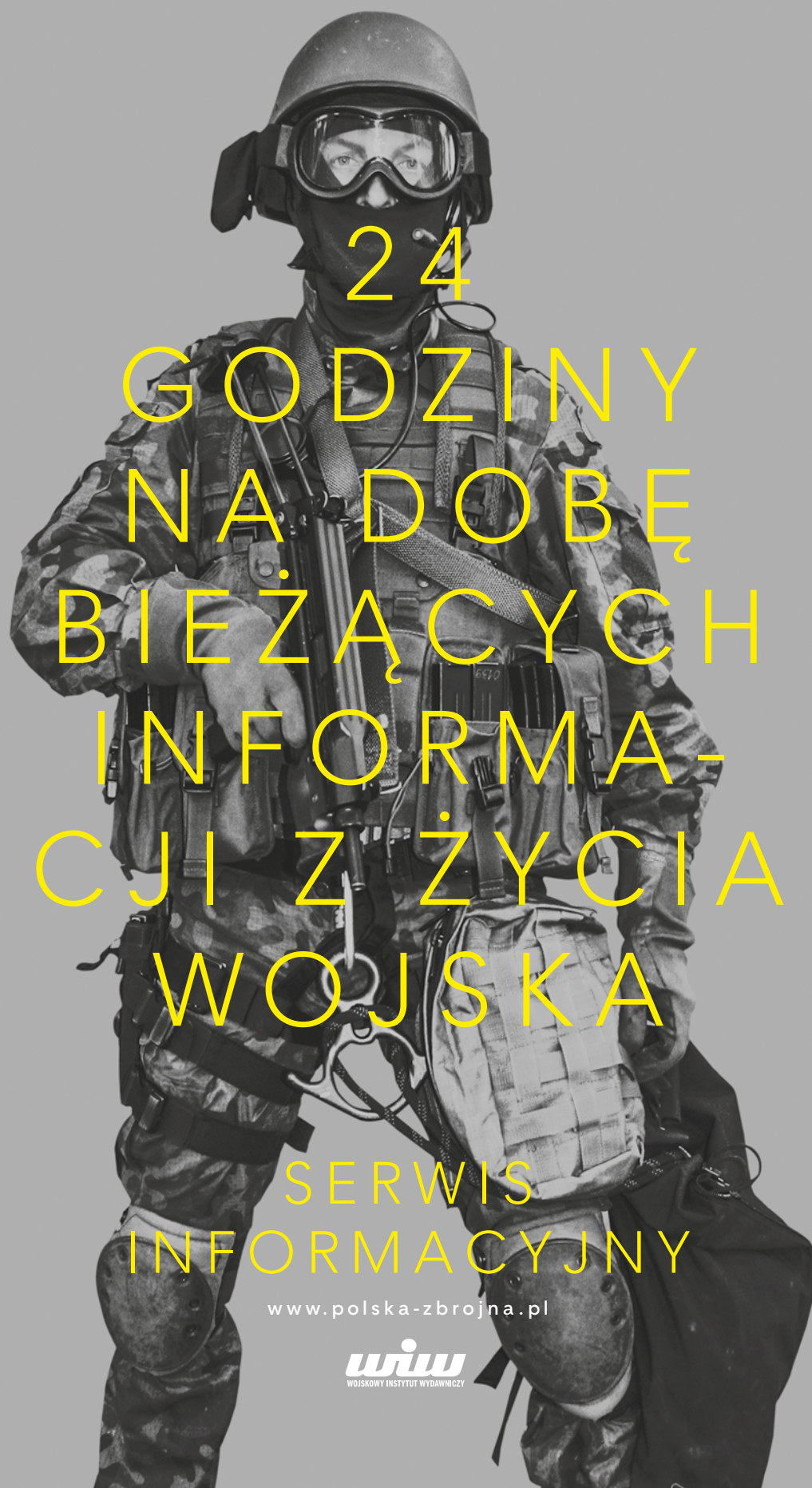
Jednak główną cechą jugosłowiańskiego kina partyzanckiego – co naturalnie nie było przypadkowe – stanowiło to, że ograniczało się ono wyłącznie do partyzantki komunistycznej, praktycznie w ogóle ignorując wszelkie dokonania czetników gen. Draży Mihailovića, po wojnie skazanego na karę śmierci i straconego w 1946 roku. Żeby zobaczyć na ekranie (choćby w negatywnej roli) wiernych jugosłowiańskim królewskim władzom na uchodźstwie czetników, trzeba obejrzeć amerykański „western wojenny” pt. „Komandosi z Navarony”. Gdy bowiem w jugosłowiańskim filmie wojennym padło słowo „partyzanci”, dla wszystkich było jasne – i nadal powinno być oczywiste – że chodzi wyłącznie o partyzantów Tity.

Ciekawe jest także to, że nie potrafię sobie przypomnieć ani jednego jugosłowiańskiego filmu wojennego, którego akcja rozgrywałaby się w kwietniu 1941 roku, w czasie niemieckiej agresji na Bałkanach, choć pewnie takie obrazy powstały. Jest to zastanawiające, zwłaszcza gdy przypomnimy sobie, że w latach PRL-u zrealizowano około 20 obrazów opowiadających o kampanii 1939 roku. Co więcej, zdecydowana większość z nich były to filmy co najmniej dobre, a kilka należałoby uznać wręcz za wybitne. Jako przykład można wspomnieć te, które bodaj najlepiej zniosły próbę czasu: „Westerplatte”, „Hubal” czy... „Gdziekolwiek jesteś, panie prezydencie...”. Wygląda na to, że w Jugosławii, która przez lata wielu Polakom wydawała się wzorem godnym naśladowania (z czasem okazało się zresztą, że bezzasadnie), „odcinano się” od przedwojennej przeszłości w sposób dużo bardziej bezwzględny i konsekwentny niż czyniły to władze PRL-u. Być może było to spowodowane tym, że w Belgradzie dążono usilnie do zbudowania jednolitego narodu jugosłowiańskiego, czemu miały sprzyjać m.in. takie produkcje filmowe, jak rozgrywające się latem 1943 roku w południowej Bośni, niezbyt jednak udane, „Wzgórza Zelengory”.



PROF. JERZY EISLER JEST HISTORYKIEM,
DYREKTOREM ODDZIAŁU IPN W WARSZAWIE
I KIEROWNIKIEM ZAKŁADU BADAŃ NAD
DZIEJAMI POLSKI PO 1945 ROKU
W INSTYTUCIE HISTORII PAN.

POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiww
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

200 stron fotografii lotniczych zespołów akrobacyjnych z całego świata



Obejrzyj
fragment
albumu

Jedyny taki album w Polsce
zamów u nas ↙

BIBLIOTEKA POLSKI ZBROJNEJ

sekretariat@zbrojni.pl tel.: (48) 261 845 365, (48) 261 840 400